

HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

LIPIEC 2017/4

magazynhisteria.pl

GOŚĆ SPECJALNY

Wojciech Gunia

PTAKI

Bruno
Schulz

Kafki obowiązek
negacji

Eliza
Krzyńska-Nawrocka

GDZIE JEST FRANZI? | ONI | PAKT | PRZESŁUCHANIE
PRZEŚLADOWCA | SPRAWIEDLIWOŚĆ
SPRZEDAWCA PASIKONIKÓW | TONAĆ W CIEMNOŚCI
W DOMU PANA MOTTA | ZRODZONY Z PIĘKNA

SPIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
Wyznania Histeryka		4
GDZIE JEST FRANZI?	Lech Baczyński	5
ONI	Maciej Szymczak	13
PAKT	Grzegorz Wielgus	21
PRZESŁUCHANIE	Artur Grzelak	36
PRZEŚLADOWCA	Rafał Klekowiecki	46
SPRAWIEDLIWOŚĆ	Mariusz <i>Maru</i> Stańczyk	55
SPRZEDAWCA PASIKONIKÓW	Szymon Płuska	63
TONĄCY W CIEMNOŚCI	Tomasz Krzywik	76
W DOMU PANA MOTTA	Wojciech Gunia	87
ZRODZONY Z PIĘKNA	Piotr Watros	126
Kafki obowiązek negacji	Eliza Krzyńska-Nawrocka	137
PTAKI	Bruno Schulz	142

Redaktorzy naczelni: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

Projekt okładki: Joanna Widomska

Skład: Maciej Zawadzki

Ilustracje: Dawid Boldys, Marcin Czarnecki, Olga Czarnecka Magdalena Isbrandt, Stanislav Lament, Małgorzata Siłkowska, Karolina Stolarska, A.A. Turkiewicz "Triopse", Izabela Wojciechowska, Zvyrke

Korekta: Dagmara Adwentowska, Joanna Korytko, Alicja Podkalicka

*do opowiadania *W domu pana Motta* wykorzystano fotografię autorstwa Wojciecha Guni

email: magazynhisteria@gmail.com

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.

Witajcie!

Przed Wami lipcowa Histeria, nad którą unosi się duch Franza Kafki. Gościem Specjalnym tego numeru jest Wojciech Gunia, który po raz drugi zaprasza nas do przeżycia historii, mającej miejsce "W domu pana Motta".

Wśród jedenastu opowiadań znajdziecie cztery finałowe teksty z "Kafkowskiego" konkursu, zorganizowanego ku czci F. Kafki. Na początek jednak wywiad z Histerykiem Miesiąca – Łukaszem Kulińskim, autorem "Do ojca Bertolda".

Na koniec – artykuł dr Elizy Krzyńskiej-Nawrockiej pt.: „Kafki obowiązek negacji” oraz tekst klasyka, czyli „Ptaki” B. Schulza, którego 125. rocznicę urodzin obchodzimy w tym miesiącu.

Tyle od nas. Wracamy do prac nad wrześniowym numerem. Życzymy strasznej lektury!

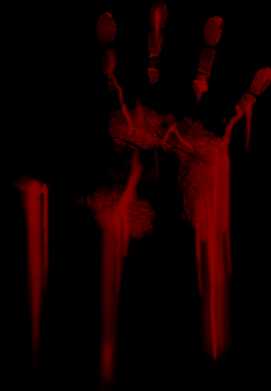


B. Jaworski i M. Zawadzki

WYZNANIA **HISTERYKA**



Łukasz
Kuliński



Lat 25, miłośnik gier RPG i coca-coli, student filozofii i krupier w jednym z łódzkich kasyn. Píše od niedawna, ale czuje do pióra głębokie powołanie, które ma nadzieję uczynić swoim stałym rzemiosłem. Tworzy nie tylko w klimatach grozy, ale również szeroko pojętej fantastyki, która jest jego przyjaciółką od wielu lat.

Skąd pomysł na „Do ojca Bertolda”?

Z kilku źródeł. Po pierwsze, z pewnej sesji RPG rozegranej z przyjaciółmi. Po drugie, inspiracją były książki, m.in. „Przedwiośnie” i „Wierna rzeka” Stefana Żeromskiego. Oraz oczywiście „Mnich” M.G. Lewisa. Wszystkie te źródła wymieszane razem złożyły się na opowiadanie.

Jak wyglądała praca nad tekstem?

Najdłuższą częścią było wymyślanie fabuły i wczuwanie się w bohaterów. Najpierw bardzo długo układałem wszystko w głowie, podczytywałem znane mi fragmenty z wymienionych wyżej książek i układałem charakterystyczne sceny. Kiedy już poczułem, że historia ma odpowiedni kształt i jest prawie gotowa, usiadłem i przelałem ją na „papier”. Piszę „prawie”, gdyż w trakcie tworzenia zawsze trochę improwizuję. Samo pisanie zajęło jedną noc. Podczas tworzenia wczuwałem się w głównego bohatera i patrzyłem na historię jego oczami. W ten sposób wiem, że Czytelnik będzie przeżywał opowieść mocniej, że wejdzie w świat zamiast patrzeć na niego z boku. Stąd narracja pierwszoosobowa – moja ulubiona oraz forma listu.

Jakich pisarzy szeroko pojętej grozy cenisz sobie najbardziej?

Zdecydowanie H.P. Lovecrafta. Jego twórczość bardzo mocno mnie inspiruje i jest ideałem tego, co może osiągnąć pisarz. Lovecraft stworzył głębokie uniwersum o niepowtarzalnej, jedynej w swoim rodzaju barwie, w które można się całkowicie zanurzyć. Czy to nie jest wspaniałe – otworzyć książkę i przenieść się do całkowicie innego świata? Uważam, że tak. Poza tym bardzo cenię sobie opowiadania Edgara Alana Poe’go. Jego „Berenice” było pierwszym opowiadaniem grozy, z jakim się zetknąłem. Do dziś często do niego wracam. Zarówno Lovecraft, jak i Poe stosowali zabieg, który bardzo cenię. Nie usiłują straszyc. Zamiast tego pozwalają obcować ze strachem bohaterów, a to ogromna różnica.

Pisanie to hobby czy coś więcej?

Zdecydowanie coś więcej. Pisanie jest dla mnie formą głębokiego eskapizmu, który uważam za szalenie pozytywne zjawisko. Mimo że pisać zacząłem niedawno, bo pierwszy tekst wypuściłem z szuflady około pół roku temu, czuję, że jest to coś, czemu chciałbym się oddać całkowicie. Dlatego pióra nigdy nie porzucę i poświęcę mu życie. Oby Muzy przychylnie spojrzęły na tę przysięgę!

Z czym kojarzy Ci się słowo *histeria*?

Z krótkimi terminami ;) Korzystając z chwili, chciałbym jeszcze podziękować paru osobom. Ekipie „Magazynu Histeria” za Waszą ciężką pracę. „DeadCan Talk”, „Kostnicy” i „Tchnieniu Grozy” za wspaniałe nagrody. Naprawdę miło jest tworzyć przy wsparciu i w otoczeniu tylu interesujących i prężnie działających projektów. Wszystkim Czytelnikom. Mam nadzieję, że lektura opowiadania była przynajmniej tak przyjemna, jak satysfakcjonujące było tworzenie go. Na koniec zaś najważniejsze podziękowania. Dla mojej Katarzyny. Bez Ciebie żaden sukces nie byłby możliwy.



GDZIE JEST FRANZI?

Lech Baczyński

Zaczął się niewinnie. Ulica, która miała prowadzić w kierunku posterunku policji, skręciła nagle delikatnie w lewo i wprawdzie nie oddalała się od celu, ale przecież także nie zbliżała do niego. Józef szedł powoli, z wysiłkiem stawiając brudne stopy na trotuarze. Wyciągnął przed siebie ręce, by w gęstej mgle nocy nie wpaść na kogoś – albo na coś – i nie potłuc się boleśnie. Wprawdzie tuż po północy miasto było puste, ale uznał, że lepiej uważać niż zrobić sobie krzywdę.

Domy po obu stronach ginęły we mgle i mroku. Kierując się wyczuciem skręcił w prawo, w przecznicę, która, jak sądził, mogła zaprowadzić go do celu. Po chwili dostrzegł nagle światło przebijające się przez mgłę. Podszedł bliżej, rozpoznał budynek policji. Przez okno na parterze widział żółty blask lampy naftowej. Zastukał do drzwi. Ciężkie, grube

drewno wydało głuchy odgłos. Józef przestępował z nogi na nogę, po krótkiej chwili zapukał jeszcze raz. Nadal nic. A przecież musiał tam ktoś być. Z całej siły grzmotnął pięścią w drewno. Syknął i złapał się za dłoń. Poruszył delikatnie nadgarstkiem i palcami, stwierdził, że raczej nie są uszkodzone. Uderzał dalej, znacznie słabiej. Po szóstym razie usłyszał kroki po drugiej stronie. Drzwi uchyliły się z przeraźliwym skrzypieniem.

– Kto i w jakiej sprawie? – spytała wąsata głowa w granatowej czapce, wyglądając przez szparę.

– Józef Köller, wpuść mnie pan, syn mi zaginął! – krzyknął. – Chciałem to zgłosić, abyście zaczęli go szukać – dodał spokojniej. – Niech pan otworzy.

– Proszę poczekać.

Drzwi zamknęły się z głuchym łoskotem. Józef ponownie uderzył w nie pięścią, jęknął i ostrożnie ujął lewą dłonią poobijane palce.

Podwoje otwarły się, tym razem szerzej.

– Proszę, pan wejdzie.

Köller wszedł za policjantem najpierw do ciemnego przedpokoju, potem do niewiele jaśniejszej izby, oświetlonej jedynie chybotliwym ognikiem lampy naftowej. Na środku pomieszczenia stało wielkie biurko. Dębowe drewno blatu, politurowane na ciemny kolor, było ledwie widoczne spod sterty papierów. Między nimi spoczywała duża, ciężka maszyna do pisania. Józef nie mógł się nadziwić, skąd posterunek w małym miasteczku ma tak nowoczesny wynalazek.

Funkcjonariusz wskazał na krzesło stojące przed biurkiem.

– Pan spocznie i poczeka.

– Ale czy pan nie rozumie, dziecko mi zaginęło. Mój Franzi, ma siedem lat. Niski, czarne włosy, granatowy mundurek. Tu się liczy każda chwila!

– Proszę poczekać, sporządzę raport. Muszę tylko iść po papier do maszyny.

– Ale człowieku...

– Proszę się uspokoić. – Policjant odruchowo sięgnął ręką do boku i dotknął pałki.

Józef usiadł na wskazanym mu krześle i zwiesił głowę. Dyszał ciężko. Zobaczył swoje brudne stopy, zastanowił się, dlaczego nie włożył butów. Twarde krzesło uwierało w pośladki, tykanie zegara odbijało się echem w głowie. Za oknem wiatr szumiał w koronach drzew, ale powiew nie przegonił mgły spowijającej ulicę. Mężczyzna wstał, podszedł do ściany, zawrócił gwałtownie i pomaszerował szybko w przeciwnym kierunku. Przemierzył tą trasę jeszcze kilkanaście razy, zanim w końcu w drzwiach ukazał się mundurowy z plikiem kartek w ręku.

– Gdzie pan tyle czasu był! – krzyknął Józef – Kto to widział szukać kartek, gdy mi tu dziecko się zgubiło albo je porwali; a co jeśli jakiś morderca mu właśnie ucina głowę, a pan sobie będzie papier do maszyny przynosił! Co, nie można było bez tego przyjąć zgłoszenia? Wystarczyło posłuchać co mam do powiedzenia...

– Spokój! Porządek musi być! Siadać na krzesło! Sporządzą protokół, ale zamieszczę tam też uwagi na temat pańskiego stanu i zachowania.

– Człowieku, tu czas się liczy! – krzyknął Józef, łapiąc funkcjonariusza za klapy munduru.

– Barnabas! – zawołał policjant, oswobadzając się z chwytu. Sięgnął po pałkę i machnął nią przed twarzą mężczyzny.

W drzwiach pojawił się olbrzymi, tęgi drab, ubrany w połatany kitel i poszarpane spodnie. Szeroką twarz ze złamanym nosem pokrywał kilkudniowy zarost, przecięty blizną, która zaczynała się przy lewym uchu, biegła obok podbitego, siniego oka, i kończyła nad spuchniętymi ustami. Długie, brudne ręce zakończone wielkimi dłońmi wyciągnęły się po Józefa.

– Do paki go! – wydyszał policjant do ponurego olbrzyma, jednocześnie uderzając Köllera pałką w plecy.

Drab wywlókł mężczyznę do ciemnego przedpokoju. Józef wyrwał się, odskoczył, po czym z rozmachem kopnął wielkoluda w brzuch. Uderzenie utknęło w grubej warstwie tłuszczu. Olbrzym stał nieporuszony. Józef zamachnął się pięścią, ale drab złapał go za rękę, wykręcił mu ją sprawnym ruchem, drugą dłonią uderzył w tył głowy i poprowadził ciemnym, dusznym korytarzem. Wrzucił Köllera za kraty, kopniakiem dodając mu pędu. Mężczyzna, lecąc na klepisko, zasłonił głowę rękami. Uderzenie w podłogę zabolowało, odebrało mu na chwilę oddech. Gdy się w końcu podniósł, zobaczył, że w celi, na ławkach pod murem, siedziało już kilka osób. W panującym mroku widział tylko ich niewyraźne sylwetki.

– Poczekasz sobie tutaj troszkę, skruszejesz – drab odezwał się po raz pierwszy, a jego głos brzmiał jak echo dobiegające z głębi studni.

– Ale ja muszę zgłosić zaginięcie synka!

– To poczekasz sobie na naczelnika.

– Jakiego naczelnika? Jest przecież środek nocy. Kiedy on przyjdzie?

– Jak przyjdzie to będzie – mruknął olbrzym, zatraskując kratę. Przekręcił klucz dwa razy i odszedł, stąpając ciężko.

– Czekaj! Mówiłem, dziecko mi zaginęło! – Józef szarpał kraty, ale drab nie zareagował. – Wracaj! Mój Franzi! Musicie go szukać – dodał łamiącym się głosem, wpatrując się w niknące w mroku plecy draba.

Bezsilność i zmęczenie przygniotły go do ściany. Przesunął się ostrożnie wzdłuż wilgotnego muru, wymacał w ciemności ławkę i opadł na nią ciężko.

– Niech pan się uspokoi – odezwał się kobiecy głos z głębi celi. Jeden z ledwie widocznych cieni współosadzonych poruszył się. – Może synek sam się znajdzie.

– Oni powinni go szukać, mogło mu się coś stać. Jak tak można... – Zasłonił oczy dłońmi. – To moja wina.

– Co, pewnie go nie upilnowałeś? – spytała kobieta zimniejszym tonem.

Józef spuścił głowę.

– Miał iść na chwilę do babci, ona mieszka w domu obok... – powiedział cicho. – Ja chciałem w spokoju poczytać książkę. Babcia zawsze chętnie go przyjmowała, częstowała ciastem, bawili się razem. To tylko kilkanaście metrów, powinien być trafić bez problemu.

– Aha. Przeszkadzał ci w lekturze. Nie miałeś czasu dla własnego dziecka. A gdzie była w tym czasie matka?

– Matka? Matki nie ma... zazwyczaj nie ma w domu. Eva pracuje w innym mieście... dojeżdża. Nie ma jej.

– Nie ma jej – powtórzyła kobieta. – Teraz dziecka też nie ma. Wygląda na to, że jesteś sam. Sam, ale teraz z nami. Z nami wszystkimi. Spokojnie, my jesteśmy mili. Bardzo mili, cha cha. – Dama zaczęła się śmiać, a był to śmiech chory, straszny. Kobiety nie było widać, ale Józefowi stanął przed oczami obraz hieny, w długiej czarnej sukni, z czerwonymi od krwi zębami. Zamknął oczy, nie pomogło, majak nie zniknął. Uniósł powieki, w tym momencie coś poślaskotało go w nogę. Wzdrygnął się, odsunął odruchowo, a potem pochylił się i przyjrzał z bliska. Wielki czarny robak przemaszerował tuż przy jego nogawce i zniknął w mroku. Józef wpatrywał się w ciemność, ale po robaku nie było ani śladu. Potrząsnął głową i przyłożył dłonie do skroni.

– Potwierdzam, jesteśmy bardzo mili – odezwał się męskim głosem inny cień. – Pan jest tu nowy? Pytam, bo tembr głosu wydaje mi się dziwnie znajomy.

– Oczywiście, że nowy, nigdy nie siedziałem w... tym, tu, jak to nazwać, areszcie? Więzieniu? Izbie zatrzymań?

– Można używać różnych nazw, ale nie zmieni to tego, że szybko się stąd nie wychodzi.

– Rano przyjdzie naczelnik, na pewno mnie wysłucha, zrozumie moje wzburzenie, wypuści, ale to nie jest najważniejsze teraz...

– Zapewne, zapewne. Oczywiście. Naczelnik. Cha, cha. Siedzę tu już jakiś czas, i nigdy go nie widziałem. Ale to mi coś przypomina. Też kiedyś piastowałem kierownicze stanowisko. Pan pozwoli że się przedstawię, Klamm jestem.

– Józef Köller, miło mi, czy mógłby mi pan pomóc? Nie wiem jak przekazać temu służbiście, temu urzędasowi, co tu ma dziś w nocy dyżur, że zamiast szukać papieru do maszyny powinien zarządzić poszukiwania mojego Franziego. Nie mogę czekać do rana na jakiegoś cholernego naczelnika.

– Nie ma teraz możliwości mu nic przekazać, ale zapewne za jakiś czas będzie pan mógł z nim porozmawiać. Dyżurny nie może szukać pana synka, bo nie przyjął zgłoszenia, a nie przyjmie zgłoszenia dopóki siedzi pan w celi – odpowiedział spokojnie Klamm.

– Co za bzdury, ta biurokracja...

– Nie o biurokrację tu chodzi, panie Köller. Niech pan się zastanowi, dlaczego nikt nie szuka Franziego? No dlaczego?

– Nie wiem... – jęknął Józef, spuścił głowę i ukrył twarz w dłoniach.

Tkwiał tak bez ruchu, nie czuł upływu czasu. Inni więźniowie drzemali. Niektórzy głośno chrapali, przez co mężczyzna dopiero w ostatniej chwili usłyszał kroki na korytarzu. Uniósł wzrok i zobaczył Barnabasa otwierającego drzwi.

– Dzięki Bogu!

– Boga to w to nie mieszaj – mruknęła kobieta z cienia.

Drab chwycił Józefa za kołnierz i wyciągnął z celi. Z impetem zamknął za nim kratę, metal uderzył o metal, wibracje rozeszły się po prętach. Przekręcił klucz dwa razy i powlókł osadzonego ciemnym korytarzem.

– Czy idziemy do naczelnika? – spytał Köller. – Czy zaczęliście już szukać Franziego? Mogło mu się coś stać, musicie...

– Cicho! – Barnabas nie dał mu dokończyć.

Szli szybko, ta część korytarza nie była tak mroczna jak poprzednia. Słabe, przytłumione przez mgłę światło ulicznej latarni gazowej wpadało przez brudne małe okna. Nagle zza zakrętu korytarza wyłonił się dyżurny policjant, niosąc stertę pośliskich papierów.

– Sprawdziliśmy pana dane w kartotece. Mam tu pana teczkę.

– To ja mam jakąś teczkę?

– Całkiem grubą – mruknął funkcjonariusz, wertując papiery i wyteżając wzrok w nikłym świetle. – Taaak, nie wygląda to najlepiej. Może pan wyjaśnić, gdzie obecnie

znajduje się pana żona, niejaka – podszedł do okna i przysunął papier blisko oczu – Eva Köller?

– Pracuje w innym mieście, jest... nie... nie wiem, może jedzie już tu z powrotem. Co to ma do rzeczy? To syn mi zaginął, nie żona.

– Taaak, syn zaginął, żona jest daleko, sprawdziliśmy jeszcze teściową. Będziemy musieli porozmawiać, ale to później, teraz zajmie się panem Barnabas.

Drab powłókł go jeszcze kilkanaście metrów wąskim korytarzem. Przystanęli przed ciężkimi metalowymi drzwiami. Olbrzym pogrzebał w kieszeni i wydobył klucz. Po otworzeniu wepchnął Józefa do niewielkiego, kwadratowego pomieszczenia. Zamknął drzwi od wewnątrz, ze zgrzytem przekręcił zamek.

Köller rozejrzał się. Pokój był zupełnie pusty, nie licząc płataniny lin i rzemieni leżących w kącie. W odróżnieniu od pozostałych izb posterunku, tu ściany nie były otynkowane. Mury zbudowano z dużych, wilgotnych kamieni, teraz omszałych. Ciężki, gruby metalowy uchwyt zwisał ze ściany na wysokości dwóch metrów.

Barnabas szarpał się z marynarką Józefa, nie mógł jej zdjąć, ręce osadzonego plątały się w długich rękawach. W końcu, dysząc ciężko, zerwał z mężczyzny okrycie, a potem ze złością rozszarpał i zdarł białą koszulę. Podniósł z ziemi kawałek liny.

– Wystaw ręce – powiedział grobowym głosem.

– Nie! I żądam widzenia z naczelnikiem.

Ciężka pięść spadła na nos Józefa. Köller usłyszał chrzęst gruchotanych kości i miażdżonej chrząstki, po czym ból, który eksplodował w jego twarzy zagłuszył wszystkie bodźce z zewnątrz. Odruchowo przyłożył dłonie do rozbitego nosa. Barnabas wykorzystał sytuację, złapał ręce osadzonego i związał je, po czym przewlekł sznur przez kółko w ścianie. Józef stał zwrócony rozbitą twarzą w kierunku muru, krew tryskała na wilgotne kamienie.

– Naczelnik zaordynował panu karę za zakłócanie porządku.

– Naczelnik? Był tu? Dlaczego ze mną nie porozmawiał?

– A za napaść na funkcjonariusza – kontynuował Barnabas, jakby nie usłyszał pytania – karę określi kolegium, w innym terminie.

Podniósł z podłogi pęk rzemieni. Pierwszy świst powietrza trwał tylko chwilę, kolejnych nie było słyhać. Zagłuszyły je krzyki Józefa.

Drzwi celi otworzyły się i ciało Köllera z impetem uderzyło w podłogę. Barnabas zamknął skrzypiącą kratę i przekręcił klucz. Józef leżał na brzuchu, jedną ręką trzymając się za nos, drugą macając zakrwawione plecy.

– Co tu się dzieje – jęczał – chciałem zgłosić zaginięcie a traktują mnie jak zbira.

– Tak cię traktują, jak zasługujesz – odezwała się kobieta, jeszcze zimniej niż poprzednio.

– Czekaj na naczelnika, jemu to wyjaśnisz – powiedział Klamm.

– Życie nie jest sprawiedliwe – odezwał się inny więzień, dotąd milczący. Był tak ciemny, że nie było go widać, jego twarz niknęła zupełnie w mroku, jakby pokryta czarnym pyłem, nawet oczy były czarne. – Ja na przykład – kontynuował – zostałem zwolniony z pracy na okręcie, bo kapitan preferował ludzi z innego kraju. A to wbrew prawu! Protestowałem, walczyłem, ale mnie nie słuchali. Poszła za mną opinia awanturника. Nikt nie chciał mi dać nowej pracy. I tak skończyłem tutaj.

– A z ciekawości, jakie to było stanowisko? – wtrącił Klamm, jakby to była konwersacja na herbatce w parku, jakby półżywy Józef nie leżał na podłodze obok nich i nie brudził klepiska krwią niczym zarzynany wieprz.

– Palacz okrętowy.

– Aha – odparł, bez zainteresowania.

– To nie jest normalne... to jakiś koszmar... – jęczał Józef – tego się nie da opisać.

– Nie przesadzaj – mruknął palacz – w robocie widziałem rzeczy, którym nie dałbyś pan wiary. Okręty w ogniu sunące ku ramionom portu, jarzące się w mroku pod Ellis Island...

Köller z trudem uniósł się, oparł ciężar ciała na kolanach i z jękiem pełził w kierunku ławki. Chwycił jej brzeg i próbował podciągnąć tułów i nogi do góry. Krzyknął z bólu. Spróbował ponownie, tym razem udało mu się wdrapać na ławkę. Położył się na niej, a potem, ciężko dysząc, uniósł tułów i powoli spuścił nogi. Usiadł ostrożnie, nie opierał się plecami o ścianę. Krew spływała w dół, wsiąkając w spodnie.

– Co to!? – Józef drgnął i chciał się unieść. Jęknął, ruch mięśni sprawił, że rany na plecach zapiekły, jakby ktoś szarpał je rozpalonymi obcęgami i posypywał pieprzem.

– Widzieliście to?

Nikt się nie odezwał. Józef wstał, krzycząc z bólu, i pokuśtykał do kraty. Chwycił zimne stalowe pręty, palce zacisnęły się i zbiały.

– Franzi! To ty? Chodź tu synku! Chodź do tatusia!

Biała postać chłopca sunęła bezgłośnie ciemnym korytarzem. Po chwili zniknęła w mroku. Z czerni wychynęła większa zjawa, tak samo blada. Kierowała się ku wejściu do celi.

– Eva? Kochanie?! Przyjechałaś wreszcie! Znalazłaś Franziego? Kochanie, odezwij się! Nie słyszysz mnie?

Postać rozwiała się tuż przed kratami. Ale za to z końca korytarza szła już w kierunku Józefa inna mara – babcia chłopca, matka Ewy. Köller potrząsnął głową.

– Co tu się dzieje? – krzyknął, po części do siebie, po części do współosadzonych. Obrócił się, jęcząc z bólu, rany znowu zapiekły. Gdy spojrział w głąb mroku celi, z przerażeniem zobaczył, że w pomieszczeniu jest pusto. Poza nim nie było nikogo. W kącie celi coś leżało. Józef już miał podejść i sprawdzić, co to, gdy nagle przeraźliwe wycie sprawiło, że zadrzał aż do głębi duszy, i do wnętrza komórek ciała. Potrójny głos krzyknął

– Zabiłeś nas!

Józef odwrócił się i zobaczył, że trzy blade zjawy stały już we wnętrzu celi.

– Zamordowałeś nas, twoją kochającą rodzinę!

Dwie kobiety, starsza i młodsza, patrzyły na niego ciemnymi, pustymi oczodołami osadzonymi w bladych czerepach. Na ich szyjach krwawe ślady biegły w poprzek tchawicy. Błada postać Franzięgo, stojąca pomiędzy niewiastami, trzymała w rękach swoją głowę.

Józef upadł na kolana. Do pieczenia pleców dołączył kłujący ból piszczeli.

– Nawet nasze kochane dziecko zabiłeś! Morderco, zwyrodnialcu! – krzyknęła młodsza kobieta.

Zasłonił uszy, ale nadal słyszał jej głos.

– Dla takich jak ty jest jedna kara! Śmierć!

– Śmierć! – dodała starsza.

– Skazujemy cię na śmierć – wychrypiała głowa małego Franzięgo, nadal trzymana przez niego w rękach.

– Śmierć, śmierć – szeptał Köller klęcząc w białej sali, na pokrytej marmurkowym gumoleum zakurzonej podłodze. Jarzeniówka zabezpieczona drucianą siatką oświetlała pomieszczenie. Gruby kaftan z długimi rękawami leżał w kącie, razem ze znoszonymi kapciami i podartą koszulą. Ściany, obite beżową gąbką, tłumiły jego słowa.

Rano znaleziono Józefa leżącego na podłodze. Martwe oczy wciąż wpatrywały się w przestrzeń, na twarzy zastygł grymas najgłębszego przerażenia.



ONI

Maciej Szymczak

Oni zawsze przychodzą nocą. Szkaradne istoty, tak inne, tak obce i ohydne... Sam ich wygląd przyprawia mnie o dreszcze, dręczy umysł koszmarnym wspomnieniem paskudnych ciał. Inne formy życia, wiodące żywot tak daleki od ludzkiej egzystencji, tak niepodobne do wszystkiego co ziemskie, a jednak realne, namacalne, na wyciągnięcie ręki. Ich istnienie to pogwałcenie wszelkich praw natury, kpina ze Stwórcy i tego, co stworzył. Oni odwiedzają mnie w bezchmurne noce, kiedy niebo jest czyste, a mrok rozświetlają miliardy migoczących gwiazd. Panują nad materią i czasem, dlatego bez trudu przenikają przez ściany naszych domostw, dla reszty śmiertelników pozostają niezauważeni.

Zawsze wiem, kiedy spodziewać się ich kolejnej wizyty. Jestem nerwowy, rozkojarzony, nie potrafię się na niczym skupić. Zamykam się na cztery spusty w swoim domu, kryjąc się przed światem, który mnie przerasta. Krążę jak cień z kąta w kąt, nie mogąc udźwignąć ciężaru codziennych obowiązków. Liczę godziny, minuty, sekundy, czekając na

to, co nieuniknione. To jak ostatni dzień skazańca w celi śmierci, który stara się uspokoić, pogodzić z tym, co ma nastąpić, ale jednocześnie nie może odepchnąć od siebie obrazów udręki, której niebawem doświadczy. Jak bardzo skrzywdzą mnie tym razem, czy obudzę się rano w swym łóżku, czy przeżyję kolejną noc nieludzkich eksperymentów? Czekanie to swoista tortura, kiedy czujesz ostrze noża na gardle, ale nie wiesz, w którym momencie kat wykona wyrok. Kładę się zazwyczaj wcześniej i tępo gapię w ekran telewizora. Godziny wleką się w nieskończoność, wskazówki zegara umierają, przeistaczając świat naokoło mnie w oślizgły wymiar nieudolności. Jestem poza czasem i przestrzenią, uwięziony we własnym piekle, w którym istoty te odgrywają nadrzędną rolę.

Nieustannie przegapiam moment, kiedy kreatury znienacka pojawiają się w mej sypialni! Trzy, może cztery dziwadła patrzą bezczelnie na moje bezwładne ciało! Tak, ich wizycie zawsze towarzyszy całkowity paraliż organizmu, nie mogę drgnąć, poruszyć choćby powieką, staję się zimny jak kamień i sztywny niczym pal. Oni przejmują kontrolę nad moją fizycznością, czyniąc mnie tylko obserwatorem osobistej drogi krzyżowej. To straszne uczucie, gdy tak tkwię uwięziony wewnątrz własnej cielesności, to rodzaj gwałtu, którego nie jesteście w stanie sobie wyobrazić! Czuję na sobie dotyk ich trójpalczastych, przeraźliwie chudych dłoni. Oślizgłe łuski ich węzowych skór pozostawiają kwaskowaty, mdły zapach. OBCY sycą się moją bezsilnością, wpatrując się we mnie tymi wielkimi, czarnymi ślepiami. Są tak zimne i ciemne, jak niezmierna pustka kosmosu. Wyziera z nich obezwładniający mrok, który napawa mnie prawdziwym przerażeniem. Wielkie, wypukłe gały i olbrzymie mózgowczaszki tak niepasujące do wąskich, spłaszczonych szczęk. Ich anatomia przeczy wszelkim znanym prawidłom natury. Nie wiadomo, z jakiego świata przybywają te istoty, jestem pewien, że jest równie nieludzki i nieprzyjazny jak te stwory.

Po jakimś czasie, kiedy gadopodobnehumanoidy nakarmią się już moją bezczynnością, oślepią mnie jasny promień światła, który pada zza okna, uderzając we mnie z wielką siłą. Nagle uświadamiam sobie, iż unoszę się ponad dachem swojego domostwa, brnąc w przeraźliwą paszczę trójkątnego obiektu latającego. Nie potraficie sobie wyobrazić tego uczucia, gdy wiązka światła przejmuje nad wami kontrolę. To tak, jakbyście spadali z dużej wysokości, żołądek podchodzi wam do gardła, a wielka siła przeciążenia rozsadza wnętrzności. To przerażające doświadczenie zawsze jest tak samo dojmujące. Przekraczam próg bólu, unosząc się coraz wyżej i wyżej. Cierpienie narasta z każdą sekundą, a moja świadomość doświadcza kolejnych, nieznanych wcześniej form katuszy, aż w końcu umysł poddaje się, nie mogąc sprostać dalszym mękom. Rozpadam się, balansując gdzieś na granicy obłądu.

I wtedy budzę się w jasnej, białej sali. Leżę nagi na dziwnym fotelu, otoczony najróżniejszą aparaturą. W pomieszczeniu tym znajdują się inni ludzie, tak jak ja uprowadzeni z własnych domostw. Kobiety, mężczyźni różnych ras i narodowości, poddawani najdziwniejszym zabiegom chirurgicznym. Widzę OBCYCH, jak miotają się pomiędzy tymi nieszczęśnikami, słyszę szelest wydobywający się ze skrzelii umiejscowionych na ich karkach (ONI nie mają ust!). To wszystko przypomina sceny z niskobudżetowego horroru, najbardziej perwersyjny rodzaj makabry, jaki w życiu oglądałem. Świst świdrów i pił rozbrzmiewa złowrogo, zdradzając zamiary tych istot. Operacje na żywych organizmach, trepanacje czaszek, amputacje, przeszczepy narządów, przetaczanie krwi, sondowanie wnętrzości. Odcinane kończyny lądują w dziwnych, fluorescencyjnych woreczkach, a parujące trzewia są wyciągane z rozciętych korpusów i ważone przez OBCYCH. Myślicie, że podają nam znieczulenie? ONI mają nas za nic, traktując niczym szczury laboratoryjne.

Czujemy każde nakłucie, każde cięcie, każdy szczęk pił tnących kości. To jest doświadczenie prawdziwego piekła. Tak! Oni bezustannie na nas eksperymentują, poddając nas coraz dziwniejszym testom wytrzymałości. I jakimś cudem my, króliki doświadczalne, zawsze budzimy się rankiem w naszych łóżkach bez śladów pooperacyjnych. Prócz przebarwień, dziwnych stygmatów, nasze ciała wyglądają normalnie, nie nosząc żadnych widocznych zmian.

Większość z uprowadzonych zaraz po przebudzeniu zapomina o traumie, jaką przyszło im przeżyć feralnej nocy. Ja pamiętam. Wszystko. Wyraźnie, za każdym razem nosząc w sobie bolesny bagaż doświadczeń. Nie wiem, czy oni robią to celowo, czy też moja pamięć jest tak fenomenalna. Wiem także, że mają nade mną całkowitą kontrolę. Nieraz próbowałem odebrać sobie życie, zakończyć pasmo cierpień, których dłużej znieść już nie mogę. Raz próbowałem się rzucić na tory pod rozpędzony pociąg. Wtedy straciłem świadomość i obudziłem się w bezpiecznym miejscu. Zdałem sobie sprawę, iż nie panuję nad własnym ciałem, ono postępuje wbrew mej woli, słuchając gwiazdnych pasożytów. Jestem taki bezsilny... Ostatnio podupałem na zdrowiu. Często choruję na dziwne, nieznanie nauce choroby. Jestem osłabiony od licznych krwotoków, ataków duszności i napadów alergii. Zaczęły mi wypadać włosy, zwracam wszelkie pokarmy. Zdiagnozowano u mnie raka, jestem pewien, że jest on rezultatem tych wszystkich bolesnych eksperymentów. Jakiś czas temu zacząłem się zastanawiać, jak można uwolnić się od OBCYCH. Czy w ogóle jest to możliwe?

Szukałem w sieci wszelkich dostępnych informacji na temat uprowadzonych. I natknąłem się na forum, tworzone przez osoby zmagające się z podobnymi doświadczeniami. Kluczem do kontroli nad naszymi ciałami są mikrochipy, które wszczepiają

w nasze organizmy. Nadajniki mają mięsistą strukturę, dlatego są zupełnie przez rentgen niewykrywalne. Jedyne sposoby to stanąć w pobliżu sekcji trakcyjnej, tam, gdzie pole elektryczne jest wyjątkowo silne. Obezwładniający ból ujawni miejsce wszczepu, potem należy się już tylko tego cholerstwa pozbyć. Pojechałem do Gołusek, do stacji energetycznej zasilającej miasto Poznań. Stałem pod potężnym słupem czekając, aż coś zacznie się dziać. Dźwięk płynącego po stalowych drutach prądu wywołał lawinę cierpienia, która sparaliżowała mój układ nerwowy. Ból promieniował silnym, tęnym odczuciem, rozsadzając małżowinę uszną od środka. Informacje potwierdziły się, nadajnik znajdował się we wnętrzu prawego ucha. Moja radość jednak była przedwczesna. Przez cały następny dzień dzwoniło mi w uszach, miałem nudności i zawroty głowy.

Na żadną pomoc medyczną liczyć nie mogłem, jeszcze zamknęliby mnie w wariatkowie, co tylko ułatwiłoby sprawę OBCYM. Musiałem sam uporać się z tym problemem. Długo studiowałem podręczniki anatomii, nim zdecydowałem się na ten krok. Zamówiłem specjalne szczypce medyczne w sklepie internetowym i zaopatrzyłem się w duże ilości środków przeciwbólowych. Musiałem to zrobić, to była moja jedyna droga do zbawienia. A jeśli te istoty będą nadal wracać, wtedy ze sobą skończę, a one mi w tym nie przeszkodzą. Nafaszerowałem się pigułkami, znieczulając moje ciało dostatecznie mocno, bym mógł wytrzymać zaimprovizowany zabieg. Zabawne, na co potrafi się zdecydować desperat taki jak ja, byle tylko uciec od bólu i upokarzających doświadczeń. Cienkie szczypce odkaziłem spirytusem, po czym zanurzyłem narzędzie aż po samą rękojeść w małżowinie usznej. Pomimo znieczulenia ból eksplodował silnym strumieniem, paraliżując prawą stronę twarzy. Był jednak do wytrzymania, z ucha wyciekała mi krew, a ja dłużej dłużej, słysząc, jak coś chlupie wewnątrz głowy. Nie mogłem znaleźć tego przekłętego nadajnika, już zacząłem się obawiać, że szczypce nie sięgają dostatecznie głęboko. W końcu wyczułem poruszający się obiekt, który przy każdym dotknięciu wywoływał fale bolesnego oszołomienia. Miałem zwidy i chyba dostałem gorączki. Mimo to udało mi się chwycić nadajnik i powoli wyciągnąłem go z ucha.

Zakrwawiony ochłap mięsa miał długość mniej więcej dwóch centymetrów i przypominał surowy plaster bekonu. Spaliłem to diabelstwo w piecu. Krew wciąż wpływała z mojego ucha, nie wiedziałem, jak powstrzymać ten krwotok. Mimo to byłem szczęśliwy, znowu odzyskałem wolność. Tej nocy przygotowałem się dobrze na ich odwiedzinę. Zasnąłem, trzymając pod kołdrą metalową pręt. Obudził mnie dotyk oślizgłych, gadzich palców. Ku swojemu zadowoleniu i ich przerażeniu panowałem nad własnym ciałem. Zerwałem się na nogi, wymachując rurką w powietrzu. Wtedy ujrzałem po raz pierwszy

strach w tych czarnych, pustych ślepiach. OBCY byli kompletni zaskoczeni i czułem, jak trwoga przejmuje nad nimi kontrolę. Zamachnąłem się, uderzając w najbliższy stożkowaty łeb. Pałka zagłębiła się z łatwością w mózgowiaszce, spłaszczając jej kształt. Głowa eksplodowała, wyrzucając w powietrze kleistą, zieloną substancję. OBCY runął na podłogę, a z jego zmiażdżonej głowy wciąż wypływała śmierdząca breja przypominająca stary, zużyty olej silnikowy. OBCY spanikowali na ten widok, miotali się po pokoju bez ładu i składu, wpadając na siebie co chwilę. Panowałem nad sytuacją. Chęć zemsty buzowała w mej krwi, czułem się absolutnie fantastycznie, niczym gromowładny bóg dzierzący w dłoniach narzędzie zagłady. Zamierzałem wytłuc te monstra co do jednego! Ku mojemu rozczarowaniu OBCY poczeli się dematerializować i miałem mijać ich gadzie sylwetki, trafiałem tylko w próżnię. Mimo wszystko zatryumfowałem, zwycięstwo smakowało wybornie. A co najważniejsze, miałem ciało jednego z nich, naoczny dowód ich spisku na ludzkość.

– Twierdzi pan, że posiada ciało tego... osobnika? – pułkownik Twardowski poprawił okulary na nosie. Spojrzał z nieufnością na przygarbioną postać mężczyzny. Ten siedział naprzeciwko, wywracając oczyma na wszystkie strony. Wyglądał jak łaknący muchy kameleon. Miał sine, opuchnięte powieki i nienaturalnie wyblakłe wargi. Na jego łysej czaszce widniały pojedyncze kosmyki włosów. Przypominał pacjenta, który urwał się z OIOM-u.

– Tak! – krzyknął z entuzjazmem. – To gadopodobne stwory, mają trójpalczaste dłonie i stopy. Nie mają ust, oddychają przez skrzela zlokalizowane na karku, ich ciała całe pokryte są kleistą łuską. Wyglądają trochę jak Szaraki...

– Szaraki?

– No nie oglądał pan „Z Archiwum X”?! – zapytał, nerwowo przebierając palcami zaciśniętych dłoni. – Małe, szare ludziki o stożkowatych głowach i wielkich, czarnych oczach – urwał, dławiąc się kaszlem.

– No tak... – Wojskowy kartkował notes zastanawiając się, czy petenta od razu wysłać do szpitala psychiatrycznego, czy jednak dać mu się wygadać, a potem posłać w cholerę. – A więc w pana szopie ogrodowej są zwłoki obcej formy życia? – Pytanie to z trudem przeszło mu przez gardło.

– Tak, to najprawdziwszy OBCY. – Chudzielec stękał z podniecenia. – Będziecie mieli najprawdziwszy dowód spisku, który te istoty zawiązały przeciw ludzkości. To nasza

jedyna szansa, aby się od nich uwolnić. Przyszłość ludzkości jest zagrożona, musicie to w końcu zrozumieć!

Pułkownik odchrząknął nerwowo. Miał bardzo kwaśną minę. Szaleniec opowiadał totalne bzdury, siejąc naokoło sensacyjne teorie spiskowe. Zostało niewiele czasu do wizytacji Ministra Obrony Narodowej, a ten czubek marnuje jego cenny czas! Najlepiej byłoby zadzwonić do Wojewódzkiego Szpitala Psychiatrycznego i sprawdzić, czy nie ubył im ostatnio jeden pacjent.

– Panie Tomczak, pana opowieść była, szczerze mówiąc, dość niesamowita. Te porwania, eksperymenty... Wszystko brzmi bardzo upiornie, a skala tych „wzięć”, jak pan to ładnie określił, jest kompletnie niewiarygodna. Myślę, że my, wojskowi, chyba byśmy coś o tym wiedzieli. Panie Tomczak, będę z panem szczery, nie sądzę, że... – Rozdzwonił się stojący na biurku telefon służbowy. Pułkownik podziękował losowi za ten zbieg okoliczności. Wreszcie będzie miał pretekst, aby spławić tego szaleńca.

– Tak... – zmarszczył brwi, nawijając kabel telefoniczny na palec wskazujący. – Tak, panie majorze. Dziękuję. Oczywiście. Sprawdzimy wszystko.

Odłożył słuchawkę, na jego czole załśniły dwie tłuste krople potu. Z pełną powagą miną rzekł:

– Panie Tomczak, proszę nas tam zaprowadzić.

– To tutaj – rzekł wymizerowany mężczyzna. Wątlą posturę ciała ukrywał pod długim wełnianym swetrem. Ogrzewał sobie dłonie pocierając je miarowo, mimo iż na zewnątrz temperatura wynosiła niemal dwadzieścia stopni.

– To ta szopa – wskazał na mały budynek gospodarczy, sklecony niedbale z różnej długości desek. Altanka nie była duża, w sam raz do przechowywania narzędzi ogrodowych lub ciała OBCEGO. Pułkownik skinął głową, dając znak żołnierzom i sanitariuszom do rozpoczęcia akcji. Oddział ruszył bez słowa w kierunku rozpadającej się konstrukcji. Zniknęli w jej wnętrzu na dłuższy czas. Dowódca czekał, obserwując z niesmakiem schorowanego gospodarza. Tomczak zachowywał się dosyć dziwnie. Przeskakiwał z nogi na nogę, wierząc się nerwowo. Wypatrywał nieobecny wzrokiem nie wiadomo czego, szepcząc coś cicho pod nosem. Najwyraźniej się obawiał. Czyżby był świadom, iż wojskowi niczego wewnątrz nie znajdą? Po chwili z altanki wygramolili się sanitariusze, niosąc na noszach zwłoki przykryte

białym płótnem. Pułkownik ożywił się znacznie, z niedowierzaniem patrząc na ciało niesione przez mężczyzn.

– A nie mówiłem!– gospodarz stękał z podniecenia, śliniąc się cały. – Nie mówiłem!

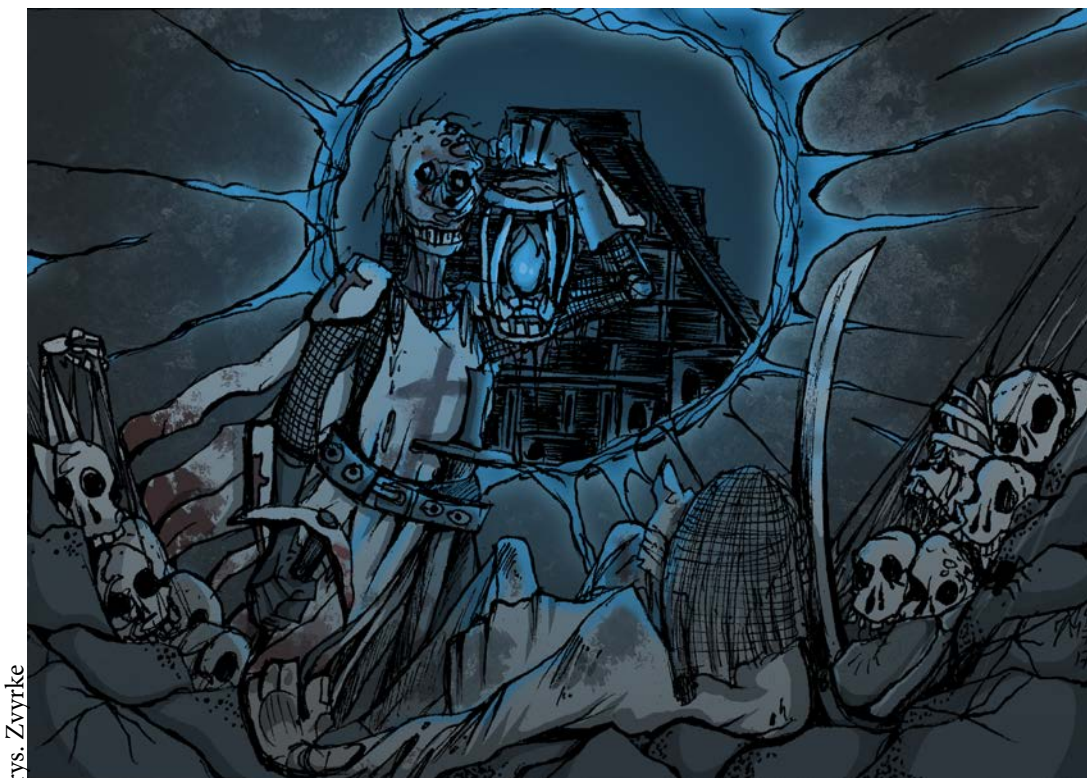
W jego tonie wybrzmiewał chory wydźwięk zadowolenia. Spod płótna wysunęła się dłoń. Skóra nie była zielonkawa ani w żadnym razie pokryta łuską. Na zwyczajnym, kobiecym nadgarstku widniał jakiś gadżet. Z pewnością nie był to żaden zmysłny mechanizm ani inne obce nauce urządzenie. To był najzwyczajniejszy w świecie zegarek. Pułkownik Twardowski podszedł z niepokojem do sanitariuszy. Dokładnie wiedział, jakiego widoku może się spodziewać. Zdjął narzutę z ciała denatki. Zamiast stożkowej głowy obcego ujrzął delikatne rysy kobiece o śródziemnomorskiej urodzie. Czarne, kręcone włosy przyklejały się do czoła, otwarte oczy patrzyły w pustą przestrzeń. Na szyi widniały ślady po duszeniu. Wojskowy spojrzął na gospodarza z największym oburzeniem, na jakie tylko było go stać. Splunął pogardliwie w stronę mordercy, który trząsał się, wskazując palcem na trupa.

– Widzicie, wykończyłem go, to najprawdziwszy OBCY, macie dowód, macie ciało...

Zamknęli mnie w szpitalu. Trzymają pod kluczem jak w jakiejś twierdzy. Podobno stwarzam zagrożenie i zostałem przeniesiony do oddzielnego skrzydła szpitala. Oddział zamknięty dla wyjątkowo groźnych psychopatów – wyobrażacie to sobie? W życiu nie widziałem tej kobiety. Nie mam pojęcia, kim była. Oni też nie ustalili jej tożsamości, a mimo to w przyspieszonym trybie ubezwłasnowolnili mnie, zamykając w tym wariatkowie. Jestem pewien, iż OBCY podmienili ciała. Na pewno kobieta była jedną z uprowadzonych, zaszlachtowali ją, a mnie wrobili w to morderstwo. Że też byłem tak nieostrożny! Powinienem lepiej zabezpieczyć ciało, ukryć je przed nimi. Ale czy przed nimi można ukryć cokolwiek? W każdym razie znowu dobrali mi się do tyłka. Odwiedzają mnie jeszcze częściej, a nowy nadajnik umieścili tak głęboko, iż niemożliwe jest jego usunięcie. Nikt nie jest w stanie mi pomóc, teraz trzymają mnie w zamknięciu, co tylko ułatwia sprawę tym kreaturom! Walka nie ma sensu, jestem, niczym laboratoryjny szczur, zdany na ich łaskę. W jednej sprawie się jednak myliłem...

Oni nie porywają nas na swoje statki! Nie! Mają swoje podziemne bazy, a nawet miasta, ukryte pod zbiornikami wodnymi. To nie obcy, ale tutejsi. To my jesteśmy obcy! Przybyliśmy przed milleniami z Marsa i zmusiliśmy ich do osiedlenia się pod ziemią. Toczyliśmy wyniszczające wojny z tymi istotami, które zwaliśmy niegdyś tytanami lub

gigantami mimo ich niewielkiego wzrostu. Teraz oni powrócili, znacznie potężniejsi od nas. Wrócili po swoje, a my nic na to nie możemy poradzić. Ludzkość czeka nieunikniona zagłada.



PAKT

Grzegorz Wielgus

Z metalicznym łoskotem pancerza Qutuz uderzył plecami o dno jaskini, wypuszczając z dłoni rękojeść szabli. Mameluk zdusił jęk bólu, starając się zasłonić twarz przed spadającymi w ciemnościach kamieniami, które wraz z mężczyzną runęły w otchłań, gdy ten, uciekając na oślep przed bandytami, zapuścił się nieopatrznie w skalny labirynt jaskiń i wbiegł w gardziel rozpadliny. Qutuz przez kilka chwil leżał w bezruchu, uważnie nasłuchując odgłosów pogoni, lecz otaczał go jedynie chłód ciemności oraz wibrująca cisza. Szybko zgasła radość z ocalenia w sercu mameluka, ustępując miejsca niepokojowi, gdy mężczyzna spróbował poruszyć nogami – nie czuł nic poniżej pasa. Ledwo opanowując panikę, czując, jak serce próbuje wyrwać się z okrytej kolczugą piersi, Qutuz uniósł się na łokciach.

Dokoła siebie miał tylko mrok tak gęsty, iż nie był w stanie dostrzec trzymanej tuż przed twarzą dłoni. Poruszając się po omacku, zbrojny wyzwolił się z helmu i położył go

obok uda, gładząc palcami wgiętą od uderzenia blachę – gdyby nie szyszak, czaszka mężczyzny pękłaby przy upadku. Qutuz kilka razy wciągnął do płuc zimne powietrze podziemia, próbując opanować mdłości, ale po chwili zwinął się w bolesnym skurczu i zwymiotował. Wypluwszy z ust całą pianę, wciąż czując w przetyku żołądkowe soki, mameluk uderzył pięścią w pozbawione czucia nogi. Ku jego zaskoczeniu, w kończynach pojawiło się mrowienie, a następnie tępy ból rozlał się ciepłą falą od bioder aż po końcówki palców. Wpierw powoli – nie chcąc spłoszyć tego cudnego zjawiska – Qutuz zgiął kolana, obejmując je ramionami jak niespodziewanie odzyskanego przyjaciela. Pokrzepiony nadzieją, mameluk spojrział w górę, gdzie smoliste ciemności przecinała smuga o ton jaśniejsza – wyjście.

Nagle w mroku coś zachrząściło; coś, co mamelukowi zbyt przypominało zgrzyt chitynowych płyt okrywających grzbiety jadowitego robactwa wszelkiego rodzaju. Lodowaty pot wystąpił na czoło i kark mężczyzny, bowiem panicznie bał się on wszystkich pajaków oraz pełzających stworzeń, toteż po omacku zaczął szukać dłonią rękojeści szabli, jakby ona miała ochronić go przed tym, co kryło się w podziemiu. Chrobotanie pancerza zbliżało się z każdą chwilą, a w ciemnościach pojawiły się dwa płonące punkty, podobne do błędnych ogników, unoszących się ponad trzęsawiskami, znacząc groby topielców oraz zwodząc wędrowców na manowce. Qutuz natrafił palcami na szablę i natychmiast wymierzył zakrzywione ostrze w parę błękitnych płomieni, które zatrzymały się kilka kroków od przerażonego mameluka.

– Bóg jest wielki, Bóg mnie chroni – szeptał nerwowo mężczyzna – Bóg jest wielki, Bóg mnie chroni.

Tysiące myśli w oszalałym korowodzie gnało przez głowę Qutuza, gdy zbrojny zerwał się na chwiejne nogi, oczekując ataku. Ten jednak nie następował, a upiorne ogniki wciąż wisiały w ciemnościach, tkwiąc w idealnym bezruchu, jakby ukryta w mroku istota nie poruszała się w rytm oddechu. Mameluk cofnął się powoli, sunąc stopami po kamienistym podłożu, jedną ręką dzierżąc szablę, drugą natomiast szukając w smolistej czerni ścian jaskini.

Niespodziewanie kawernę zalał łagodny blask bijący z gorejącej latarni wykonanej z ludzkich kości. Spod przymrużonych powiek Qutuz spoglądał na okrytą kolczugą postać, noszącą na zblakłej opończy czerwony krzyż wojowników z zachodu. Chociaż znak zdawał się być wymalowany krwią na splotach materiału, to oblicze łacinnika przykuwało uwagę mameluka, gdyż nie była to twarz należąca do żywego człowieka. Spękana i spalona skóra okrywała płatami wysuszone ścięgna, ciasno oplatające czaszkę, a w pustych oczodołach – miast oczu – tańczyły błękitne płomyki. U szerokiego, rycerskiego pasa zwiisał miecz,

a prawa dłoń w skórzanej rękawicy dzierżyła oskard, lecz, mimo oręza, krzyżowiec nie wydawał się chętny do walki.

– *Franji!* Na Boga, ty też chcesz mojej krwi, niewierny? – krzyknął po arabsku Qutuz ze szczerą frustracją i wyrzutem w głosie, który zabrzmiał dziwnie słabo pośród płowych ścian jaskini. Pomimo uginających się kolan, mameluk gotów był zmierzyć się ze zbrojnym, dosyć mając nieustannych odmian losu, które przez ostatnie dni pchały go od jednego nieszczęścia w objęcia kolejnej, jeszcze bardziej dojmującej biedy.

W odpowiedzi, poparzony krzyżowiec pokręcił czaszką, nie poruszając przy tym ognikami swego wzroku.

– Rozumiesz co mówię? – zdumiał się muzułmanin, a widząc, iż rycerz kiwa głową, mameluk dodał – nie wbijesz mi kilofa w głowę, jak tylko schowam szablę?

Łacinnik powtórnie zaprzeczył ruchem oszpeconej fizys.

– Dobrze, *franji*, zaufam ci, chociaż nie wiem, czy powinienem. – Qutuz spróbował wsunąć szablę do pochwy, ale ta była kompletnie zgnieciona i powyginana po upadku, przeto mameluk zatknął ostrze za skórzany pas. – Diabli nadali.

Muzułmanin uniósł oczy na krągłą gardziel skalnej studni, przez którą wpadł do jaskini. Ściany tutaj były gładkie, pozbawione większych szczelin, w które można by wsunąć dłonie w czasie wspinaczki – tylko na wysokości kilku stóp Qutuz dostrzegł ciemne smugi, pozostawione przez zakrwawione palce oraz zaklinowane w skale ludzkie paznokcie. Powoli do muzułmanina docierała myśl, iż oto znalazł się w pułapce bez wyjścia i przyjdzie mu skonać z pragnienia, nie mogąc wydostać się z powrotem na powierzchnię. Chłodny dreszcz wstrząsnął jego ciałem, gdy Qutuz uświadomił sobie, że już nigdy nie zobaczy słońca, rozlewisk Nilu i nie poczuje na policzku suchego smagnięcia samumu. Mameluk z trudem przełknął ślinę, po czym spojrzał na umarłego łacinnika, którego nawet śmierć się wyrzekła. Ile lat spędził ten poparzony strzep człowieka w zamknięciu, cierpliwie wykuwając oskardem wąską szczelinę, ziejącą ponad jego pancernym ramieniem? Jak daleko sięgał tunel wykonany ręką umarłego krzyżowca? Zapewne nie dosyć daleko.

– Czy... Co... Czy byli z tobą inni ludzie? – wyszeptał Qutuz ze ściśniętym gardłem.

Jaśniej zapłonęła kościana latarnia w ręku krzyżowca, wydobywając z mroku wysuszone szczątki ludzi. Otulone burymi szatami zwłoki leżały skulone, z ramionami wykręconymi w nienaturalnej manierze, z twarzami naznaczonymi agonią i pozbawionymi paznokci palcami rozdartymi do kości. Spod w półrozwartych powiek ziała czerń pustych oczodołów, a wyschnięte wargi odsłaniały zęby, jakby umarli wciąż odczuwali katusze powolnej śmierci, jednocześnie z zazdrością łypiąc ku wojownikowi, który wciąż nosił

w sobie życiodajną wilgoć. W drgającym świetle latarni ciała zdawały się nieznacznie poruszać – obracać głowy, rozwierać wysuszone usta i zaciskać powieki – a mameluk nie był pewien, czy bezpieczniej będzie mu obrócić plecy ku spoczywającym pod ścianą nieboszczykom, czy dzierżącemu światło niewiernemu. Mężczyzna odchrząknął, chcąc, by głos zabrzmiał mu pewnie, tak, jakby jego serca nie obejmowały mroźne pazury strachu.

– Jestem Qutuz – powiedział w końcu muzułmanin, wyciągając dłoń ku martwemu krzyżowcowi. Ten odstawił oskard pod ścianę i uścisnął mocno prawicę mameluka, uśmiechając się nawet lekko, co przydało jego poparzonej twarzy drapieżny wygląd. – Czy wiesz, jak można się stąd wydostać, *franji*? Podejrzewam, że bez liny wspinaczka w górę jest niemożliwa.

Martwy krzyżowiec wypuścił z uścisku dłoń mameluka, zabrał kilof i nakazał Qutuzowi gestem pójść jego śladem, w głąb ciasnego przejścia, wyrąbanego w skałę uderzeniami kilofa. Muzułmański zbrojny podniósł hełm z podłogi, po czym zanurzył się w rozpadlinie, przyciskając policzek do szorstkiej ściany, modląc się przy tym w myślach, aby zmarli w kawernie pozostali na swoich miejscach.

Po stu krótkich, nerwowych krokach, odmierzanych w półmroku przez Qutuza, tunel wpadał do szerokiego korytarza, całkowicie różniącego się od surowego łona jaskini. Bez wątplenia było to dzieło ludzkich rąk – mury tunelu wsparte były filarami, a pod warstwą pyłu oraz odpadłych od sufitu kamiennych odłamków widać było wielokolorową posadzkę. Gdzieś tam mameluk dostrzegł na ścianach wyblakłe zarysy ludzkich postaci, uwiecznione na zatartych przez czas freskach. Wąskie okienka zaślepione były przez skały, jakby bezimienni twórcy tego miejsca zbudowali je tylko dla ozdoby, chcąc nadać podziemnemu korytarzowi wygląd podobny do budowli wznoszonych w promieniach słońca. Powietrze tchnęło tutaj stęchlizną oraz zapachem rozkładu, tak charakterystycznym dla starych miejsc. Choć Qutuz odwiedzał podobne góry piramidy, a ziemia wzdłuż Nilu obfitowała w relikty poprzednich epok, to korytarz, w którym stał, zdawał się starszy, niż wszystko, co mameluk oglądał do tej chwili. Chodnik wiódł wprost ku niskiemu portalowi, otoczonemu błękitnymi płytami, zza którego wylewały się snopy łagodnego blasku. Martwy krzyżowiec zgasił latarnię, zawiesił ją na haku u pasa, po czym ruszył w kierunku światła. Qutuz podążył jego śladem, czując, jak pod stopami chrzęszczą mu kawałki odłupanych ze ścian fresków oraz rozsypujące się w pył cegły.

Wpadająca przez portal aura nie przypominała w niczym słonecznego światła, przez co mężczyźnie nasunęła się myśl, iż zginął on na dnie skalnej studni, by teraz maszerować poprzez rozsypujący się korytarz wprost ku niezwykłej jasności. Dziwnym był w jego oczach

dobór posłańca, lecz kimże był Qutuz – niewolnik zabrany z wybrzeży Gruzji – aby kwestionować wybory Pana? Jeżeli Allah życzył sobie, aby to *franji* doprowadził mameluka przed jego promienne oblicze, on mógł jedynie posłusznie odpowiedzieć na wezwanie. Przekraczając kurtynę łagodnego blasku, Qutuz przymknął powieki, lękając się tego, co ujrzy, gdy je na powrót otworzy.

Nie rajski ogród oczekiwał po drugiej stronie portalu, ale kiedy mameluk odważył się spojrzeć przed siebie, dech zamarł mu w piersi. Oszołomiony Qutuz podszedł do kamiennej balustrady tarasu, spoglądając z wysokości na rozciągające się u jego stóp miasto. Oto stał ponad płataniną ulic oraz mrowiem wspinających się po zboczach akropolu domostw, rosnących coraz wyżej, aż do granicy grubego muru, uwieńczonego złotymi zębami blankowania. Ogrodzony fortyfikacjami *tell* pysznił się malowanymi ścianami pałaców oraz świątyń, lecz wszystkie te ogromne budynki – nawet najwyższe z wież – jawiły się karłami wobec masywnej bryły zigguratu. Ta bowiem splendorem i wielkością przyćmiewała wszystkie inne struktury podziemnego miasta, unosząc swoją koronę blisko dwieście stóp ponad otoczone umocnieniami wzgórze. Po malowanych tarasach budowli splezały wstęgi czarnych łodyg, wijąc się niczym węże, tworząc upiorny widok martwych ogrodów, wiszących ponad miastem. Pomimo braku szczelin w sklepieniu kawerny podziemie wypełniało światło, zdające się promieniować ze złotej kopuły, osadzonej na szczycie zigguratu.

– Piękne – wyszeptał w oniemieniu Qutuz, sunąc wzrokiem od malutkich domków tworzących podgrodzie, po długie schody prowadzące na szczyt monumentalnej wieżycy. Zachwyty mużulmanina nie trwał jednak długo, gdyż jego oczy rychło złowiły brak ruchu pomiędzy budynkami. – Gdzie są ludzie, *franji*?

Rycerz wzruszył tylko ramionami, podnosząc z posadzki tarasu sakwę, która leżała obok czarnego kręgu ogniska.

– Miasto jest puste – stwierdził ponuro mameluk. Choć nadzieja po raz kolejny wymykała mu się z rąk tego dnia, on nie zamierzał się poddawać rozpacz. – Ale ktoś musi podtrzymać światło na szczycie tamtej piramidy.

Oczodoły martwego krzyżowca skierowały się ku zigguratowi, po czym łacinnik przytaknął powoli.

– *Franji*, istnieje sposób, aby dotrzeć niżej?

Ulice przedmieść były pogrążone w półmroku, a zaułki oraz alejki między domami ziały nieprzeniknioną czernią. Qutuz – z dłonią na rękojeści szabli – szedł ostrożnie po wydeptanej glinie stanowiącej nawierzchnię drogi, spod okucia hełmu obserwując smoliste szczeliny okien oraz zetlałe pajęczyny zasłon, wiszące w niektórych otworach. Żaden z domów nie posiadał drzwi od strony ulicy, co niezbyt dziwiło żyjącego w Kairze Qutuza, lecz nadawało wyludnionym przedmieściom aurę niepokoju – jakby nie dla ludzi zostały przeznaczone te siedliska. Mameluk niepewnym wzrokiem spoglądał w ciemne zaułki, wsłuchując się w ciszę, zalegająca ponad miastem niczym pogrzebowy całun – przyprawiała go o lodowate dreszcze, znacznie dotkliwsze niż te wywoływane przez malarię. Ciągłe oczekiwanie szarpało napięte nerwy Qutuza, lecz wszystko wkoło było spokojne i nieruchome, a opuszczone domy straszyły pustymi oczodołami okien oraz grobowym tchnieniem, wydobywającym się z ciemnych wnętrz.

– Wiesz co się tutaj stało, *franji*? Gdzie są mieszkańcy? – spytał chrapliwym szeptem Qutuz. Idący obok niego krzyżowiec zbliżył się do ściany jednego z domów, ściągnął rękawicę z dłoni i poparzonymi palcami dotknął chropowatej powierzchni. Rycerz uderzył pięścią kilka razy w rozsypujący się tynk, odsłaniając ludzkie kości przemieszane z trzcina. Mameluk w milczeniu obserwował kształty ludzkich szkieletów zatopionych w zaprawie, po czym przesunął wzrokiem po otaczającym go mieście – po setkach domostw, wież, świątyń oraz pałaców, jakie wyrastały gęstwiną wokół zigguratu.

– Czy one wszystkie...? – spytał muzułmanin, czując, jak żołądek związał mu się w węzeł. Krzyżowiec wzruszył ramionami w odpowiedzi, ruszając w kierunku ufortyfikowanego akropolu. Łacinnik nie uszedł nawet dwóch kroków, kiedy niespodziewanie zamarł, chwytając za miecz. Qutuz w tej samej chwili posłyszał kobiecy płacz i zatrzymał się nagle, sięgając prawicą ku rękojeści szabli.

– Tam! – syknął mameluk, wskazując na błękitny ognik, rozświetlający okna położone na najwyższej kondygnacji wieży, górującej ponad ulicami wymarłego miasta. Trupie światło raz po raz błyskało w dziurawych ścianach budowli, spływając coraz niżej, aż wreszcie zajaśniało w ciemnej alejce, tuż za odrapanym narożnikiem muru, obok którego stali zbrojni.

Szlochając, na ulicę wyszła otulona burymi szatami postać, tuląc do piersi martwe dziecko. Spod płaszcza wydobywały się blade jęczory ognia, pełzając po wystrzępionej i dziurawej tkaninie, otaczając kobietę aureolą błękitnego blasku. Twarz niewiasty była piękna – pociągła i opalona, o kształtach harmonijnych i miłych dla oka. Mocne kości

policzkowe nadawały kobiecemu obliczu siły charakteru, a migdałowo wycięte oczy zmysłowości, jakiej Qutuz nigdy jeszcze nie widział. Tego uroku nie umniejszała nawet szeroka rana na lewej skroni, z której sączyła się struga płynnego ognia. Egzotyczna była dla mameluka twarz kroczącej ku niemu zjawy, pozostawiającej za sobą szlak płonących kropel. Niewiasta skierowała spojrzenie na Qutuza, błagalnie wyciągając ku niemu zawiniątko z nieruchomym dziecieniem. Hipnotyczna siła paraliżowała mężczyznę, który niczego już tak nie pragnął, jak otrzeć łzy z kobiecych policzków i sprawić, aby wszelka troska zniknęła z tego cudnego oblicza.

Ze świstem miecz opadł na ramiona kobiety, odrąbując je poniżej łokci, po czym krzyżowiec kopnięciem posłał zjawę na glinianą nawierzchnię drogi. Trysnęły wkoło płonące krople, a okaleczone zwłoki potoczyły się bezwładnie pod ceglany mur, uderzając głową o ścianę. Qutuz natychmiast otrząsnął się ze stuporu i dobył szabli, wymierzając lśniący sztych w upiora. Niewiasta wpęzła na mur niczym pająk, obracając wykrzywione nienawiścią oblicze ku ludziom, a następnie rozwarła usta, z których wydostało się jadowite robactwo oraz przeraźliwy, mrozący krew w żyłach wrzask. Mameluk zasłonił uszy, zaciskając przy tym zęby, bowiem krzyk niósł ze sobą tak wielką nienawiść, iż z nosa pociekła mu krew, a świat pociemniał w oczach. Zjawa przeskoczyła przez mur i zniknęła w gęstwinie ciemnych zaułków oraz podworców, rozbijając napotkane garnce oraz naczynia. Po chwili rozgardiasz ucichł w oddali, a rycerz zmiażdżył obcasem buta zawiniątko niemowlęcych kości.

– Co to było? – wysapał Qutuz, wycierając rękawem szaty krew z twarzy. – Na Boga! Dzięki ci *franji*, jestem twoim dłużnikiem.

Krzyżowiec klepnął mameluka w bark, po czym wskazał ostrzem miecza ku piramidzie, wystającej ponad złotym blankowaniem muru, który otaczał *tell*.

Czujnie rozglądając się na boki, ramię w ramię, zbrojni maszerowali ulicą w kierunku mostu, przerzuconego ponad skalną rozpadliną. Budynki tutaj były wyższe niż na przedmieściach, ich ściany były malowane, pięły się wzwyż na wysokość wielu kondygnacji. Zgarbione od upływu czasu, obdarte z tynku wieżyce chyliły się ku ziemi, grożąc upadkiem w każdej chwili. Qutuzowi przywodziły one na myśl ogarniętych trądem ludzi, zgiętych chorobą, która za życia pożerała ich ciała, lecz tutaj – miast kości i mięśni – otwarte rany odsłaniały belki oraz rozsypujące się w proch cegły. Czasami na ścianach budowli mameluk dostrzegał gliniane tabliczki, pokryte nieznanymi mu znakami. Odmienne było to pismo od znanych mu języków, podobne śladom, jakie pozostawia po sobie dłuto albo rylec.

– To miejsce musi być stare – powiedział do siebie Qutuz – bardzo stare.

Mostu strzegły bliźniacze posągi stworzeń o lwich ciałach, okrytych płaszczem rozpostartych skrzydeł. Orle łby dumnie spoglądały przed siebie pustymi oczodołami, a ich majestatu nie umniejszał nawet fakt, iż resztki farb łuszczyły się i odpadały od glinianej skóry gryfów, nadając im wygląd istot dotkniętych zarazą. Qutuz niezbyt chętnie wstępował na spękane płyty mostu, widząc, jak długo by spadał, gdyby antyczna przeprawa rozpadła się pod jego stopami. Mameluk szedł przeto z dala od krawędzi, nie ufając balustradom, dokładnie badając każdy swój krok, unikając ziejących dziur, przez które mógł dostrzec w dole poszarpane skały.

Bezpiecznie stanąwszy po drugiej stronie przepaści, zbrojni zatrzymali się w cieniu ogromnej bramy, osadzonej w licu kamiennego muru. Te zaś zdawały się być dziełem przedwiecznych gigantów, bowiem jasne głązy umocnień nie zostały połączone zaprawą, lecz dopasowane do siebie z taką dokładnością, iż nie sposób było wsadzić ostrza miecza w szczeliny między skalnymi blokami. Uwieńczona złożonym blankowaniem korona fortyfikacji zdawała się płonąć, gdy krenelaż odbijał łagodny blask, promieniujący ze szczytu zigguratu. Qutuz ostrożnie wkroczył w ciemny łuk bramy, rozglądając się uważnie po ścianach i smolistym sklepieniu bramy, nie chcąc, aby piekielny pająk czy jakikolwiek inny stwór skoczył mu niespodziewanie na kark. Ku jego uldze, żadna szkarada nie czyhała przy wrotach na swoją ofiarę – wszystko tu było pozbawione życia, nawet mury.

Wysuszone oczy cytadeli dawno już przestały widzieć, a kamienne serce – skryte głęboko pod najstarszą z baszt – zamarło wieki temu. Teraz akropol podziemnego miasta otaczał tylko martwy krąg kamieni oraz cegieł. Dawniej, w latach świetności, zasadzono w tym miejscu niezwykle kwiat, podobny nieco storczykowi, o skalnych korzeniach oraz nienasyconej paszczy, skrytej pośród wapiennych płatków. Z biegiem lat żyjąca tkanka przeplatała się z dziełem antycznych kamieniarzy, aż całkiem zrosła się z murami oraz basztami wzniesionymi ludzką ręką. Chociaż Qutuz nie wiedział nic o ludziach, którzy zamieszkiwali to niezwykle miejsce, posmutniał na myśl o umierającej powoli cytadeli. Zapewne o setki lat przeżyła ona swych opiekunów, konając na przestrzeni dekad, nie mogąc uciec ze swego skalnego gniazda i nie rozumiejąc, dlaczego ludzie ignorują dźwięk jej proszącego skamlenia.

Martwy krzyżowiec zdawał się być pozbawiony tych rozterek – maszerował naprzód spokojnym, czujnym krokiem, zdradzającym doświadczonego wojownika. Omiatał otoczenie gorejącymi oczodołami, wyuczonym ruchem poszukując zagrożenia, całkowicie ignorując postać mameluka, jakby nie dostrzegając w nim przeciwnika. Dziwnym zdawało się Qutuzowi, iż chrześcijanin był teraz jedyną osobą, na której mógł polegać, ale gdyby przyszło

mu teraz walczyć, bez rozterek stanąłby plecami do krzyżowca, gotów stawić czoła każdemu pomiotowi, który wypełzłby z ciemności porzuconym domostw.

– Szkoda – powiedział mameluk, patrząc na zwalistą fasadę budowli stojącej na końcu szerokiej alei, prowadzącej prosto od bramy ku podnóżom zigguratu. Była to zapewne świątynia, gdyż została wzniesiona z błękitnych i złotych cegieł, tworzących na ścianach wizerunki fantastycznych stworzeń. Sam kształt przybytku również był niezwykle, gdyż przypominał cztery wieże – węższe u szczytu niż u podstawy – połączone lazurowymi murami, które przykrywała od góry złocona kopuła.

– Szkoda, że kiedy stąd wyjedziemy, znowu będziemy wrogami, *franji*.

Krzyżowiec zatrzymał się na chwilę, po czym pokręcił czaszką w odpowiedzi.

Pokrzepiony tym zapewnieniem, Qutuz ruszył wraz z łacinnikiem ku świątynnemu portalowi, który czarną barwą odcinał się od błękitu fasady. Stojąc u progu antycznego chramu, mameluk poczuł na twarzy przenikliwy ziąb, wydobywający się z ciemnego wnętrza. Nawet po niezliczonych latach w powietrzu wciąż było czuć woń żywicy oraz aromatycznych olejków, a w mroku rozbrzmiewało ulotne echo dawnych ceremonii. Krzyżowiec rozniecił płomień w kościanej latarni i podał ją Qutuzowi, samemu wyciągając z sakwy glinianą tabliczkę, zapisaną uderzeniami klina. Płomień w oczodołach łacinnika przesunął się szybko z góry na dół, aż wreszcie spojrzenie rycerza zawisło na jednym z symboli.

– Znasz ten język, *franji*? – zdumiał się Qutuz, po czym zadrzał na myśl o tym, ile lat musiał spędzić rycerz w tej parodii życia, aby poznać sekrety pisma dawno zaginionego ludu.
– Pomoże nam to wrócić na powierzchnię?

Krzyżowiec przytaknął, po czym przekroczył próg świątyni, pozostawiając po sobie kłęby wirującego w powietrzu kurzu. Mameluk podążył jego śladem, wchodząc w gardziel korytarza, starając się przy tym nie pozwolić, aby pusty żołądek nadto hałasował w takiej chwili. Śmiesznym zdawało mu się, że mimo wszystkich dzisiejszych przeżyć jego brzuch przypominał sobie o niezjedzonych tego porankach racuchach. Mężczyzna odruchowo przesunął językiem po spierzchniętych wargach, rozglądając się po obszernej sali, oświetlonej blaskiem latarni.

Pod granatowymi ścianami, okolone aureolami drgających cieni, stały idole dawnych bóstw; barczyści mężowie o trefionych brodach, stworzenia niezwykle kształtów oraz kobiety, dzierżące w dłoniach spróchniałe atrybuty swej władzy. Dziesiątki pustych oczu spoglądały na okryty zakrzepłą krwią ołtarz, otoczony czterema mosiężnymi trójnogami, na których wciąż żarzyły się węgle. Spiralne wstęgi dymu unosiły się ku sklepieniu kopuły, omiatając mozaikę z dziesiątków ludzkich twarzy, zrosniętych ze sobą w jeden makabryczny

twór. Qutuz powiódł oszołomionym wzrokiem po otaczających go posągach, zdających się poruszać wraz z drgającymi w świątyni cieniami.

Ogromna bestia o głowie lwicy i paszczy sięgającej mostka wychylała się z mroku, jakby chcąc rzucić się na mameluka, kiedy ten tylko odwróci wzrok. Nisko przy podłodze trwały w bezruchu odrażające kreatury o pociągłych obliczach, z których wyrastały długie kły, przerastając oczodoły oraz nozdrza; stwory te nie miały nóg, lecz jedynie pełzły naprzód siłą swych chudych rąk. Toczący pianę z lwiego pyska smok owijał swe sploty wokół kolumny ludzkich zwłok, kierując pięcioro oczu na malutką postać Qutuza.

Mameluk potrząsnął głową i zamrugał powiekami.

– Bóg jest wielki, Bóg mnie chroni – szepnął do siebie, po czym dołączył do rycerza, który pochylał się nad czarną płytą ołtarza. Przy krawędzi blatu znajdowały się głębokie rowki, odprowadzające ofiarną krew do kamionkowej stągwi za pośrednictwem wyżłobionego w bazalcie korytka. Krzyżowiec klęczał przy dzbanie, oglądając uważnie jego powierzchnię i czytając antyczne znaki, co chwila porównując znalezione symbole z tymi, które znajdowały się na glinianej tabliczce. Najwyraźniej zadowolony ze znaleziska, krzyżowiec schował artefakt do sakwy, wyprostował grzbiet, a następnie wskazał mamelukowi rząd znaków otaczających bazaltowy ołtarz.

– Na co mam zwrócić uwagę, przyjacielu? – spytał Qutuz, gotów każdym sposobem wspomóc towarzysza. Do tej chwili niewiele udało mu się zrobić dla poprawy swojego losu, a łacinnik nie dość, że darował mu życie i zaofiarował pomoc, to jeszcze ocalił go od zjawy. Mameluk pochylił się nad ofiarnym stołem, przyświecając latarnią tak, aby widać było wyraźnie wszystkie symbole, nawet te zbryzgane zakrzepłą czerwienią.

Krzyżowiec bezgłośnie dobył noża, po czym stanął za Qutuzem i poderżnął mu gardło. Kopnięciem w kolano umarły rycerz obalił dławiącego się własną krwią mameluka, po czym przycisnął jego twarz do chłodnego lica ołtarza, upewniając się, że aromatyczna fala czerwieni spłynie do stągwi. Qutuz szarpał się przez krótką chwilę, ale rychło opadł z sił, a szabla wysunęła się z łoskotem na spękaną posadzkę. Widząc, iż kamionkowy dzban wypełnił się parującą krwią, krzyżowiec odrzucił bezużyteczne już zwłoki w pył, przypasał latarnię, po czym chwycił oburącz za imacze u boków naczynia i opuścił świątynię.

Na szczyt zigguratu prowadziły tysiące stopni, wznosząc się ponad tarasami martwych ogrodów oraz pomniejszych kapliczkami, które wyrastały z grzbietu wzniesionej ludzką ręką

góry. Rycerz stąpał uważnie po wiekowych schodach, nie chcąc rozlać tak cennej zdobyczy, jaką udało mu się zgromadzić w stągwi. Poparzony krzyżowiec nie sądził, iż, ledwo skończy przebijać się na poziom miasta, w ręce wpadnie mu żywy człowiek, ale najwyraźniej chimeryczna Fortuna wciąż była po jego stronie. Oszczędziło to umarłemu poszukiwania stosownej ofiary pośród zamieszkujących powierzchnię pasterzy – tych nietrudno byłoby mu poznać mieczem, ale on potrzebował żywej krwi przelanej na ołtarzu. Gdyby porwał jakieś dziecko, mógłby spodziewać się pogoni, a nawet oblawy ze strony księcia Baldwina, który z pewnością surowo kazałby ukarać tak podły czyn, ale po mameluku nikt tutaj płakać nie będzie. Do skończenia świata jego ciało spocznie w cmentarzysku przedwiecznego miasta, pochłoniętego niegdyś przez skały pod ciężarem własnego grzechu.

Zadowolony z obrotu spraw, krzyżowiec dotarł na szczyt zigguratu, gdzie stanął pod jasnymi murami bożnicy, zwieńczonej gorejącą kopułą, której światło wypełniało całą kawernę. Rycerz spojrział z wysokości na czarne ogrody – niegdyś zdobiące stoki zigguratu – i granatowe mury świątyni u stóp piramidy. Tam ludzie składali niegdyś w ofierze zwierzęta oraz plony ziemi, aby później wnieść je tutaj, pośród gaje palmowe i żywiczne krzewy, otulające zielenią najważniejszą budowlę w mieście. Poniżej miał trudzić się i kłębić ród człowieczy – istotki drobne, nawykłe do pełzania w pyle – lecz tutaj, na wierzchołku zigguratu, mieszkało stworzenie wyższe od wszystkich śmiertelników, skazanych na powolne umieranie od dnia swych narodzin.

Promieniująca światłem świątynia z białej cegły była domem żywego bóstwa.

Umarły napał barkiem na spiżowe wrota, które uchyliły się z piskiem zaśniedziałych zawiasów. Przez szczelinę w skrzydłach bramy na poparzoną twarz krzyżowca padł snop łagodnego blasku, a w nozdrza uderzył go zapach drewna sandałowego oraz kadzidła. Wpierw światło oślepiło rycerza, a ogniki w jego oczodołach przygasły, lecz po kilku chwilach gorejący wzrok pancernego łacinnika zaczął dostrzegać pierwsze szczegóły.

Wnętrze boskiego legowiska przedzielone było muślinowymi zasłonami, poruszonymi przez chłodne powietrze, wlewające się do wnętrza świątyni przez otwarte wrota. Pośród zwiewnych ścian ustawiono wysokie urny z brązu, żarniki oraz posągi wielkiego kunsztu, przedstawiające kozły wspięte na tylne nogi, opierające się o złotolistne drzewa. Chociaż nie brak było tu bogactwa wszelkiej maści, ilość srebra, kamieni szlachetnych czy elektrumowych masek wciąż była wielokrotnie mniejsza od zbiorów glinianych tablic oraz kamiennych płyt, na których starannie wyryto tysiące symboli. Mieszkająca tutaj istota ponad wszystko przedkładała wiedzę i właśnie z tej przyczyny krzyżowiec przybył do jej leża,

rabując groby oraz siłą wymuszając strzępy informacji, które zaprowadziły go do tego miejsca.

Pozostawiwszy stągiew z krwią przy wejściu, rycerz wkroczył między falujące zasłony, dłonią w rękawicy odsuwając na bok warstwy materiału. Ogniki w oczodołach sunęły po zgromadzonych na regałach zapiskach, od czasu do czasu krzyżowiec unosił jakieś znalezisko, by dokładniej przyjrzeć się uwiecznionym w glinie zdaniom. Na szelest muślinowych tkanin za plecami rycerz nie zwracał uwagi, wiedząc, iż spoczywająca tutaj istota pogrążona jest w głębokim śnie, z którego zbudzi ją dopiero smak świeżej krwi. Świętokradczej naturze swego czynu oraz straszliwej zdradzie, jakiej się dopuścił, krzyżowiec nie poświęcił nawet najskromniejszej myśli, całkiem będąc zajęтым przeszukiwaniem antycznych rytów oraz modlitw. Wreszcie – na elektrumowej sztabie – rycerz odnalazł słowa, których szukał przez ostatnie lata. Z czerwonym płomieniem ekscytacji w oczodołach umarły wydobyl z sakwy zwój pergaminu, na którym starannie spisywał wyrazy antycznego ludu. W kilku kolumnach brakowało wciąż pojedynczych znaków, ale dziś krzyżowiec miał zamiar uzupełnić luki i skompletować tajemne formuły, jakich od tysięcy lat nie oglądał żaden spośród żywych.

Rycerz na moment wstrzymał swoje ruchy, po czym prychnął pogardliwie w namiastce śmiechu, rad wielce z własnego konceptu: on wszakże nie należał już do tego grona.

Dzierżąc kompletny zwój oraz kamionkowy dzban, krzyżowiec udał się w głąb świątyni, ku otoczonemu błękitnymi zasłonami legowisku. Pośród miękkich poduszek oraz tkanin – nienaruszonych przez upływ czasu – spoczywała czteroskrzydła bestia o ciele lwa i twarzy olśniewająco pięknej kobiety. Okolone czernią oczy kontrastowały z lekko zbrązowiałą od słońca skórą, a smolista burza włosów opadała na grzbiet stworzenia ciemną kaskadą. Rycerz niewiele wagi przywiązywał do wdzięku zmysłowych ust, tylko podstawił stągiew pod nozdrza skrzydlatej kreatury i czekał, aż życiodajna woń przebudzi ją z wielowiekowego snu.

Przez długi czas nic się nie wydarzyło, ale obietnica bliskiej zdobyczy pozwalała krzyżowcowi zdobyć się na cierpliwość, która została w końcu nagrodzona. Wpierw lwie boki poczęły zapadać się głębiej z każdym oddechem, a końcówka płowego ogona zadrgała kilkukrotnie. Przednie łapy otwały się i zamknęły, zatapiając przy tym pazury w poduszkach, rozrywając bez trudu delikatną tkaninę. Wreszcie rozwarły się uczernione powieki, odsłaniając tęczówki z płynnego złota, które nieustannie drgały, obmywając czerń źrenicy. Prostując orle skrzydła, bestia powstała z posłania, spoglądając przy tym badawczo na

krzyżowca.

– Wiele czasu musiało upłynąć, skoro dzieci Enkiego i Ninhursag poczęły nosić żelazo na swych barkach – przemówiła skrzydlata bestia miłym, głębokim głosem. Chociaż mowa, jaką się posługiwała, była nieco odmienna od opętanego wycia zmarłych, dzięki którym rycerz zawdzięczał rozumienie języka czarnogłowego ludu, krzyżowiec bez trudu pojmował sens słów kreatury. – Ciekawym jesteś gościem w mych progach, *alû*. Nie wierzysz w moich stwórców, widzę to bez trudu, a takie upiory jak ty nie czynią niczego z dobroci serca. Mów, po coś zbudził mnie ze snu?

Rycerz rozwinął zwój.

– Moje błogosławieństwo? – zaśmiała się bestia, lecz po chwili umilkła, zanurzając końcówkę języka we krwi. – Przyniosłeś ofiarę, a nie jadłam od bardzo dawna. Dziękuję, *alû*.

Po kilku łykach lwica uniosła czerwone usta znad stągwi.

– To ludzka krew. Pachnie zdradą – okolone czernią oczy błysnęły groźnie. – Widziałam niezliczonych śmiertelników, niszczących zażarcie wszystko, co kochają, zamieniając żyzne pola w ogrody kości, w których nie wzrośnie żaden kwiat. Dlatego ukryłam to miejsce pod ziemią, by zamknąć okrutników w skalnym więzieniu; dlatego śpię tutaj samotnie, a ty, *alû*, przychodzisz tutaj i chcesz mego błogosławieństwa?

Rycerz przytaknął, po czym klęknął.

– Dobrze więc. Chociaż twoja ofiara nie jest nadto miła, oto mój dar. – Lwia łapa spoczęła na poparzonej głowie krzyżowca, a pazury bestii powoli zanurzyły się w jego skórze. Umarły zniósł to bez cienia bólu; nie skrzywił się nawet, gdy dotyk przedwiecznej istoty począł palić go żywym ogniem – od kiedy skonał, żywcem płonąc pod murami Antiochii, żywioł ten nie był mu straszny.

– Oręż wraży nie będzie ci szkody wielkiej czynić; na polu walki równego tobie znaleźć nie przyjdzie łatwo; w twoich rękach, żelazo czy spiż, zawsze będzie uderzać celnie. Oto moje dary dla ciebie *alû*, w podzięcie za ofiarę z krwi. – Bestia odjęła łapę z głowy rycerza, odrywając przy tym płat zwęglonej skóry, odsłaniając nagą czaszkę. – W zamian obiecuję tylko, iż tajemnice tego miejsca zachowasz dla siebie. Sekrety, jakie odkryli tutaj ludzie, nigdy nie powinny ujrzeć ponownie światła dziennego.

Krzyżowiec wstał, po czym dobył miecza i wymierzył sztych wprost między oczy skrzydlatej lwicy. Jej źrenice zwężyły się z oburzenia.

– Teraz chcesz jeszcze i mojego życia? – warknęła istota, cofając się o kilka kroków. – Dobrze, *alû*, walczmy więc.

Z ogłuszającym rykiem lwica skoczyła naprzód, wyciągając naprzód lśniące pazury, ale

rycerz zręcznie uskoczył na bok, rozcinając przy tym płowe futro na boku bestii.

– Niech cię pochłonie zaraza i szaleństwo!

Skrzydłata bestia obróciła się w ułamku chwili, by raz jeszcze zaatakować krzyżowca. Tym razem jej łapy sięgnęły przeciwnika, bez trudu rozrywając tunikę oraz kolczy pancerz. Rycerz – ignorując ból oraz wściekłość, z jaką pazury wbiły się w jego ciało – wzniósł miecz do uderzenia, oburącz wymierzając cios w przednią łapę istoty i odrąbał ją w łokciu. Złote oczy lwicy wypełniły się łzami bólu, a dwie pary orlich skrzydeł uniosły ją pod sklepienie domostwa. Jasna krew spływała z okaleczonej kończyny brukając podłogę bursztynową posoką, która w mgnieniu oka stawała w płomieniach. Muślinowe zasłony natychmiast zajęły się ogniem, by po chwili rozsypać się w popiół.

– Dlaczego? – spytała bestia, głosem drżącym od gniewu oraz bóleści. – Nie robisz tego dla wiary, dla króla czy kogokolwiek spośród żywych. Dlaczego?

Krzyżowiec wzruszył ramionami, kopnięciem wywracając stągiew z krwią, pozwalając, by fala czerwieni zalała z sykiem dopalające się resztki delikatnej tkaniny.

– Dla siebie to robisz. Dla własnej sławy.

Rycerz potwierdził z uśmiechem na trupim obliczu, zataczając dymiącym ostrzem kilka okręgów.

– Jesteś potworem – prychnęła z odrazą lwica, nurkując z wysokości na krzyżowca, stojącego wśród skłębionych oparów. On natomiast nie usunął się z linii ataku, gotów raz jeszcze znieść uderzenia, które powaliłyby żywego; wziął tylko potężny zamach i szerokim cięciem oddzielił jedno ze skrzydeł od grzbietu lwicy. Bestia runęła ciężko na posadzkę, wrywając przy tym bok rycerza wraz z dwoma żebrami. Osłabła od upływu gorącej krwi, istota dyszała ciężko, nie mogąc unieść się z powrotem na nogi – zbyt długo spała, by teraz mierzyć się z tym przeciwnikiem, którego sama obdarzyła błogosławieństwem. Wiedziała, że zwykle żelazo jej nie zgładzi, lecz teraz nie stawało jej już sił do dalszej walki.

– Masz co chciałeś – syknęła jadowicie – okaleczyłeś mnie, upokorzyłeś. Teraz idź precz.

Krzyżowiec spojrział na rozpalone do czerwoności ostrze miecza, które poczęło giąć się od żaru, promieniującego z posoki skrzydlatej lwicy. Zbrojny odrzucił na bok bezużyteczny oręż, po czym ruszył ku wyjściu bożnicy. W istocie, zdobył to, czego pragnął, a pozostawienie dogorywającej bestii w samotności, skazanej na cierpienia zadane jego ręką, było dlań wielce przyjemnym dodatkiem. Czarne, nieruchome serce w piersi rycerza cieszyło się nawet, iż nie posiadał w tym momencie miecza czy topora, którym mógłby zakończyć życie przedwiecznej lwicy – lepiej było ją pozostawić na pastwę myśli o gorzkiej porażce,

rozpamiętywanej przez nadchodzące stulecia w zamknięciu spustoszonej świątyni.

– Krzyżowcu! – krzyknęła bestia, unosząc głowę z chłodnych płyt posadzki. – Obyś żył wiecznie!



PRZESŁUCHANIE

Artur Grzelak

Sobota była ulubionym dniem pana K. Mógł wtedy odpocząć od pracy w biurze, która pochłaniała go w tygodniu i oddać się swoim pasjom. Wstał wraz z pierwszymi promieniami słońca, kiedy nocne piątkowe życie dopiero gasło. Wziął prysznic, ogolił się, a następnie udał do kuchni. Tam przygotował grzanki, pomidora, sadzone jajka oraz kawę. Otworzył okno i delektując się porannym, letnim powietrzem zjadł śniadanie.

Nasyciwszy się, pan K. przeszedł do pokoju, w którym miał pracownię. Kiedy znalazł się w środku, od razu poczuł gwałtowny przyływ radości. Zawsze kiedy podziwiał efekty swojej wieloletniej pracy, uśmiechał się i cieszył jak małe dziecko na widok ulubionej zabawki.

Pomieszczenie wypełniała kolekcja modeli okrętów. Z półek sterczały groźne, rzeźbione dzioby drakkarów oraz smukłe, wielowiosłowe galery i triery. Majestatycznie

bieliły się żagle fregat, galeonów, pinas i słupów. Dziesiątki mniejszych i większych, złożonych już statków, tworzyły najokazalszy znany panu K. zbiór. Na dębowym biurku leżał niedokończony jeszcze model wojennego galeonu *Pelikan*. Dzisiaj go dokończę, pomyślał mężczyzna i zabrał się do pracy.

Pan K. doczepiał właśnie olinowanie grotmasztu, kiedy usłyszał pukanie do drzwi. Nie spodziewał się żadnych gości. Odkąd kilka lat temu rozwiódł się z żoną, rzadko ktokolwiek go odwiedzał. Jego życie towarzyskie ograniczało się do sporadycznych wyjść z kolegami z pracy. Wstał i powiedział do siebie zdziwiony:

– Kogo licha niesie o tej porze? Jacyś akwizytorzy czy inni domokrażcy?

Mężczyzna podszedł do drzwi i otworzył je. Stało przed nim dwóch niskich, krępych i ogolonych na łyso osobników o bystrych niebieskich oczach. Jeden z nich trzymał w ręku kopertę.

– O co chodzi? – Pan K. przełknął głośno ślinę.

Stojący z prawej mężczyzna otworzył kopertę, wyjął z niej złożoną na pół kartkę i spytał:

– Czy pan K.? – spytał.

– Tak. W czym mogę pomóc?

Ten z lewej uderzył bez ostrzeżenia. Cios był tak silny, że pan K. wpadł do środka, krew ze złamanego nosa zabarwiła dywan na czerwono. Mężczyźni weszli do mieszkania i zamknęli za sobą drzwi.

– Pójdiesz z nami – powiedział ten, który wcześniej trzymał kopertę. – Chyba że od razu się przyznasz?

– Przyznam... – Pan K. próbował się podnieść, ale kopnięcie w brzuch skutecznie go zniechęciło. – Do czego? Nic nie zrobiłem.

– Tu jest napisane co innego. – Osilek wskazał na wetkniętą w kieszeń kartkę. – Jak będzie? Przyznajesz się?

– Mówię, że nic nie zrobiłem... – Głos pana K. się załamał, kiedy drugi z mężczyzn podniósł go i uderzył w brzuch. Zjedzone niedawno śniadanie znalazło ujście i wylądowało na dywanie, mieszając się z cieknącą z nosa krwią. Kolejne ciosy spadały na głowę mężczyzny. Próbował się zasłaniać, jednak bezskutecznie. W końcu znowu wylądował na podłodze, twarzą w kałuży wymiocin. Zachłysnął się i zaczął kasłać, przewracając się na plecy i starając zaczerpnąć powietrza.

– Piękna kolekcja modeli. – Jeden z osiłków zajrzał do pracowni i zagwizdał z udawanym podziwem. – Wiesz, co się z nią stanie, jeśli się nie przyznasz?

– Do czego mam się przyznać... – wycharczał pan K. – Pomyliliście mnie z kimś...

– Masz ostatnią szansę. – Napastnik wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki niewielką buteleczkę. Odkręcił ją i zaczął oblewać zawartością wnętrze pracowni. Po mieszkaniu rozszedł się charakterystyczny zapach benzyny. – Przyznajesz się?

– Nie rób tego... – Pan K. miał łzy w oczach, jego głos drżał. Kiedy próbował się podnieść i ratować swoją drogocenną kolekcję, silne ręce osadziły go w miejscu. – Powtarzam wam, że nic nie zrobiłem... To jakieś tragiczne nieporozumienie. Zostawcie mnie w spokoju, a nie będę informował żadnych służb.

Osilek zaśmiał się i wyjął z kieszeni metalową zapalniczkę. Odpalił ją i uśmiechnął się szyderczo.

– Zabieramy go. Tutaj nic z niego nie wyciągniemy.

W ostatnim przeblýsku świadomości pan K. ujrzał ogień rozprzestrzeniający się po pracowni.

Pan K. z trudem otworzył zapuchnięte i piekące powieki. W pomieszczeniu, w którym się znajdował, panowała nieprzenikniona ciemność, podłoga była zimna i zdawała się wilgotna. Mężczyzna zbadał po omacku przestrzeń dookoła siebie. Okazało się, że jego cela jest niewielka. Kiedy rozłożył ręce, był w stanie dotknąć obu ścian, mógł jedynie się wyprostować oraz zrobić kilka niepewnych kroków.

W jednym z kątów pan K. odkrył miskę z wodą. Napił się łapczywie, delektując się chłodnym płynem, zmywającym z gardła smak krwi i wymiocin. Zakrztusił się i kaszlnął kilka razy. Dopiero po chwili poczuł przeszywający ciało spazm bólu. Złamany nos pulsował tępo. Na głowie i twarzy wyczuł kilka guzów i zadrapań, podobnie na ramionach, rękach i brzuchu.

Gdzie ja jestem, pomyślał pan K. Zaczął macać ściany swojej celi w poszukiwaniu jakiegoś wyjścia. W jednym miejscu znalazł niewielkie ranty, które mogły świadczyć, że są to drzwi. Jednak nie było żadnej klamki, pokrętła ani mechanizmu, który pozwoliłby je otworzyć.

Mężczyzna zaczął uderzać w ściany, jednak skutkiem tego był jedynie głuchy, stłumiony dźwięk. Po chwili poczuł krew spływającą z rozciętej ręki. Zrezygnowany usiadł na podłodze i zapłakał.

Obudziło go skrzypienie otwieranych drzwi. Kiedy uchylił powieki, oślepił go jasny blask świecący prosto w oczy. Poczul napływające łzy i pieczenie wywołane gwałtowną zmianą. Dopiero po dłuższej chwili mógł rozróżnić charakterystyczne sylwetki dwóch mężczyzn.

– Widzę, że już się zadomowiłeś. – Pan K. rozpoznał głos jednego z oprawców z mieszkania. – Chcesz tu zostać na dłużej, czy w końcu się przyznasz?

– Nie mam... – Suchość w gardle przeszkadzała w mówieniu. – Nie mam do czego się przyznawać. Wypuście mnie... Jeszcze możemy rozstać się w zgodzie. Nie zawiadomię policji ani władz.

Szyderczy śmiech wypełnił pomieszczenie.

– A ty ciągle nic nie rozumiesz? Zajmij się nim.

Tym razem osiłek uzbrojony był dodatkowo w zakończoną metalową kulką pałkę. Kolejne ciosy trafiały we wrażliwe punkty pana K., uszkadzając mu kostkę, kolano, genitalia, wybijając kilka zębów i wywołując krwawienie z ucha. Usłyszał chrupnięcie, kiedy kula trafiła w podbródek, najprawdopodobniej roztrzaskując mu żuchwę.

Po kilku minutach napastnik zmęczył się i przerwał katowanie, aby zaczerpnąć kilku głębszych oddechów. Pan K. zwinął się w kłębek na podłodze i szlochał. Zaciskał powieki, starając się ochronić oczy przed oślepiającym światłem. Ból wstrząsał jego ciałem, mężczyzna starał się nie ruszać, aby jak najbardziej go zniwelować.

– Przyznajesz się? – Pytanie zawisło w powietrzu jak sęp nad rannym zwierzęciem.

Słowa więzły w gardle pana K. Wydobył z siebie jedynie nieartykułowane chrząknięcie, które oznaczało odmowę.

– Chyba za mocno go trafiłeś? – Osiłek poklepał kompana po plecach. – Cóż, wrócimy później.

Przychodzili regularnie co kilka godzin. Ponieważ zawsze ustawiali się w ten sam sposób, pan K. nazwał ich Lewy i Prawy. Prawy ciągle zadawał to samo pytanie, natomiast Lewy zajmował się bardziej manualną robotą.

Stosowali różne metody. Pałkę zakończoną metalową kulką zastąpiły po jakimś czasie obcęgi oraz młotek. Połamane palce nawet bardzo nie bolały, o wiele mniej niż poharatana

żuchwa, która utrudniała przełykanie nielicznych brejowatych posiłków i wody. A także wielokrotnie łamany nos, w zasadzie uniemożliwiający oddychanie i świszczący niepokojąco.

Podczas nieobecności oprawców pan K. starał się z całych sił zwalczyć trawiący ciało ból. Pulsowanie pokaleczonej, pokrytej strupami i siniakami skóry powoli doprowadzało go do obłądu. Leżał biernie, starając się nie ruszać, a wszelkie ruchy ograniczyć do minimum. Każdemu wysiłkowi towarzyszył nieopisany ból. Ze śmiechem (który wywołał rżenie w klatce piersiowej) skonstatował, że wizyta u dentysty, która kilka lat temu wywołała jego strach, to nic w porównaniu do tego, co obecnie przeżywał.

Zastanawiał się, kim są jego oprawcy, czego chcą i jak może się wydostać z ich rąk. Musiało nastąpić jakieś nieporozumienie. Pan K. nigdy nie zaszedł nikomu za skórę, próbował żyć w zgodzie z ludźmi, a w zasadzie unikał zażyłości i starał się ograniczyć wszelkie kontakty do minimum. Od dziecka był odludkiem i najlepiej czuł się we własnym towarzystwie.

Najbardziej bał się powrotu Lewego i Prawego. Początkowo starał się nasłuchiwać najdrobniejszego odgłosu, wibrowania podłoża czy podejrzanych skrzypnięć. Najczęściej jednak pojawiali się w momencie, kiedy umęczony bólem zapadał w nie dający ukojenia, pełen majaków i koszmarów sen.

Przebudzenie było gwałtowne, a powrót do rzeczywistości bolesny. Kilka celnych kopnięć w brzuch spowodowało, że pan K. wydał z siebie ochrypły, pełen lęku krzyk.

Oprawcy wrócili.

– Ależ tu śmierdzi. – Prawy teatralnie powachlował ręką przed nosem. – Mówiłem, że trzeba postawić jakieś wiadro. Tak to cała podłoga jest zafajdana.

– Mhm – odburknął Lewy.

– Przyznajesz się? Czy rozpoczynamy kolejną sesję przesłuchania?

– Spierdalajcie... – wyszeptał pan K., kuląc się kąciami.

Prawy zbliżył się do zmalretowanego mężczyzny.

– Co tam mruyczysz?

– Spierdalajcie! – Pan K. zerwał się, ignorując ból promieniujący po poranionym ciele. Uderzył z impetem w Prawego, przewracając go na ziemię. Wymijając Lewego, rzucił się w stronę wyjścia z celi, które zdawało się być na wyciągnięcie ręki. Nagle stracił grunt

pod nogami i runął na klepisko, uderzając głową o twarde podłoże z głośnym dudnieniem. Krew z rozciętego łuku brwiowego zalała mu twarz. Poczul mocarne dłonie podnoszące go i rzucające ponownie w kąt pomieszczenia. Odbił się plecami od ściany nadwyrężając kręgosłup, poczul chrupnięcie i ból, jakby ktoś włożył mu rozgrzany pręt między kręgi.

– Spodziewałbyś się, że taki chojrak? – Prawy podniósł się i spojrzal z obrzydzeniem na ubranie i ręce umazane pokrywającymi podłoże ekskrementami. Kiwnął do kompana i powiedział: – Chodź, muszę się umyć. A ty nie myśl, że ujdzie ci to na sucho!

Pan K. płakał, jednak na jego twarzy pojawił się uśmiech satysfakcji.

Kolejne godziny spędził kuląc się z bólu w kącie celi. *Musiałem uszkodzić kręgosłup*, pomyślał pan K. Przy każdym poruszeniu czuł paraliżujący ucisk w dolnej części pleców, drętwiały mu stopy i dłonie. Staral się nie poruszać i leżeć cały czas w takiej samej pozycji. Każdy najmniejszy ruch, w tym pojawiające się coraz częściej skurcze, wywoływały gwałtowne fale bólu.

Nie poruszył się nawet, kiedy usłyszał zgrzyt otwieranych drzwi. Zapalili lampę, świecąc prosto na niego. Pan K. ciągle trzymał zamknięte powieki, otworzył je dopiero wtedy, kiedy jeden z oprawców, najprawdopodobniej Lewy, podniósł go i posadził na przyniesionym krześle. W kręgosłupie rozjarzył się ogień, rozchodząc się po całym ciele.

Lampa świeciła prosto w twarz mężczyzny, przed oczami latały różnokolorowe mroczki, wywołujące szum i ból głowy. Oprawcy przymocowali ręce pana K. skórzanymi paskami do oparcia krzesła. Związali mu również nogi, aby się nie wyrwał.

Lewy złapał obcęgami mały palec prawej ręki i jednym powolnym ruchem zerwał panu K. paznokiec. Okrzyk cierpienia zwielokrotnił się echem w niewielkiej celi, przechodząc po chwili w ciche skomlenie.

– Przyznajesz się? – spytał Prawy.

Pan K. nie odpowiedział. Nie potrafił skupić myśli, jego ciało wyło bólem z każdego możliwego miejsca. Lewy zerwał kolejny paznokiec, kilka sekund później następny. Krzyk zdzierał gardło do krwi. Na nic zdały się próby wyrwania się, pasy trzymały mocno.

– Przyznajesz się?

Pytanie zawisło w powietrzu. Pan K. nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Czuł zbierającą się w ustach krew z przegryzionego języka. Ręka pulsowała bólem promieniującym aż do barku.

Ostatnie dwa paznokcie prawej dłoni zostały zerwane płynnymi, metodycznymi, precyzyjnymi ruchami. Pan K. wierzył, starając się wyswobodzić z więzów. Kręgosłup zawtórował klującą torturę.

– Przyznajesz się? – Prawy chwycił ofiarę za twarz i spojrzał w pełne cierpienia oczy.

– Tak... – Bezdźwięcznie poruszył wargami pan K.

– Nie słyszę, co powiedziałeś? Przyznajesz się?

– Tak... – Tym razem słowa były słyszalne. – Tak...

Lewy przymierzający się właśnie do drugiej dłoni odstąpił krok w tył.

– Czy to było takie trudne? Warto było tyle cierpieć? – Prawy zaśmiał się i skinął do swego towarzysza. – Odwiąż go, przynieś wodę i coś ciepłego do jedzenia.

Po chwili wyszli z celi, a pan K. ponownie został sam na sam z towarzyszącym mu bólem.

Kiedy zjawili się ponownie, po raz pierwszy nie bili. Prawy stał w drzwiach, nawet nie zaglądając do wnętrza celi. Lewy natomiast przyniósł talerz z parującą jeszcze pożywną zupą, a także dwie butelki z wodą, ręcznik i kubelek na nieczystości. Pomrukami i ponagleniami dał znać panu K., że zaczeka, póki ten nie skończy posiłku.

Przełykanie ciepłej zupy przychodziło mu z trudem. Podrażnione od krzyku gardło i krtań paliły przy każdej łyżce. Zanim skończył, minęło dobre kilkanaście minut, po czym opanowały go błogość i sytość, jakich nie zaznał od dłuższego czasu.

Lewy zabrał talerz i zamknął celę, nie mówiąc ani słowa. Pan K. zastanawiał się, co teraz z nim będzie. Przyznał się, choć sam nie wiedział do czego. Jego ciało zmieniło się w jeden wielki, gorejący bólem kawał mięsa. Ale wyglądało na to, że oprawcy zmienili swoje nastawienie, inaczej nie dawaliby mu jedzenia.

Następnie pan K. zużył jedną butelkę wody, aby się opłukać. Powoli zmywał z siebie krew, brud i pot, sycząc, kiedy płyn podrażniał rany. Zupa dodała mu nieco sił, miał nadzieję, że ten dramat niedługo się skończy. Wypuszczą go i będzie mógł wrócić w końcu do swojego mieszkania.

Odrobinę uspokojony tymi myślami, zasnął.

– Przeprowadziliśmy kogoś, kto się teraz tobą zajmie. – Prawy przepuścił w drzwiach wysokiego, szczupłego mężczyznę o zaczesanych do tyłu włosach. Ubrany był w lekarski kitel, a na nosie błyszcząły szkła okularów. – To on, Doktorze.

Nazwany Doktorem jegomość wszedł do celi i obejrzał jej wnętrze krytycznym okiem.

Następnie przyjrzał się więźniowi i skrzywił z niesmakiem.

– Proszę usiąść na krześle – powiedział z obco brzmiącym akcentem. – Muszę pana zbadać.

Pan K. spojrział podejrzliwie na Doktora, jednak po krótkiej chwili wahania oraz widząc ponagląjące spojrzenie Lewego, wstał z trudem i usiadł na przyniesionym przez oprawców krześle.

Prawy zapalił lampę, jednak teraz światło nie padało prosto w twarz Pana K., lecz równomiernie oświetlało całe pomieszczenie. Doktor zdjął z szyi stetoskop i przyłożył do pokrytej strupami i krwinkami klatki piersiowej mężczyzny. Następnie zajrzał do ust, zbadał reakcję źrenic, a także zerknął do uszu i ostrożnie pomacał złamany nos.

– Nieźle go poharataliście. – Zwrócił się do Prawego. – Długo tu przebywa?

– Siódmy dzień.

– Przyznał się?

– Tak. Wczoraj.

– Świetnie. W takim razie panie... – Doktor chrząknął i sięgnął do kieszonki na piersi, wyjął z niej zgiętą wpół kartkę i odczytał zapisane na niej nazwisko. – Pójdzie pan teraz ze mną.

– Czy to znaczy... – Pan K. odchrząknął i dokończył. – Czy to znaczy, że będę mógł wrócić do domu?

– Do domu. – Chichot Doktora poniósł się po ścianach. Po chwili dołączyli do niego również Prawy i Lewy. – Przyznanie się to dopiero początek. Zabieramy pana do sali przesłuchań. Wyzna pan nam wszystkie swoje winy.

www.kostnica.com.pl

KOSTNICA

POZORNIE MARTWA STRĘPA

HORROR THRILLER KRYMINAL SENSACJA FANTASTYKA

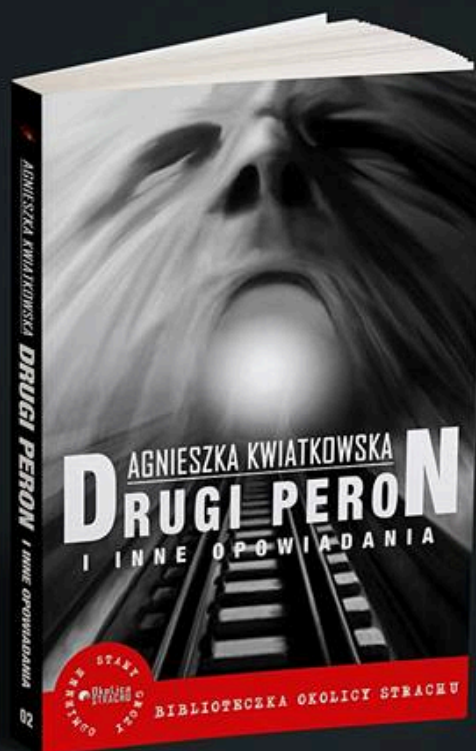


www.kostnica.com.pl

RECENZJE
OPOWIADANIA
GALERIE
NOWOŚCI
KONKURSY
FILM
KSIĄŻKA
GRA
KOMIKS

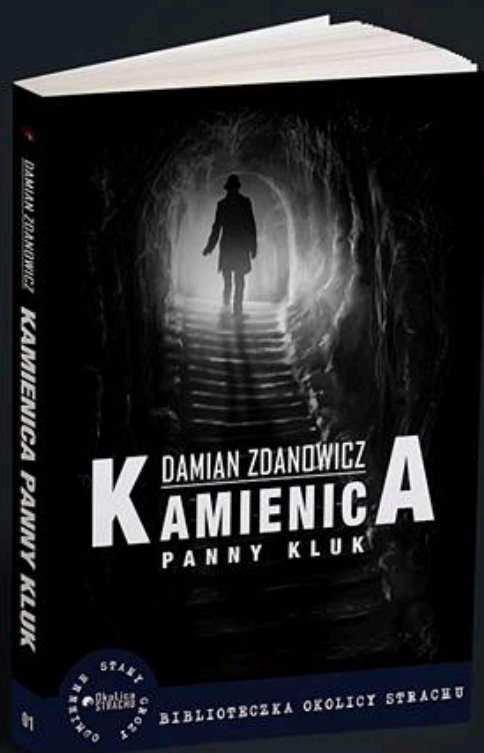
„Wyjątkowa wrażliwość, niesamowity klimat i inspiracje klasycznymi opowieściami grozy to cechy twórczości Agnieszki Kwiatkowskiej, która z pewnością ma szansę zostać czołową autorką polskiej literatury grozy młodego pokolenia”.

Łukasz Radecki



„Absolutny słuch literacki w służbie upiornej wyobraźni kontrapunktowanej niezwykle wrażliwością. Mówię to w pełni świadomie: Damian Zdanowicz to największy talent literackiego horroru w Polsce”.

Wojciech Gunia



rys. Magdalena Isbrandt



PRZEŚLADOWCA

Rafał Klekowiecki

Wbijał swoje świdrujące, a zarazem beznamiętne spojrzenie w tył głowy Maćka. Robił to, ilekroć tylko nadarzyła się okazja. Nie uciekał się jednak do śledzenia go, bowiem pewne zrządzenie losu sprawiło, że zarówno on, jak i Maciek często przebywali w tych samych

pomieszczeniach. Tym samym wspólne miejsce pracy, zamiast stać się miejscem, w którym mogła narodzić się i rozwijać dobra znajomość, stało się miejscem utrapienia. Początkowo nie wskazywało na to, by kompan chłopaka miał wobec niego jakieś złe zamiary. W pierwszych dniach obecności młodego pracownika w firmie nawet nie zwracał na niego uwagi, jakby był zajęty wyłącznie własnymi sprawami. Można by nawet pokusić się o stwierdzenie, że ignorował nowego pracownika, nie odzywając się do niego ani słowem. A i sam nowy pracownik nie pozostawał mu dłużny, zdając się nawet nie wiedzieć o jego istnieniu. Prawdopodobnie nie rozpoznałby go nawet, gdyby mijali się na ulicy.

Firma, w której zaczął się młody mężczyzna, nie była może szczytem jego marzeń, ale na ten moment była tym, czego potrzebował. Dawała stałość dochodów, chociaż te znacząco odbiegały od średniej krajowej i niestety nie było to odchylenie w górę. Pozwalała także na zdobycie doświadczenia, które było mu szczególnie potrzebne w dalszej karierze. Podobnie jak pozostali pracownicy biura nie miał jeszcze pojęcia, jaka to będzie kariera, ale wiedział, że będzie. Gdzieś i kiedyś. Nikłe dochody nie pozwalały jednak na pełne rozwinięcie skrzydeł przez chłopaka, który tak naprawdę dopiero co wyrwał się z rodzinnego domu. Umożliwiły wynajęcie małego, ciasnego mieszkania w starym budownictwie, którego największym plusem był brak współlokatorów. Plus ten jednak niwelowała liczba pomieszczeń ograniczona do minimum i całkowity brak mebli. Oszczędności pozwoliły mu jedynie na kupno materaca i kilku podstawowych elementów zestawu „zapłać nam i złóż to sam”. Jego mieszkanie można było nazwać raczej miejscem, w którym sypiał, a nie domem. Ale w tym momencie to nie miało większego znaczenia. Przyszłość miała być lepsza niż teraźniejszość i nawet brudne ściany nie mogły tego zniweczyć.

W nowej firmie szybko wdrożył się do swoich prostych obowiązków. Może nie należał do najbardziej kontaktowych osób i gdy inni pracownicy zbierali się w pokoju socjalnym w celu przedłużenia przerwy obiadowej, on wolał posiedzieć przy swoim biurku, w ciszy i spokoju. Może to właśnie ta inność sprawiła, że wpadł w oko swojemu prześladowcy? Od początku zatrudnienia starał się zostawać w firmie do późna, realizując powierzone mu zadania, których wielkość znacząco wykraczała poza jeden etat. Nie przejmował się tym jednak, ponieważ dom czy też owo miejsce do spania i tak było puste i smutne, a wpatrywanie się w plamy na ścianie nie było tak dobrze płatnym zajęciem, jak uzupełnianie kolejnych pól arkusza kalkulacyjnego. Nie było w ogóle płatnym zajęciem. Czasem oprócz niego w biurze dłużej zostawały jeszcze inne osoby, które jednak siedząc wpatrzone we własne monitory, raczej unikały kontaktu słownego, sporadycznie tylko zerkając towarzysko z półśmiechem. Kontakt taki wystarczał mu całkowicie. Zbędne

rozmowy odciągałyby go tylko od pracy, nie dając wiele w zamian, a jedzenie i meble oraz pozostałe konieczne wyposażenie same nie znajdują się w jego mieszkaniu, w którym brakowało nawet lustra. Pocieszała go myśl, że na szczęście nie musiał się golić, odkąd brody znowu stały się modne. Golenie się bez lustra byłoby nader kłopotliwe. Pozostawiona w mieszkaniu infrastruktura pozwalała natomiast na bezproblemowe wykonanie pozostałych niezbędnych współczesnemu człowiekowi czynności, z podgrzaniem wody włącznie.

To był czwarty tydzień pracy, przybliżający go znacznie do pierwszej pensji. Dwadzieścia dwa dni nadgodzin przepracowanych kosztem snu. Przynajmniej płatnych, co budziło jego niewielki uśmiech, nie wszyscy jego rówieśnicy mieli bowiem zapewniony ten luksus, realizując się w darmowych pracach na czarno. Zaczerwienione od wpatrywania się w jasne światło monitora oczy zaczęły odmawiać posłuszeństwa, zaciągając przed sobą powieki. Walczył z tym uczuciem za pomocą pierwszej, drugiej i trzeciej kawy. Przeważnie dawały one radę, ale tego dnia okazały się środkiem niewystarczającym. Z pewną złością wynikającą z konieczności przerwania pracy udał się do znajdującej się bezpośrednio za biurem firmowej ubikacji, aby przemyć twarz wodą. Ocucić się i znaleźć w sobie jeszcze trochę energii na wyrobienie ponadprzeciętnego planu. Zimna woda przyniosła pewną ulgę gałkom ocznym, wyciskając z nich i z zasypiającego już mózgu niewielki zasób mobilizacyjny.

Powracając do swojego biurka, zwrócił uwagę na to, że w międzyczasie ostatnie dwie osoby, które towarzyszyły mu do późna, już wyszły. Z nowymi siłami powrócił do swoich zadań. Nie był to pierwszy raz, gdy został sam w biurze. Pewna pazerność na płynące z nadgodzin pieniądze sprawiała, że zostawał do późna, gdy tylko mógł. Z racji braku innych obowiązków było to praktycznie zawsze. Tym razem jednak w pomieszczeniu nie było tak jak zawsze. Oświetlane tylko jedną lampką przy jego biurku i światłem płynącym od monitora, było ciemne jak zwykle o tej porze. Różnica tkwiła gdzieś indziej. Ledwo wyczuwalna, ale frustrująca. Z początku to ignorował, jednak uczucie dziwności narastało, nie pozwalając mu się skoncentrować. Coraz częstsze odwracanie głowy, jakby za jego plecami miało znikąd wyrosnąć monstrualne zagrożenie i tylko szybkie dostrzeżenie go miało ocalić mu życie, także nie ułatwiało uzupełniania kolejnych kolumn w programie. W pomieszczeniu nie miało jednak prawa być nikogo poza nim, w końcu dostęp do budynku był kontrolowany. Myśl ta nie uspokoiła go jednak, wymuszając przedwczesne, aczkolwiek i tak bardzo późne zakończenie pracy.

Powrócił do domu autobusem pełnym, jak zawsze, anonimowych ludzi. Samotność w obcym mieście nie była dla niego zbyt dużym wyzwaniem. Jako introwertyk czuł się z tym

nawet dobrze, skupiając się znacznie częściej na tym, co miał w głowie, niż przed nią. Otwierając drzwi, przywitał się z dużą plamą na ścianie. Gdyby nie była dziełem przypadku, a celową twórczością, mogłaby być warta miliony, ale tak tworzyła jedynie niemal gustowny, ale jednak paskudny obraz taniości, uzupełniany przez jeszcze czysty, biały materac. Zmęczenie nie pozwoliło mu nawet na przysnuc. Wziął łyk nieświeżej wody z butelki i nie w pełni się rozbierając, rzucił się na swoje amatorskie łóżko, zaciągając koc na głowę. Jego miejsce do spania dawało spokój.

Kolejny dzień nie różnił się swym początkiem od poprzednich. Szybkie śniadanie, szybka toaleta i szybkie, przynajmniej w założeniach, dostanie się do firmy. Autobusowi nie było jednak tak śpieszno, jakby na to wskazywał rozkład, czego skutkiem był lekki wzrost poziomu złości u Maćka. Jedno spóźnienie to nic strasznego, ale co jeśli przydarzą się kolejne – pytał się w głowie. Nie mógł podpaść przełożonemu, za bardzo zależało mu na tej i tak dość słabej, ale lepszej od innych, pracy.

Ciemny monitor rozświetlił się szybko za sprawą jego dotyku. Wokoło słychać było stukot klawiatur, tylko jego jeszcze nie pracowała. Jego i jeszcze jedna. Klawiatura z samego kąta pod ścianą, z dala od okna. Oczywiście nie był w stanie tego usłyszeć, gdy tyle dźwięków nakładało się na siebie. W tym momencie nie miało to go nawet prawa zainteresować. Szybko powrócił do przerwanych wczorajszej nocy obliczeń. Teraz równomiernie stukały już wszystkie klawiatury.

Dzień powoli i ze spokojem przeradzał się w wieczór, a ludzi w biurze ubywało, aż w końcu zniknęli wszyscy pozostali pracownicy. Ponownie został już tylko on i ponownie zagościło w jego oczach i umyśle uczucie zmęczenia. Ten wieczór różnił się jednak od wcześniejszych pewnym szczegółem. Z początku go nie dostrzegł. Wydawało mu się, że jest sam, ale w istocie sam nie był. Ktoś, podobnie jak on, też chciał uzyskać miano nocnego marka. Odwrócił się, by dojrzeć, kto tak mu wtóruje stukaniem w klawisze, ale wszystkie nabiurkowe lampki, poza jego, były wyłączone. Jedynie z kąta biura dochodziło słabe światło monitora, nie mógł jednak dojrzeć twarzy, którą oświetlało. Tamten człowiek także zaczął wpatrywać się w niego, a przynajmniej tak się Maćkowi zdawało, ponieważ jego klawiatura umilkła. Ta cisza przywołała poznane wczoraj uczucie dziwności. Chciał nawet coś powiedzieć do swojego towarzysza, ale nic szczególnego nie przyszło mu do głowy. Wiedział natomiast, jak bardzo on sam nie lubi, gdy przeszkadzają mu w pracy. Uznał więc, że i tamtemu by to przeszkadzało i nie odezwał się ani słowem. Równomiernie pracujące klawiatury w pewien sposób nawet rozbawiały chłopaka, który poczuł potrzebę rywalizacji. Wpisując jednak dane coraz szybciej i szybciej, miał wrażenie, że nie może uwolnić się od

owego człowieka, który podjął tak podświadomie rzucone wyzwanie i nie zamierzał przegrać. Ta swoista gra przynajmniej odciągnęła na bok potrzebę snu i przez kolejne godziny podtrzymywała jednakową wydajność pracy Maćka, a osobiście narzucone wysokie tempo utrudniło zbędnym myślom przeszkadzanie w pracy. Gdy dane z ostatniego dokumentu zostały przeniesione do komputera, chłopak odetchnął. W biurze zapanowała cisza. Odwrócił się, aby spojrzeć, czy jego nocny towarzysz także skończył już pracę, ale nie dostrzegł ani jego, ani żadnego światła z kąta pomieszczenia. Chyba musiałem nie zauważyć jak wyszedł – pomyślał i sam udał się do wyjścia.

Nocny autobus podjechał o czasie. Ci sami ludzie co zawsze, część wesoła, bo pod wpływem, część śpiąca, bo po kilku głębszych. Wszyscy jednakowo nieznani chłopakowi. W mieszkaniu powitała go jak zawsze dobrze już znana plama i ściany pełne śladów po nie wiadomo jak dziwnych czynnościach. Przed nim weekend, tym razem bez ani jednego dnia pracującego. Niestety – pomyślał Maciek i zamknął oczy. Miękki materac i myśli o tym, jakie niezbędne rzeczy kupi za pierwszą pensję, ułatwiły mu zaśnięcie.

Te dwa dni zleciały mu bardzo szybko i właściwie sam nawet nie wiedział, na czym. Gdyby ktokolwiek zapytał go, co robił w sobotę lub niedzielę, to odpowiedziałby po dłuższej chwili namysłu, że nie pamięta i byłaby to odpowiedź całkowicie szczerą. To co robił nie naładowało go jednak energią, bowiem w poniedziałkowy poranek z trudem zwał się ze swojego materaca i po szybkim przygotowaniu udał się do pracy. Tym razem dotarł punktualnie.

Powtarzalność wykonywanych przez niego zadań była na tyle nużąca, że mógł w ich trakcie myśleć o czymkolwiek. Jednak konieczna precyzja w przepisywaniu kolejnych ciągów cyfr i znaków jednocześnie uniemożliwiała mu jakiegokolwiek myślenie. Mógł jedynie odczuwać. Słyszeć i widzieć. W tym niemyślącym mechanicznym powtarzaniu czynności dotrwał aż do przerwy obiadowej, która resztę pracowników wymyła do stołówki i pokoju socjalnego. Resztę, czyli nie jego i nie pracusia – nocnego marką z kąta pomieszczenia. W czasie przerwy Maciek pracował, jednak wolniej niż zwykle, na co wpływ miała trzymana w jednej ręce kanapka. Widocznie podobny zwyczaj miał także jego towarzysz, bowiem z rogu biura dało się słyszeć podobnie wolne stukanie w klawiaturę. Stuk, stuk, stuk, z odstępami sekundowymi lub wolniejszymi, dość regularne. Dokładnie takie jak jego. Odwrócił się jakby mimochodem, powoli i z pewną dozą nieśmiałości, myśląc, że może tym razem dostrzeże, kim jest ten naśladujący go współpracownik.

W kącie biura siedział człowiek o aparycji tak zwyczajnej, że właściwie nie do poznania w tłumie. Ubrany podobnie do niego, a może nawet niemal tak samo, co z miejsca,

które zajmował Maciek, było niedostrzegalne, ale też i nie wywoływało zdziwienia z racji tego, iż większość pracowników ubrana była w podobne ubrania. Nie widział, czy tamten także trzyma w ręku kanapkę, czy po prostu z czystej złośliwości małpuje jego ruchy, tak powolnie uderzając w klawiaturę. Dziwne były natomiast jego oczy. Nie same w sobie, ale w tym, gdzie były skierowane. Nie patrzyły bowiem ani na blat biurka, ani na monitor, ale centralnie w oczy chłopaka. Gdy tylko Maciek zdał sobie z tego sprawę, po jego plecach przeszedł dreszcz. Szybko odwrócił się do swojego monitora, jednak uczucie, że obcy spod ściany wpatruje się w jego kark, pozostało. Starał się uważniej nasłuchiwać dźwięków jego pracy, by odgadnąć, czy kieruje nim czysta złośliwość, a może nawet tylko zaczepność, czy to synchroniczne wpisywanie danych jest jednak tylko dziełem przypadku. Powracający z przerwy pozostali pracownicy uniemożliwili mu jednak rozgryzienie tej zagadki. Z nimi w pobliżu uczucie obserwowania ulotniło się. Przynajmniej do momentu, gdy znów nie został sam w biurze. Sam z nim.

Próbował zerknąć na niego kątem oka, ale tamten siedział w takim miejscu, że tylko pełne obrócenie głowy pozwoliłoby mu na prowadzenie obserwacji. Mógł oczywiście jak normalny człowiek podejść i odezwać się do nieznajomego, ale pewne cechy charakteru Maćka rażąco utrudniały mu to zadanie. Uczucie dziwności powróciło zwielokrotnione. Był pewien, że jest przez tamtego człowieka obserwowany. Nieustannie, od momentu, gdy tylko zostali sami w pomieszczeniu. Jego spojrzenie powoli paraliżowało nogi chłopaka, nie pozwalając mu nawet wyjść do ubikacji. Ręce mogły tylko kontynuować rozpoczętą wiele godzin wcześniej pracę, przewracając i odkładając na kupkę przepisane już kartki. Oczy prawie nie mrugały, bojąc się, że gdy tylko zamkną się na zbyt długo, tamten pojawi się nagle przed nim. W tym strachu udało się mu dotrzeć do końca długiego dnia pracy. W momencie, gdy już na dziś nie miał żadnych obowiązków, zdał sobie jednocześnie sprawę, że ponownie chyba przeoczył wyjście tajemniczego człowieka z biura, w całym pomieszczeniu panowała bowiem cisza. Dla pewności wyszedł szybkim krokiem i niemal biegiem dotarł na przystanek autobusowy. Był na nim sam, kilka minut przed przyjazdem kursującego co ponad pół godziny autobusu nocnego.

W pojeździe nic się nie zmieniło. W domu nic się nie zmieniło. Sen nic nie zmienił.

Niewyspany zerwał się na dźwięk budzika. Ten musiał już od kilkudziesięciu sekund głośno dzwonić, co do tej pory się nie zdarzało. Zwykle wystarczyło pięć sekund, by wybudzić chłopaka, ale nie dziś. Na poranne czynności na szczęście nie potrzebował zbyt wiele czasu i ta minuta, może dwie, dłuższego snu, nie zaburzyły mu poranka. W pracy był

o czasie. On, pozostali pracownicy i tamten. Siedział przy swoim miejscu, dotykając fotelem ściany. Świdrował go wzrokiem. Beznamiętnie, ale precyzyjnie.

Równocześnie zaczęli wpisywać dane do komputera, co chyba miało stać się już regułą. Spojrzenie nieznajomego zdawało się tym razem nie znikać z karku chłopaka, pomimo obecności obok innych osób. Co więcej, zaczęło ono nawet w pewien sposób na niego oddziaływać, powodując nerwowe ruchy rąk, próby zrzucenia owego spojrzenia w inne miejsce, jakby był kotem, który goni za czerwoną kropką lasera i nigdy nie może jej złapać. Te dziwne i narastające z biegiem dnia zachowania zaczęły kierować w stronę stanowiska Maćka spojrzenia pozostałych pracowników. Nie zwracał na to uwagi, zatapiając się w swojej pracy. Co chwilę jednak uzmysławiał sobie, że coś jest nie tak, co chwilę orientował się, że nawet nie odwracając głowy wie, że tamten ktoś na niego patrzy.

W czasie przerwy obiadowej, odmiennie niż dotychczas, wyszedł z pomieszczenia, nawet się nie oglądając i wmawiając sobie, że ma gdzieś to, czy tamten za nim pójdzie, czy zostanie. Chciał spędzić trochę czasu w towarzystwie innych ludzi. Przeszłszy przez drzwi biura znalazł się na długim korytarzu pełnym podobnych drzwi. Ogarnęło go dziwne uczucie. Znał to miejsce, przechodził nim już dziesiątki razy, ale nigdy nie był tu w ciągu dnia. Owszem, bywał mocno wczesnym rankiem i nocą, ale za dnia było ono całkowicie obce, a zarazem tak samo puste jak w ciągu nocy. Rozejrzał się w lewo i prawo, ale nigdzie nie dostrzegł oznaczeń, które skierowałyby go do biurowej stołówki albo pokoju socjalnego. Przeszedł kilka kroków w lewo, nie wiedząc nawet, czy to właściwy kierunek. Pierwsze drzwi nie miały jakiegokolwiek napisu świadczącego o tym, co jest za nimi. Zaczął więc iść dalej, ale każde kolejne w tym zdawało się nieskończonym korytarzu nie różniły się od nich niczym. Czwarte, piąte, szóste, oddalone od siebie o kilka metrów, mogły prowadzić zarówno do wszystkiego, jak i do niczego. Nie miał odwagi naciskać każdej klamki i sprawdzać, czy to przypadkiem właśnie za nimi nie skryli się jego współpracownicy. Ponownie zdał sobie sprawę, że jest to pierwszy raz, gdy opuścił biuro w innej porze niż nocna. Nie tylko w celu zjedzenia czegoś w porze obiadowej, ale w ogóle pierwszy raz. Świadomość tego stanu, w połączeniu z potencjalnym bezsensownym dalszym przemieszczeniem się zaskakująco nieznanym korytarzem, przyciągnęły go z powrotem do biura. Z zaczynającym go przerażać obcym, ale jednak oswojonym i w miarę bezpiecznym przestrzenią. Wchodząc do pomieszczenia, od razu dostrzegł wzrok tamtego. Jakby tylko czekał na niego z wycelowanym spojrzeniem, nie mając nic lepszego do roboty. Tylko skupienie się na pracy mogło, według Maćka, odegnać tę stresującą sytuację. Powrócił do swych zadań, realizując je z wytrwałością aż do

godzin nocnych. Gdy tylko ostatnia kartka została przepisana, wybiegł z biura przez znowu znajomy korytarz i pognął do autobusu.

Miejsce do spania niemogące być jeszcze nazwane domem było jedyną oazą spokoju. Towarzystwa dotrzymywała mu plama na ścianie, która wydawać by się mogło znacząco się od wczoraj powiększyła i przybrała bardziej brunatny odcień. Nocą towarzyszyły Maćkowi koszmary, których jednak z rana już nie pamiętał, a jedynym śladem po ich obecności był wilgotny od potu materac. Kubek kawy trząsł mu się w rękach, rozlewając część swojej zawartości po podłodze. Tym drżeniem rąk podświadomość próbowała przebić się do świadomości, ale czy skutecznie?

Ponownie przywitały go jego oczy. Starał się nie odpowiadać jednak na to, jak zgadywał, zaczepne spojrzenie, ignorować w ogóle jego istnienie. Nawet mu się udawało. Jedynie co chwilę robił dziwny grymas na twarzy, w momentach uświadomienia sobie, że jest stale obserwowany przez biurowego psychopatę. Grymasy i nerwowe ruchy rąk nie uchodziły uwadze pozostałych współpracowników, ale nie przejmował się tym. Robić swoje i nie popełniać błędów – tą dewizą starał się kierować. Działo.

Działo do momentu, gdy nie musiał udać się do ubikacji. Wszedł do znajomego pomieszczenia sam i zamknął się w kabinie. Opróżnienie pęcherza ulżyło mu. Starał się nie przerywać pracy na dłużej niż to konieczne, czyli właściwie nigdy jej nie przerywać. Do ubikacji chodził jedynie z konieczności. Otworzył drzwi od kabiny. Nagle przez całe ciało przeszedł mu dreszcz. Tamten stał naprzeciwko niego, dwa, może dwa i pół metra przed nim i przeszywał go swoim wzrokiem. Maciek znieruchomiał nie tylko fizycznie, lecz także psychicznie, a jego mózg odtwarzał zapętlone uczucie gigantycznego strachu. Sekunda w jego percepcji rozciągnęła się wielokrotnie. Prześladowca zdawał się nie zważać jednak na nic, tylko stał i patrzył. Nic więcej. Nie było nawet widać, czy oddycha. Pchnięcie adrenaliny żyłami prosto do mięśni przywróciło w kończynach chłopaka sprawność. Wybiegł, wymijając prześladowcę i z impetem nacierając na drzwi. Wpadł do biura, zwracając na siebie uwagę wszystkich obecnych. Dorwał się do własnego stanowiska i nerwowo zaczął przerzucać kartki z danymi. Pomędzy osobami w biurze rozniósł się szept, który stopniowo narastał i narastał, uderzając coraz mocniej w bębni słuchowe chłopaka, powodując w jego głowie hałas nie do zniesienia. Maciek próbował się przed tym bronić, zatykając uszy dłońmi, ale to nie pomagało. A dłonie na uszach to nie dłonie na klawiaturze, nie ruszą pracy do przodu. Bódźce słuchowe uderzały go z każdej strony, a jakby tego było mało, znowu z tyłu zaczęło się wbijać znajome spojrzenie. Palilo jego kark aż do czerwoności. Swąd mięsa zaangażował

kolejny zmysł chłopaka, wywołując u niego stan nie do zniesienia. Resztkami sił zerwał się z fotela i krzycząc coś niezrozumiale, pobiegł przed siebie.

Ocknął się w miejscu do spania, nie wiedząc jednak, jak i kiedy tu dotarł. Była dalej noc. Przeciągnął materac w kąt pokoju, tuż pod brązową plamę, skulił się na nim i zakrył kocem. Nie dostrzegając, że mimowolnie buja się w tył i przód, a plama przybiera jakby ludzką postać. Zasnął, także nie wiedząc kiedy.

Obudziły go krople deszczu uderzające o parapet i niesamowicie szare niebo. Mokra ubranie wskazywało na to, że nie była to najlepsza noc, ale doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Nie patrzył na zegarek, nie myślał dziś o pracy, chociaż jednocześnie wiedział, że powinien w niej być. Zwlókł się z materaca i poszedł do kuchni z narzuconym na plecy kocem. Jego ciało drżało. Wstawił wodę na herbatę i poszedł przemyć twarz. Musiał wpaść w jakiś trans nad umywalką, z którego wyrwało go dopiero gwizdanie czajnika. Wrócił do kuchni i wyłączył gaz. W tym momencie znowu poczuł to wbijające się w plecy coś. Tamten. W jego mieszkaniu. Stał pomiędzy nim a drzwiami balkonowymi i wpatrywał się tak samo jak przez ostatnie dni. Bezczelnie. Jak się tu dostał? To dla Maćka była wielka niewiadoma, ale nie miał czasu zgłębiać tej tajemnicy. Tym razem jednak będzie inaczej – pomyślał i w przyływie złości natarł z rozpędem na intruza, chcąc się go pozbyć z mieszkania i być może z całego jego życia. Masa ciała chłopaka popchnęła ciało tamtego w stronę drzwi balkonowych, przez które przeleciał wraz z rozbitą szybą. Rozpęd, jakiego nabrał Maciek na tych kilku dzielących ich metrach, nie pozwolił mu się jednak zatrzymać i przeleciał przez drzwi razem ze swoim prześladowcą niemalże w uścisku. Obaj oparli się na metalowej barierce, która z racji swojej wiekowości i braku konserwacji miała w sobie więcej rdzy niż metalu. Rdza jednak nie była w stanie oprzeć się ciężarowi ich połączonych ciał i ustąpiła. Rdzawo metalowe elementy poleciały siedem pięter w dół, a tuż za nimi poleciało ciało chłopaka i tego drugiego. Upadek był szybki, uderzenie i pęknięcie kości jeszcze szybsze. Zanim mózg chłopaka wyłączył się całkowicie, zmysły rejestrowały ostatnie dochodzące do nich impulsy. Za oknem mieszkania na parterze patrzył na niego jego prześladowca. Zdeformowany i pokręcony, ale resztkami życia nieustępliwie wbijał w niego swoje spojrzenie. Patrzył tak samo i z innych okien.



SPRAWIEDLIWOŚĆ

Mariusz "Maru" Stańczyk

Nieznajomy spogląda w lusterko wsteczne, oceniając stan swojej fryzury. Delikatnie mierzwi zaczesane na bok kruczoczarne włosy, po czym skupia się z powrotem na drodze – w idealnym momencie, bowiem niemal połowa jego srebrnego mercedesa przekroczyła już podwójną ciągłą.

Mężczyzna, słysząc irytujący dźwięk klaksonu, szarpie kierownicą. Auto szybko wraca na swój pas jazdy. Nieznajomy – mimo iż zapadł już zmrok i adresat gestu nie jest w stanie go dostrzec – wystawia środkowy palec w kierunku auta jadącego z naprzeciwka.

– Pierdol się! – krzyczy.

Ogląda się w tył, nie zważając na fakt, iż po raz kolejny bezmyślnie przestaje zwracać uwagę na kierunek jazdy. Jego pełen furii głos z łatwością przebija się przez ryk

przesterowanych gitar wydobywający się z głośników odtwarzacza.

– Masz niesamowite szczęście, ty pierdolona świni, że nie mam teraz czasu, żeby zawrócić i pojechać za tobą! Wyrwałbym tę zasraną kierownicę i wepchnąłbym ją prosto w twój obleśny, tłusty zad, żebyś mógł słuchać swojego cholernego trąbienia za każdym...! Kurwa...! Razem...! – Przerywa, biorąc głęboki wdech. – Gdy sadzasz dupę w fotelu swojego jebanego rżęcha! Tępy skurwysynu!

Nieznajomy niespodziewanie milknie, włączając kierunkowskaz i delikatnie obracając kierownicę. Jedyne przyspieszony oddech świadczy o tym, iż dosłownie chwilę temu zdzierał gardło, posyłając w kierunku nieświadomego kierowcy solidną wiązaną przekleństw.

Zza rogu wyłania się cel jego podróży. Niewielka knajpka „Vermillion” znajduje się na końcu ulicy. Mimo stosunkowo niewielkiego ruchu w okolicy restauracja – jak Nieznajomemu udaje się zauważyć przez ogromne okna – zdaje się być wypełniona po brzegi. Mężczyzna płynnie zjeżdża na chodnik i zatrzymuje auto kilka kroków od wejścia, dokładnie naprzeciwko znaku zakazującego parkowania. Niemal nieświadomie, pewnym ruchem wsuwa prawą rękę pod klapę rozpiętej marynarki i sprawdza ułożenie kabury pod pachą, musnąwszy palcami rękojeść pistoletu.

Nieznajomy otwiera drzwi auta, jednocześnie sięgając po leżącego na fotelu pasażera remingtona. Zamyka oczy, czując przyjemny chłód metalu i gładkość lakierowanego drewna kolby. Wsłuchuje się przez moment w głos wokalisty wrzeszczącego właśnie, że jest „pełznącą śmiercią”.

– Ja również, James – mówi, wysiadając.

Rozgląda się, patrząc z satysfakcją na znajdujących się wokół przechodniów, zamierających ze strachu na widok uzbrojonego mężczyzny w śnieżnobiałym garniturze, którego sylwetka zdaje się lśnić w świetle ulicznej latarni. Po chwili kilka osób rzuca się do ucieczki. Rozlega się płacz. Słychać czyjś histeryczny krzyk: „Niech ktoś wezwie policję!”.

Jasne, wzywajcie. To nie jest pieprzony Nowy Jork, gliny nie zjawią się tu za minutę – myśli Nieznajomy, uśmiechając się szeroko.

Ignorując powstałe zamieszanie, swobodnym krokiem przemierza chodnik i wchodzi do restauracji. Wszystkie oczy zwracają się w jego stronę, gdy w niedużym lokalu rozlega się dźwięk przeładowania strzelby.

– Dużo was tam na zapleczu? – pyta, celując w kelnera, który opuszczał właśnie salę.

– Dwoje kucharzy – odpowiada, upuszczając trzymaną w ręku tacę. – Właściciel wyjechał na parę godzin, a żadne z nas nie ma klucza do sejfu. Nie mamy przy sobie dużo

pieniędzy, tylko tyle, co zarobiliśmy od południa – kontynuuje z wyraźnym trudem, ze strachem wbijając wzrok w wylot lufy skierowany w jego stronę. – Proszę...

– Zamknij ryj! – rozkazuje mężczyzna, zachowując spokojny, niemalże znudzony wyraz twarzy. Chłopak milknie posłusznie, wzdrygając się. – Słuchajcie mnie, ścierwa! Jeśli ktokolwiek chociaż podniesie dupę z krzesła, to zapierdolę młodego! Wracam za moment!

Nieznajomy rusza w kierunku kelnera. Chwyta go za koszulę, wrywając przy tym jeden guzik, i ciągnie za sobą, kopniakiem otwierając drzwi prowadzące do kuchni. Rozgląda się po pustym pomieszczeniu i, zadając nieme pytanie, zatrzymuje wzrok na twarzy nieszczęśnika, który szybko wskazuje ręką wyjście na tyły restauracji.

– Byli tu. Pewnie wyszli...

– Morda!

– Tak jest.

– Morda, powiedziałem!

Nieznajomy wychodzi na zewnątrz, wciąż wlokąc za sobą przerażonego młodzieńca. Dostrzega dwudziestoparoletnią blondynkę przyciskaną do ściany przez wyraźnie starszego od niej mężczyznę, wpychającego jej język do gardła. Facet zaciska mocno palce na obfitym biuście dziewczyny, gdy ta bezceremonialnie sięga ręką do jego paska.

Para jest zbyt zajęta sobą, by dostrzec, jak Nieznajomy opiera strzelbę na ramieniu i spokojnie wymierza.

– Kurwa, jak zwierzęta. Klienci czekają – mamrocze, naciskając spust.

Złączone w wulgarnym, ociekającym śliną pocałunku głowy eksplodują dokładnie w tym samym momencie, tworząc na ścianie szkarłatny bryzg przypominający wyjątkowo nieudolne graffiti. Oba ciała padają bezwładnie na asfalt. Drobne fragmenty czaszek turlają się wokół z cichym stukotem.

Nieznajomy bez słowa wraca do środka. Kelner posłusznie rusza za nim, walcząc z przemożną chęcią rzucenia się z krzykiem do ucieczki. Wchodzą na salę, zastając wszystkich gości siedzących sztywno na swych krzesłach. Tylko jeden mężczyzna – okularnik w średnim wieku – zmierza w kierunku wyjścia, jednak natychmiast staje w bezruchu na widok powracającego uzbrojonego szaleńca.

– Dokąd się wybierasz? – pyta cicho Nieznajomy.

– Ja... Ja tylko...

– Chciałeś uciec? Kazałem nikomu nie wstawać, prawda? Bo inaczej zajebię dzieciaka! – krzyczy, przykładając lufę do skroni stojącego obok kelnera, który, czując na skórze chłód metalu, wydaje z siebie piskliwy dźwięk. – Powiedziałem, że go zastrzelę, jeśli

ktokolwiek się ruszy! A ty się ruszyłeś! Teraz przez ciebie muszę go zatłuc, ty pierdolona sterto gówna! – kontynuuje Nieznajomy, z autentycznym obrzydzeniem wskazując wolną ręką na brzuch wylewający się zza paska mężczyzny.

– Nie...

– Zamknij ryj! Ile masz lat, młody? – zwraca się do chłopaka niemalże sympatycznym tonem. Patrzy mu głęboko w oczy z niewinnym wyrazem twarzy.

– Dwa... Dwadzieścia jeden. – Pot strugami spływa po jego policzkach i szyi, wsiąkając w kiedyś śnieżnobiałą, teraz pokrytą rozległymi plamami koszulę.

– Masz dziewczynę?

– Nie.

– Pewnie jeszcze nigdy nie zamoczyłeś, prawda?

– Co? – Zszokowany tak niespodziewanym pytaniem kelner zapomina na chwilę o strachu. – Nie, ja...

– A więc nie, tak myślałem. Wyglądasz mi na kolesia, który wali konia, wachając zużyte majtki własnej siostry. Robisz tak, prawda?

– Ja nawet nie mam...

– Robisz tak, mam rację?! – Nieznajomy przerywa mu, przeładowując strzelbę i przykładając się do strzału. – Czy mam, kurwa, rację?!

– Co? Nie... Znaczą... Boże... Tak! Tak, ja...

– Dość.

Rozlega się huk. Górna część głowy chłopaka zmienia się w krwistą mgiełkę.

Kilka krzyków. Płacz dziecka. Zgrzyt zamka wprowadzającego kolejny pocisk do komory. Następny strzał, rozrywający ogromny brzuch stojącego przed drzwiami wejściowymi niedoszłego uciekiniera. Głośne plaśnięcie, gdy jego wnętrzności lądują na podłodze restauracji.

Równie otyła, jak zamordowany przed chwilą mężczyzna, kobieta – najpewniej żona, sądząc po reakcji – podrywa się z miejsca i ze świdrującym uszy piskiem klęka przy zwłokach, zanurzając ręce w rozlanych wokół zwojach poszarpanych śrutem jelit. Jej szalone próby upchnięcia ich z powrotem w opasłym ciele małżonka sprawiają, że zielono-brązowa rzadka ciecz rozlewa się wokół, tworząc na samym środku sali cuchnące bajoro. Wszyscy obecni w pomieszczeniu wpatrują się jak zahipnotyzowani w rozgrywający się wśród ostrej woni krwi i ekskrementów dramat.

– Dwie świny tarzają się w gównie, wszystko jak należy – rzuca Nieznajomy, po czym odwraca się w stronę szczupłej brunetki trzymającej na rękach zagłuszające go

niemowlę. – Ucisz, kurwa, tego gnoja!

– Nie mogę. Za bardzo się boi – szepcze zrozpaczona matka, bezskutecznie starając się uspokoić dziecko.

– Dawaj mi go!

– Nie! – Kobieta przyciska do piersi coraz głośniejszemu płaczącemu maluchowi. Zsuwa się z krzesła, lądując pod stolikiem, gdzie kuli się niczym maltretowany kundel. Spod zaciśniętych powiek na małą dziewczynkę spływają łzy. – Proszę! Nie! – Cofa się niezdarnie, próbując odczołgać się jak najdalej od zbliżającego się w jej kierunku mężczyzny.

– Nie! Błagam! Bła...!

Potężne uderzenie kolby trafia w skroń kobiety, natychmiast ją uciszając. Szpecące jej twarz rozległe wgniecenie nie pozostawia żadnych złudzeń.

– Dziwka...

Nieznajomy unosi nogę, celując butem dokładnie w otwartą szeroko bezzębną buzię niemowlaka leżącego na ziemi tuż obok nieruchomego ciała matki. Nagle dostrzega kątem oka rzucającą się w jego kierunku sylwetkę. Napastnik, choć potężnie zbudowany, porusza się szybko i sprawnie, jakby od samego początku czekał tylko na właściwy moment.

Gliniarz w cywilu? A może były wojskowy? Bohater się, kurwa, znalazł... – zastanawia się Nieznajomy, obracając się jednocześnie w kierunku mężczyzny. Jest szybszy o ułamki sekund. Broń wypala wprost w usta „bohatera”, urywając zuchwę i odrzucając jego ciało w tył. Krwawy strzęp mięsa, będący chwilę temu językiem, zwisa u jego szyi niczym makabryczny krawat.

– Jak śmiesz, skurwielu?! Jesteś, kurwa, niczym! Rozumiesz to?! Nie masz prawa mnie choćby dotknąć! – Rozwścieczony tym niespodziewanym atakiem Nieznajomy zrzuca wreszcie maskę obojętności. Jego oblicze wykrzywia grymas zwierzęcego szału. Lodowate do tej pory spojrzenie rozpala żądza krwi, gdy po raz kolejny unosi w górę śmiertelny kawał żelaza. – Wy wszyscy...! Żalodne ludzkie glisty...! Bezwartościowe...! Marnujące tlen gówna...! – Huki wystrzałów wybrzmiewają na zmianę z jego wrzaskami, gdy lawiruje w amoku pośród stolików.

Niespodziewanie powstrzymywane dotąd emocje znajdują ujście. Wybucho paniki. Goście zebrani na sali wreszcie przełamują nienaturalny bezruch i rzucają się do ucieczki, wprost na kompletnie wyludnioną ulicę. Nawet żona otyłego okularnika, wymazana od stóp do głów zawartością jelit swego męża, wraca na moment do rzeczywistości i wybiega z restauracji ile sił w nogach, pozostawiając po sobie tylko fetor odchodów. W całym tym chaosie ktoś jednak wykazuje się odrobiną zdrowego rozsądku i podnosi z podłogi wciąż

płaczące dziecko, nim zostaje zdeptane przez pędzącą ślepo ludzką masę.

Nikt nie zwraca uwagi na fakt, iż Nieznajomy, wymachując wściekle strzelbą, celuje ponad głowami oszalałych z przerażenia ludzi, podsycając jeszcze ich strach.

– Właśnie tak! Spierdalajcie! Ratuń się, kto może! Wypierdalać stąd, wszyscy! Walczcie o życie! – wykrzykuje raz po raz, obserwując z satysfakcją wywołany przez siebie zamęt.

Posyłane na oślep garści śrutu roztrzaskują szyby. Wbijają się w ściany bądź też sufit. Zaledwie kilka pocisków przypadkiem trafia parę staruszków, którzy osuwają się bezgłośnie na podłogę. Mężczyzna, drżąc w konwulsjach, z wyraźnym wysiłkiem wyciąga rękę i zakrwawionym koniuszkiem palca dotyka dłoni małżonki. Nagle jednak jego ramię zostaje odtrącone, kopnięte przez jednego z wybiegających na zewnątrz młodych mężczyzn. Chwilę potem osiemdziesięcioletnie oczy zachodzą mgłą.

Wśród kakofonii płaczu, krzyków i ryku remingtona rozbrzmiewa histeryczny pisk nastolatki, która, obejmowana teraz w pasie przez towarzyszącego jej chłopaka, pełni rolę żywej tarczy, gdy ten powoli wycofuje się w stronę wyjścia. Na jego spodniach wykwitła powoli mokra plama, pokrywając kolejne centymetry nogawek.

Nieznajomy odrzuca na bok strzelbę z opróżnionym magazynkiem i sięga po berettę.

– Jebana ciota! – krzyczy, celując w kierunku szamoczącej się pary. Pociąga za spust cztery razy.

Oboje padają na ziemię, zbryzgani krwią. Ona z kulą w krtani, on – z trzema w kroczu.

Restauracja pustoszeje, ocaleni z masakry rozbiegają się we wszystkich kierunkach, szukając ratunku.

– Polowanie czas zacząć. – Nieznajomy rusza w kierunku wyjścia, lecz zatrzymuje się, słysząc dobiegające z oddali syreny radiowozów.

Kurwa... Dopiero się rozkręcam – myśli zawiedziony.

Nagle dostrzega kulącą się pod jednym ze stolików, chlapiącą cicho kelnerkę.

– Chyba zdążę jeszcze ten jeden raz... – Mężczyzna znów mówi spokojnym, niemalże kojącym głosem, łapiąc dziewczynę za włosy i stawiając na nogi.

Ściskając w garści jej kasztanowe loki, powoli wodzi wzrokiem po jej ciele, począwszy od skroni pokrytych czarnymi plamami tuszu, przez rozciętą wargę i wyeksponowany dekolt, kończąc na – widocznych doskonale spod czarnej mini – zgrabnych, wyraźnie drżących nogach.

– Jesteś całkiem w moim typie, muszę przyznać.

– Proszę...

– Zamknij się.

– Nie rób mi krzyw...

– Stul pysk, szmato, to nie będzie boleć – ucisza ją, obracając tyłem do siebie i popychając brutalnie na stolik. – Za bardzo.

Placz dziewczyny zmienia się w rozpaczliwe skomlenie, gdy Nieznajomy podciąga spódniczkę, ukazując nieosłoniętą bielizną krągłości, i rozchyła jej pośladki.

– Spokojnie, nie zgwałcę cię.

Nieludzki skowyt, który wydaje z siebie kelnerka, rozbrzmiewa unisono wraz ze zbliżającymi się dźwiękami syren, gdy mężczyzna wpycha w jej odbył lufę pistoletu i oddaje strzał za strzałem, aż do opróżnienia magazynku. Ciało ofiary szybko wiotczeje, puszczają zwieracze. Po kusząco miękkich udach spływa mieszanina krwi i moczu, z widocznymi gdzieniegdzie ciemnymi fragmentami kału.

Nieznajomy unosi ręce wysoko nad głowę, spoglądając z nieskrywaną satysfakcją na swoje dzieło. Czeka. Chwilę, dwie, trzy. Napawa się strumieniem adrenaliny rozsadzającym jego żyły, słysząc nadciągające radiowozy. Wreszcie rzuca się pędem w stronę zaplecza.

Siadam dyskretnie z tyłu sali i rozglądam się wokół. Ciężkie milczenie pograżonych w żałobie rodzin. Czerń ich strojów. Nienawistne, lśniące od łez spojrzenia. Wyraźnie wyczuwam atmosferę oczekiwania, nie ma tu miejsca na jakiegokolwiek przejawy empatii.

Dwóch strażników wprowadza skazańca. Chłopak jest przerażony, z trudem stawia kolejne kroki. Bezceremonialnie wloką go za sobą, by, zachowując kamienne twarze, położyć na stole, przypiąć jego drżące ciało skórzanymi pasami i podłączyć do monitorującej funkcje życiowe aparatury. Mężczyzna w białym fartuchu podchodzi do stolika, nakłada na strzykawkę świeżą igłę i pobiera z fiolki dokładnie odmierzoną dawkę trucizny.

Bycie świadkiem egzekucji to cholernie ciekawe doświadczenie. Tym bardziej, gdy to „twoja” egzekucja.

Gdy wybiegłem z restauracji, natknąłem się na dzieciaka przyglądającego się temu, co zostało z tego starego dziada i blond kurewki po spotkaniu z moim remingtonem. Niewiele myśląc wcisnąłem mu pistolet w dłoń i pobiegłem ulicą.

Nieuzbrojony mężczyzna w zakrwawionym garniturze uciekający z miejsca, gdzie parę chwil temu miała miejsce strzelanina – cóż, jestem całkiem niezłym aktorem... A potem

po prostu zniknąłem. W tym też jestem dobry.

Chłopak jest lekko upośledzony, podobno jego iloraz inteligencji oscyluje w granicach zaledwie 70 punktów, nie potrafi nawet pisać. Tamtego dnia pokłócił się o coś z matką i uciekł z domu – pech chciał, że trafił na mnie. Swoją drogą, nie widzę jej tutaj. Nie chciała przyjść czy nie mogła? Jestem ciekaw, co musi teraz czuć... Co musi czuć kobieta, której jedyny syn, nie do końca świadomy otaczającego go świata, a jednocześnie – zdaniem sądu – świadomy na tyle, by odpowiadać za morderstwo, zostaje oskarżony o jedno z najbardziej krwawych przestępstw ostatnich lat? Który zostaje znaleziony na miejscu zbrodni z bronią w ręku?

Opóźniony dwudziestolatek nagle zaczyna się szarpać. Po jego poczciwej, tępowej twarzy płyną łzy, gdy coraz głośniejszą woła swoją matkę. Szybko dostaje środek uspokajający. Po upływie kilku minut jego krzyki cichną, a ciało wiotczeje. Zbliża się ten moment.

Za chwilę, skazane prawomocnym wyrokiem sądu, umrze to niewinne, zagubione dorosłe dziecko. Którego nie rozpoznał żaden ze świadków. Którego matka bezmyślnie zeznała, że „ogólnie rzecz biorąc nie jest agresywny, ale od czasu do czasu zdarza mu się znęcać nad zwierzętami”. Który – najprawdopodobniej odpowiednio „zmotywowany” przez przesłuchujących go sadystycznych pojebów – sam przyznał się do wszystkich zarzucanych mu zbrodni.

Mężczyzna w białym fartuchu podchodzi do stołu z uniesioną strzykawką. Nakłuwa żyłę na przedramieniu skazanego i wprowadza śmiertelny koktajl chemikaliów.

Przyglądam się siedzącym wokół ludziom. Widzę satysfakcję wyraźnie wypisaną na ich twarzach. Chłodne uśmiechy, wywołane przekonaniem, iż morderca ich bliskich otrzymuje właśnie zasłużoną karę. Nie widzę pokrzywdzonych. Widzę tłum spragniony krwi.

Mijają kolejne minuty, a dwudziestoletnie serce nie przestaje bić. Słyszę jego rozpaczliwe próby złapania oddechu, zupełnie jak ryba wyrzucona na brzeg. Jego ciałem raz po raz wstrząsają spazmy palącego bólu. Nadzorujący stan chłopaka lekarze nerwowo szepczą między sobą, uświadamiając sobie, że egzekucja nie przebiega jak należy, lecz nie robią nic, by ukrócić jego cierpienia.

Upływa godzina zanim organizm skazańca ostatecznie przegrywa nierówną walkę z trucizną. Dzieciak wydaje z siebie ostatnie tchnienie, jego gehenna dobiega końca. Jeden z lekarzy oficjalnie potwierdza zgon.

Tymczasem ja siedzę zaraz obok. Cały i zdrowy.

rys. Dawid Boldys



SPRZEDAWCA PASIKONIKÓW

(czyli dowód na to, że myśleć jest zgubą)

SZYMON PŁUSKA

Ich obecność jest jak zły omen. Tam, gdzie się pojawiają, przynoszą zgubę. Ludzie się ich boją, bo nie rozumieją. Nieznane bowiem jest straszne z zasady.

Nazywałem siebie samego Poszukiwaczem odkąd tylko świat odsłonił przede mną swe tajemnice. Jednak, na moje nieszczęście, zrobił to w taki sposób, abym żadnej z nich nie zrozumiał.

Wierzę, że istnieje wskazówka, którą umieścili w tej rzeczywistości – Odpowiedź.

Poszukuję jej wszędzie, gdzie dostrzegam jakąś niezwykłość. Anomalię, piękno, niedoskonałość. Żyję w mieście, miejscu odległym od cudów świata, żeby trudniej mi było szukać. To kara, choć może bardziej środek prewencyjny. Oni nie lubią, kiedy ktoś jest zbyt dociekliwy.

Kiedy wracałem wczoraj do domu, głowę miałem ciężką od przemyśleń i utrapień. Przechadzałem się po mieście, szukając czegoś w starych kamienicach. Zachłannie wyłapywałem każdy szczegół ich budowy, nie wiedząc, co właściwie próbuję znaleźć. Czasem tak mam. Tracę kontekst.

Później, zdaje się, śledziłem klucz ptaków powracających z Afryki. Nie wiedzieć kiedy zawędrowałem na samą Wyspę – skraj miasta. Zdziwiony zawróciłem. To nie był czas na leżenie w Parku, tylko poszukiwanie! Korzystając ze sposobności, poszedłem wzdłuż rzeki. Ta rozwidła się i płącze, więc podążając z jej biegiem, ma się dużo czasu na rozmyślanie.

Zawiedziony fiaskiem poszukiwań ruszyłem na zachód, ku tonącemu w pomarańczowych pieleszach słońcu. Często przyłapuję się na zmierzaniu w tamtym kierunku. Jakby za kopułą nieba czyhał na mnie magnes włączający się o stosownej porze. Wszak zawsze ciągnie mnie tam, gdzie coś się dzieje, a codzienna śmierć naszej gwiazdy jest zdecydowanie czymś.

W ten właśnie zagadkowy sposób nogi poniosły mnie pod sam Ratusz. Nie zauważyłem nawet, jak mijam po drodze dwa mosty i ruchliwą jezdnię. Widać naprawdę byłem wtedy gdzie indziej.

Siedziba władz grodzkich wydała mi się niezwykle piękna. Te czerwono-żółte rykoszety nadawały białej budowli istic zajmującego charakteru. Coś jakby wesoły płomień ogniska, skaczący między drewnami. Jak orgietka pląsających blasków.

Zaczarowany widokiem, zatraciłem się na jakiś czas. Nie mogłem oderwać mętnego wzroku od wspaniałych odbić, przeskoków i świetlnych igraszek. Czas jest jak wino w zbyt dużym kielichu. Gdy dostajemy podły trunek, czarka wydaje nam się gigantyczna, a gdy los zaserwuje nam ten wyborny, potężne naczynie staje się naparstkiem.

Właśnie wtedy polewano jak na cudownym bankiecie, a czas przestał mieć znaczenie. Nie wiadomo, ile bym tam jeszcze tkwił, gdyby nie uprzejmość pewnego mężczyzny.

– A co to pan, dobrodzieju, wyprawia?! Jest już późno, pora do domu! – zaczął mnie, kiedy właśnie z zastoju przestałem odczuwać nogi.

Jego słowa, tak zwyczajne i proste, zaraz wróciły mi przytomność. Odlepiłem wzrok od porytej cieniami nocy wieży Ratusza i spojrzałem na rozmówcę. Był to starszy człowiek, od dawna emeryt. Nosił beżowe rybaczki, trykotową kamizelkę i wyświechtany, rattanowy kapelusz. Sam jednak ubrany byłem tak, że pewnie żaden nawet najbardziej obszarpany starzec nie wyglądałby gorzej niż ja.

– Halo? Słyszysz mnie pan?

– Słyszę, szanowny budzący! – palnąłem.

– O, to dobrze! Wyśmienicie! Zauważyłem, że dość długo przyglądał się pan Ratuszowi. Wczesny renesans, mówię panu, albo późny barok. Tych dwóch ciężko idzie odróżnić! A zauważył pan te kończone marmurem lukarny? A tę latarnię, piękną jak samo słońeczko? Czy dopatrzył się pan tutaj niespotykanej symetrii konstrukcji? Fronton lewy jest doskonałym odbiciem prawego, a portal środkowy dzieli budowlę na pół. To zastanawiające, nieprawdaż? – zapytał z nadzwyczajnym przejęciem.

Chwilę trawiłem jego słowa, szukając dobrej odpowiedzi. Mój mózg, wybity z nadanego rytmu, pełził jak ropucha wyrzucona z ulubionego stawu.

– Rzeczywiście, mości znawco. Mnie jednak urzekły te frymuśne melanże czerwieni, rozgrywające się na wieżycy.

– Doprawdy? No co też pan powie! Jestem tu, na rynku, już tyle lat i jeszcze nigdy nie zwróciłem na to uwagi. Melanże, mówi pan? Tak... To musi być coś wspaniałego! Czy nie zechciałby pan podzielić się ze mną tymi spostrzeżeniami? Wie pan, ja nigdy nie byłem w Paryżu i nie widziałem tyle, co pan. Po pana ubiorze i postrzeganiu świata mogę mieć pewność, iż rozmawiam z artystą! Na pewno chadza pan, choćby myślami, do Luwru i widzi rzeczy, o jakich ja, maluczki, nie ważyłbym się śnić. Nie tworzy pan? To nie szkodzi! Jest pan wrażliwy na piękno, a to pierwsza i zarazem najważniejsza cecha prawdziwego sztukmistrza! Nie wierzy pan? Pewno! Musi pan tylko przelać postrzeganie świata na papier czy sztalugę! Ja tak nie zrobiłem i szczerze żałuję! Pracowałem w fabryce. Ciężka robota, ale uczy dostrzegania. Uczy pokory i zrozumienia. Czy wie pan, o czym mówię?

– Mam pobieżne wyobrażenie... A co pan tu właściwie robi, jeśli można wiedzieć? Jest wiosna, powiedziałbym: wczesna, i wcześniej robi się zimno. Palto zostawiłem w domu, a letni płaszcz nie grzeje tak dobrze. Szukam, proszę pana, ale nie za wszelką cenę. Szukam, by żyć dalej, a nie żyć, żeby szukać!

– Rozumiem, rozumiem... Ja, paniczu, jestem tu tylko sprzedawcą. Zajmuję się handlem, mówiąc ogólnie. O, widzi pan ten stołek? To moja dzierzawa. Nieduża, ale trzeba sobie radzić!

– Widzę tylko stertę słoików. Takich wysokich i grubych, zamykanych gazą. Co pan sprzedaje? – odparłem z nutą gniewu.

– Pasikoniki, królewiczu! Świerszcze, takie polne, mówiąc ogólnie.

– Pasikoniki?! Czy to nie zabawne, mości handlarzu? Ha, ha, ha! Wyborny żart! Doprawdy, ile ktoś zapłacił, aby mi to pan powiedział? Sto, dwieście? Mów zaraz! Powiedz tylko, kto kazał, a już ja się z nim policzę!

– Ależ o czym mowa?! Mówię samą prawdę, widać jak na dłoni! Siedzę tu codziennie odkąd żyję na rencie. Mój świat bardzo zwolnił, to i ja musiałem przyhamować. Wie pan, jak to jest coś stracić i stać biernie na brzegu wydarzeń? Ja wiem, dlatego tu jestem.

– Wiem, proszę pana. Straciłem właśnie bezpowrotnie mój cenny czas, który mógłbym spędzić na poszukiwaniach! A czy pan wie, jak ważne są te sprawy? Ważniejsze, niż jakieś tam głupie *hobby*, jak mówią Anglicy, a czasem i Paryżanie.

Odszedłem wzburzony, rzucając groźby wokoło. Ludzie patrzyli z ukosa, ale wiedziałem swoje. To musiała być podpucha! To musiała być zdrada!

Gdy odchodziłem, zerknąłem raz jeszcze na wieżę. Skąpana była w złocistych odpryskach miejskich latarni. Piękny, wspaniały obrazek. Ujrzałem jeszcze owego mężczyznę. Wpatrywał się oniemiały w cudowny spektakl światła, jak jeszcze niedawno ja.

W jego twarzy była radość, jakiej przedtem nie widziałem u nikogo innego. Staruszek spojrzał na mnie. Z jego oczu emanowała podzięką i życzliwość.

Wróciłem do domu później, niż się tego spodziewałem, i później, niż byłem tego świadomy. Pracę skończyłem za cztery czwarta, a płaszcz powiesiłem dopiero o jedenastej. Że też tyle czasu może zająć zwykłe poszukiwanie!

Wspomnienia dnia nie pozwalały mi w pełni oddać się nocy. Długo myślałem o tym sprzedawcy. Było w nim coś znajomego. Czuję neodpartą chęć ponownej rozmowy.

Dla rozbudzenia otworzyłem w sypialni okno, choć zwykle tego nie robię. Poranek przywitał mnie cierpkim orzeźwieniem. Chłód wbijał się aż do kości. Wstałem wraz ze świtaniem – żyję według wskazań astronomicznych. To dzięki nim mam zawsze trzeźwy umysł.

Nie pójdę dziś do pracy. Nie czuję się najlepiej. Myśli są jak choroba – zabijają słabe umysły i wzmacniają silne. Ja nie należę jeszcze do tych odpornych, ale czynię ku temu przygotowania. Właśnie dlatego szukam.

Tak! Praca doczesna musi ustąpić duchowej. Zwłaszcza kiedy ma się do tego doskonałą okazję! Poszukam starca już dziś, już teraz! Śniadanie także jest materialne, więc i jego muszę się wyzbyć. Czuję bowiem, że jegomość może mi wyjawić Odpowiedź, a Odpowiedzi karmią na wieki.

Wyruszyłem przed szóstą, gdy słońce sączyło się przez sypialniane firanki. Narzuciłem na plecy palto i wyszedłem z domu.

Ranek zdążył już nieco podrosnąć, kiedy wypłynąłem na zdradliwe wody wielkopłytowego blokowiska. Zawsze marzyłem o mieszkaniu w centrum, pośród starych dziejów i z żywą historią jako sąsiadem, ale nie było mnie na to stać. Godne lokum znalazłem dopiero za rzeką. To daleko, ale droga daje mi czas na pierwsze dywagacje. Jest coś odprężającego w tym prostym, naturalnym zmierzaniu do celu.

Pokonałem rzędy skrytych w cieniach poranka domów i kamieniczek, przechodząc niepostrzeżenie dwa mosty. Na obrzeżach, przed Starym Murem, nie ma jednak żadnych życzliwych budynków. Są tylko te nowe, butne i gnuśne. Pocziwe kryją się znacznie dalej, głównie przy Placu.

Mijam przekłete nadbrzeże jak najszybciej mogę, wybijając się ze zwyczajowego rytmu. Miałem dobry humor, a przecież „kto wejdzie między wrony, będzie krakał jak i one”!

Rynek przywitał mnie, życzliwie ukazując idealny obraz Ratusza. Żadnych cieni, żadnych blasków, tylko biel dobrze uładzonego tynku i wypolerowanego marmuru. Stiuk się nie błyszczał, ale jego matowość dobrze kontrastowała z rybimi ogonami zdobiącymi dach. Renesans, proszę znawcy, nie późny barok. Zaprawdę, nie da się tego pomylić!

Czy o to chodziło sprzedawcy, kiedy mówił, że byłem w Paryżu? Czy chciał mi dać okazję, abym wykazał się wiedzą? Czy mówiąc o Luwrze miał na myśli to, że potrafię rozpoznać piękno doczesne?

Czy to, że rozpoznałem styl Ratusza, cokolwiek zmienia? Słońce nadal będzie tańczyć na gładkich ścianach, dopóki nie odejdzie ostatnia osoba, którą to jakkolwiek porusza.

Nie, to zbyt błahe! Odpowiedzi mają tę naturę, że nie można ich tak zwyczajnie znaleźć! Wszak nigdy żadnej nie znalazłem, ale... To nie może być proste! Wysilek całego życia nie może być wart jednej rozmowy!

Najpewniej znowu zapadłbym się w bezdrożne myśli o urodzie miejskiej wieżycy, gdybym nie przypomniał sobie prawdziwego celu, w jakim w ogóle stałem na tym placu. Rozejrzałem się, poszukując „kramu” emeryta.

Mimo wczesnej pory cały Rynek zalewali już przeróżni sklepikarze i ich stoiska. Zaraz zrobiło się tłoczno i duszno, choć mógłbym przysiąc, że wcześniej powietrze było nienaruszalnie rześkie.

Po chwili powolnych i dokładnych oględzin odnalazłem mego zagubionego starca. Siedział na stolku, wtulony w ścianę jednej z kamienic. Zdawał się tkwić w tym miejscu nieruchomo, wyglądając jak przedziwny posąg. Przed sobą miał okazałą kolekcję słoików, a w każdym z nich podskakiwał pasikonik.

– Dzień dobry, mości panie! To ja, ten, co chadza po Luwrze, nie będąc w Paryżu, czy też będący w Paryżu, a nie wybierający się do Luwru! – zakrzyknąłem wyzywająco na powitanie. Nie spodziewałem się, że tak zabrzmiały te słowa, ale nic nie mogłem poradzić. Zrobiłem to bezwiednie, bez namysłu.

– O, to pan! Naprawdę, cieszę się, że widzę pana takiego, z jakim rozmawiałem wczoraj wieczorem! Wie pan, ludzie rzadko wracają do mnie, pamiętając cokolwiek, co im powiedziałem. Więcej: nie wiem nawet, czy ludzie, których tu później widuję, to wciąż te same osoby. Świat się zmienia, proszę pana, a chcąc pozostać w jego nurcie, trzeba wskoczyć na głębinę! Wiem to po sobie, gdyż stanąłem raz na brzegu i już po chwili nie pojmowałem, co się właściwie dzieje. Rozumiesz, o czym mówię, artysto? – odpowiedział monotonnym głosem. Nie był przejęty, przeciwnie. Uśmiechał się ciepło do gołębia, przechadzającego się pomiędzy jego „towarem”.

– Proszę pana, ja nie jestem artystą! Nie opuściłem nigdy granic tego miasta! Zarzekam się, że jestem taki sam jak pan i nie ma potrzeby zwracania się do mnie w specjalny sposób! – powiedziałem, pochodząc bliżej.

– Przepraszam, paniczu! To, że nigdzie pan nie był, nie znaczy wcale źle. Powiem więcej: nic to po prawdzie nie znaczy! Luwr jest tam, gdzie go pan dostrzeżę, a cuda tam, gdzie widzi pan wyjątkowość! Niech pan pomyśli: czy nie jest cudem ta wieża? Słońce

wystawia swój teatr światła na wszystkich powierzchniach, jednak uwagę przykuwa tylko jedna. Ta jedna, tak bardzo umiłowaną przez pana.

– To nic nie znaczy. Niewiele pan wie, znawco! To nie późny barok, a renesans! Różnica jest kolosalna!

– Tak, to nic nie znaczy. Tylko nazwy, żadnej duszy... – odparł chropowatym, zanikającym głosem.

– O czym pan plecie?

– A o co pan chciał mnie spytać?

Starzec zerknął na mnie spod ronda rattanowego kapelusza. Muszę przyznać, że tak przeszywającego spojrzenia dawno nie widziałem. Wytrąciło mnie to z równowagi, zaraz jednak przypomniałem sobie o prawdziwym celu mojej wizyty.

– Mówił pan, że sprzedaje pasikoniki. Dlaczego?

– Bo schodzą, mości ciekawy. W dzisiejszych czasach nie można już czegoś robić, jeśli się nie sprzedaje, a nie można sprzedawać, nie osiągając zysku. To proste i jeśli się pan z tym nie zgadza, to radzę nie mówić tego tak głośno, jak teraz. Oni nie lubią, jak się ich krytykuje, choćby nawet słusznie.

– Mówi pan zagadkami! Ile to już pan sprzedaje i, pytam raz jeszcze, po co to robi?

– Siedzę tu odkąd wypoczywam, to jest kilkanaście dobrych lat. Co dzień przychodzi tu jakiś klient, wypytuje o mój towar, kupuje i odchodzi. Zawsze tak, zawsze w tej kolejności.

– Doprawdy? I nie zadają pytań podobnych do moich? – spytałem z niedowierzaniem. Coraz trudniej było mi opanować garnący się na usta sarkazm.

– Powiedziałbym nawet, paniczku, że takie same! Czasem mam wrażenie, że sprzedaję historię życia, a nie świerszcze...

– Nie, proszę pana! Sprzedaje pan litość w formie owada zamkniętego w słoiku! Czy nie myśli pan, że ludziom żal patrzeć na tak nędznego, poczciwego starucha jak pan? I czy nie podobna, że ze zwyczajnej ludzkiej litości i życzliwości kupują te biedne pasikoniki? – wybuchłem.

– Wiedziałem, że powie pan w końcu coś podobnego... Tacy jak pan zawsze to mówią! Ale potem wracają i z uśmiechem zamawiają kolejne słoiki! Jak pan to wytłumaczy, hę?

– To proste, szarlatananie! Po zaspokojeniu swojej potrzeby dobra ludzie wracają, chcąc sobie przypomnieć, jacy są wspaniali i wielkoduszni. Nie dość, że tanią litość – wystawiasz tu zaspokojenie narcyzmu! Jest pan jak sprzedawca narkotyków – a oni chcą więcej, więcej i więcej!

Ostatnie zdanie wykrzyczałem mu prosto w twarz. Nie wiem, co we mnie wstąpiło, ale nagle poczułem głęboką odrazę do tego człowieka. Starzec tylko na mnie spojrzął i uśmiechnął się krzywo. Cały tłum, jaki zgromadził się dotąd przy Ratuszu, naraz przystanął i obrócił się w moją stronę.

Poczułem się jak rażony piorunem. Setki twarzy wlepiało we mnie swój chciwy, nienawistny wzrok. Każdy szczyrzył się, jakby chciał mnie rozszarpać. Z ich ust toczyła się piana, a oczy zaszyły krwią. Nie to było jednak najgorsze, nie ich wygląd. Przywykłem już do tego, że niezyczliwi ludzie nagle stają się brzydzący i jakoby potworni. Nie, to przez to, że każdy niósł przed sobą pękaty słoik, wewnątrz którego obijał się pasikonik.

Błyskawicznie zerwałem się do biegu. Popędziłem przez stary most. Później bulwarem, aż do następnego. Gnałem jak burza. Tylko kilka razy obróciłem się za siebie. Nie gonili mnie, a przynajmniej nie dostrzegłem żadnego pościgu.

Rzuciłem ostatnie spojrzenie na wieżycę Ratusza. Skąpana była w ostrych jęzorach słońca w zenicie. Wyglądała jak wystająca z płonącego stosu gałąź brzozy. I to jednak był późny barok...

Wszyscy ludzie, których dalej mijałem, mieli ten sam wyraz twarzy jak staruch i ci z rynku. I każdy, choć przeciskałem się przez setki, tysiące osób zmierzających o tej porze do pracy, miał przed sobą ten przeklęty słój z szalejącym wewnątrz świerszczem.

Świat zatrzymał się w miejscu. Gdziekolwiek nie byłem, dokądkolwiek nie pobiegłem, wszystko i wszyscy byli zamrożeni w czasie. I nie tak zwyczajnie, jak na zdjęciu, gdzie można uchwycić konkretny moment. Nie, każdy przestawał robić wszystko, co dotąd robił, i wpatrywał się we mnie z tym obrzydliwym, natarczywym uśmiechem.

Samochody, kawiarnie, a nawet wojewódzki szpital i komenda straży – na mój widok zamierały absolutnie.

Udało się. Ostatnich czterech tarasowało wejście na piętro, więc musiałem ich zepchnąć ze schodów. Co dziwne, usłyszałem tylko pękające szkło.

Jak to zwykle bywa, kluczyki wypadały mi z ręki, źle wchodziły do zamka. Robiły wszystko, żebym tylko nie mógł ich przekręcić.

Byłem zmachany wbieganiem na samą górę bloku – mieszkam na ostatnim, dziesiątym piętrze. Gdy wreszcie otworzyłem bramę mego azylu, władowałem się z impetem do środka. Ostatkiem sił zatrzasnąłem za sobą drzwi. Później cały świat stracił wszelkie barwy i odcienie. Kontur świata zlał się w jedną, bezkształtną plamę. Przestałem słyszeć, przestałem czuć, aż ostatecznie z głowy uciekły mi wszystkie myśli.

Ocknąłem się z okropnym bólem głowy. Czułem, jakby stado rozjuszonych świerszczy skakało mi wewnątrz czaszki. Kiedy tylko moja świadomość się wyklarowała, spróbowałem wstać. Szło całkiem nieźle, ale zaraz znów opadłem.

Gdy odzyskałem bowiem słuch, moje uszy przeszył nieprzyjemny, jednostajny zgrzyt. Trochę minęło, zanim poprawnie rozpoznałem dźwięk. Nie był on sam w sobie straszny ani specjalnie denerwujący.

Po całym mieszkaniu rozchodziło się głośnie cykanie. Cyk, cyk, cyk, cyk... I tak w kółko, jak na polu pod wieczór. Przywarłem zrazu do ziemi, gdyż wiedziałem, że nie znaczyło to dla mnie nic dobrego.

Rozejrzałem się, jednak niczego podejrzanego nie uświadczyłem. Ciągle tylko cyk, cyk, cyk...

Postanowiłem wstać i ostrożnie podejść do okna. Najbliższe było w kuchni. W razie czego mogłem znaleźć bezpieczne schronienie za lodówką. Przeczłogałem się kawałek po zimnych kafelkach, usiłując nie unosić ciała choćby na centymetr.

Po chwili byłem już przy lodówce. Leżałem w taki sposób, że nawet gdyby ktoś wystrzelił do mojego mieszkania raketę, byłbym bezpieczny. Chłodziarkę miałem ołowianą, starego typu. Można by w niej przetrwać bombardowanie.

Powoli wstałem, starając się cały czas wtulać w metalową ściankę. Szczęśliwie nie należę do osób wyższych, więc głowa nie wystawała mi ponad chłodniczą szafę.

Po chwili całkowitego bezruchu postanowiłem zrobić test. Ostrożnie i jeszcze wolniej wystawiłem na pastwę czystego widoku rękę. Zamknąłem oczy, oczekując Bóg wie czego, chyba bólu.

Co dziwne, nic specjalnego się nie stało. Jedyne cyk-cykanie było żywsze i dochodziło bardziej zza okna niż z zewsząd. Wyrażało zaciekawienie, a może nawet podekscytowanie.

Teraz już byłem tego pewien. To do mnie należał pierwszy krok. Nie mając nic do stracenia, wychyliłem się cały z bezpiecznego schronu i dziarsko ruszyłem do okna.

Spodziewałem się tego, co zobaczyłem przez moje stare, socrealistyczne okno. Obraz był jasny i klarowny. Przyznaję, że zrobił na mnie ogromne wrażenie.

Zobaczyłem ulicę, którą codziennie zmierzam do pracy. I ten sam plac, na którym przekupnie wystawiają swoje warzywa i owoce. Zwyczajna zdawała się też droga – zaniedbana, czteropasmowa asfaltówka, bardziej już szara niż czarna.

Każdą wolną przestrzeń, jaką tylko mógłbym nazwać i sobie wyobrazić, wypełniali ludzie. Wszyscy oczywiście wpatrywali się we mnie. Z wysokości dziesięciu pięter trudno mi było dojrzeć szczegóły, ale jedno się odznaczało. Każdy miał nad głową szklany słój, wewnątrz którego skakały pasikoniki. No i to cykanie. Jakby karabin maszynowy wypuszczał serię tuż nad moją głową.

Cyk – cyk – cyk – cyk – cyk – cyk...

Oszołomiony, wlepiąłem wzrok w tę abstrakcyjną scenę. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie, że wszystkie osoby zgromadzone w „roju” zaczęły dygotać. Najpierw spokojnie, kołysząc się lekko. Później zaś wszyscy skręcali się jak przy ataku padaczki, wciąż jednak stojąc na nogach.

Nie wiem, ile czasu minęło, zanim zdałem sobie sprawę, że nie słyszę kakofonii świerszczy. Było to tym dziwniejsze, że pasikoniki ogarnęła furia. Zaczęły nawet zostawiać zielone ślady na ściankach słoików. Najwyraźniej przeszły na tak wysokie tony, że przestałem cokolwiek słyszeć...

I wtedy, zupełnie nagle, wszystko ucichło. Ludzie przestali się trząść, świerszcze, zapewne martwe, przestały szaleć. Nastął spokój, z rodzaju tych obecnych przed burzą.

Tak jak myślałem i zdołałem przewidzieć, pojawił się on. Sprzedawca. Wystąpił na sam środek placu. Rattan, trykot i rybaczki. Wszystko było w nim normalne i dziwne jednocześnie. Obce i znajome. Poczciwe i ohydne.

Chyba wiedział, jak się ustawić, bym miał jak najlepszą perspektywę. Otumanieni ludzie rozstąpili się, formując dookoła okrąg. Z góry wyglądał jak zakrętka słoika.

Spojrzał w moją stronę, zamknął oczy i przemówił. Odezwało się tysiące głosów, nastrojając i synchronizując w jeden, konkretny przekaz:

„Dziękuję, Poszukiwaczu! Teraz już wiem i znalazłem Odpowiedź, której szukałem znacznie dłużej niż ty. Uwolniłeś mnie, choć z pewnością nie było to twym celem.

Zrozumiałem słowa, które zmieniły mój świat. Świat, który sukcesywnie odzyskiwałem, zamykając fantazję innych ludzi w słoikach. Z tobą jednak nie udało mi się ta sztuka. Byleś w Paryżu, przechadzałeś się po Luwrze. Jesteś mi równym.

Jai guru de va!”

Pożeracz dusz krążył więc od miasta do miasta, zagarniając następne ofiary, a Poszukiwacza zamknął w mieszkaniu na dziesiątym piętrze. Uczynił z jego bloku więzienie ostateczne. Tytaniczną wieżę, górującą nad zgłiszczami znanego dotychczas świata.

Sprzedawca pozostawił też Ratusz, aby wiecznie mógł oglądać zachody i wschody słońca rozgrywające swe pyszne spektakle na jego białych łukach, lukarnach, wykuszach i ścianach. I tak, to był renesans. Wczesny, z rąk mistrza Berniniego.

Po eonach uśpienia Poszukiwacz w końcu znalazł w sobie Odpowiedź. Zaskoczyła go tak bardzo, że sam nie mógł przypomnieć sobie toku myślenia, dzięki któremu nań wpadł.

Oszołomiony, wciąż trwa, kontrolując dziecko swej wybujałej żądy wiedzy. Nieświadomy własnej roli we Wszechświecie i wciąż poszukujący nieistniejących prawd, tworzy cały czas nowe i nowe pasikoniki, które skrupulatnie wylapuje Sprzedawca.



Ostatnia Tawerna



Twoje fantastyczne miejsce w sieci!
www.ostatniatawerna.pl



SZORTAL

UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty o drabble o recenzje
newsy o konkursy o forum

Krótko. Na temat. **CZYTAJ**



T ONĄCY W CIEMNOŚCI

Tomasz Krzywik

„Dzielność i wydajność, które towarzyszyły «Orłowi» przy wykonywaniu jego służby, zasługują na najwyższą pochwałę, a rola, jaka przypadła okrętowi, była bardzo wartościowym udziałem w wysiłku wojennym sprzymierzonych.”

wiceadm. Max Horton

1 czerwca 1940 r. godz. 20:10

Dziwny dzień.

Morze jest od rana spokojne, wiatru brak, niebo bezchmurne; tylko na północnym zachodzie coś się kotłuje, najpewniej do jutra przyjdzie pogorszenie pogody. Lecz póki co spokój. Piasecki z Kamińskim siedzą na kiosku i podziwiają piękny zachód: poszarpane

kłębowisko chmur przeplatają promienie dopalającego się na horyzoncie słońca. Szkoda, że aparat się popsuł, byłoby co uwiecznić.

No właśnie – uwiecznić. Dzisiaj w godzinach porannych naszym udziałem stał się osobliwy incydent, który na chwilę rozwiął monotonię kolejnego patrolu. Otóż na niedługo po wynurzeniu okrętu kilku marynarzy wyszło na zewnątrz odetchnąć świeżym powietrzem – dobrem nie do przecenienia po kilku godzinach wdychania smrodu ropy, oleju, farby i moczu. Jeden z nich, Adamowicz zdaje się, poszedł obejrzyć dziobowe piły do sieci zagrodowych i nagle jak nie krzyknie! Okrutnie mnie tym przestraszył, w pierwszej chwili myślałem, że kadłub jest uszkodzony. Ale kiedy do niego podbiegłem, okazało się, że wszystko jest z okrętem w jak najlepszym porządku. Inna sprawa, że coś się o naszego „Orła” zaczepiło i niech mnie licho, jeśli mam pojęcie, co to mogło być. Nie jestem pisarzem; dziennik prowadzę dla zabicia czasu, nie potrafię więc żadną miarą w należyty sposób opisać tego, co zaczepiło się o dziób „Orła”.

Ponad wszelką wątpliwość był to jakiś umarły organizm. Głównóg zdaje się, chociaż nie przypominał nic, co bym wcześniej spotkał na morzu. Długością i masą przewyższał wszystkie mięczaki, jakie dotychczas widziałem czy poznałem, a poza tym wydawał się okropnie zdeformowany. Macek doliczyłem się szesnastu, z czego połowa wydała mi się bardzo chuda. I oczy! Dobry Boże, ileż to szkaradzieństwo z głębin miało oczu! Coś wstrętnego!

Pozwoliłem załodze obejrzyć owe stworzenie, po czym odcięliśmy je od dziobu i pozwoliliśmy, żeby podryfowało precz. Potem długo jeszcze rozmawialiśmy o naszym znalezisku, Piasecki próbował je nawet naszkicować, ale jego obrazek nijak nie oddaje rzeczywistego horroru tego obrzydliwego organizmu; nie przekazuje jego trupiego smrodu, jego fascynującej grozy.

Nie jestem zresztą pewien, czy komukolwiek udałaby się ta sztuka.

Potem spokój. W radiu cisza, więc po południu, około piętnastej, zjedliśmy nieco większy posiłek – tutaj nie do przecenienia były pęta suszonej kiełbasy, które dotychczas wisiały bezużytecznie w torpedowni i dyndały na sznurach jak bielizna na słońcu. Trochę przeszły fetorem okrętu, ale smak bez zarzutu. Morale załogi wysokie.

Napiszę więcej potem. Czas chwilę odpocząć.

2 czerwca 1940 r. godz. 01:30

Na hydrofonie osobliwe dźwięki.

Najczęściej woda niesie dźwięk śrub poruszających się w oddali okrętów, czasem też słycać mocniejsze prądy morskie albo śpiew delfinów; nie potrafię jednak opisać dźwięków, które usłyszeliśmy z hydroakustykiem przed północą. Wieloryb? Może, chociaż przeczyłyby temu zmienne tony owego dźwięku. Polecilem nasłuchiwać dalej.

2 czerwca 1940 r. godz. 02:30

Dźwięki ustały czterdzieści minut temu i dotąd nie powtórzyły się. Czas położyć się i spróbować przespać chociaż kilka godzin.

3 czerwca 1940 r. godz. 06:30

Po czterech godzinach snu mam dosyć.

Na początku nie mogłem zasnąć – przewracałem się w koi i kłamię, próbując poradzić sobie z bezsennością. I poradziłem, czego teraz żałuję. Pozostaje mi zapisać, co widziałem, zanim mózg zatrze resztki snu.

Śniłem o ładzie pośrodku morza; o wyniesionym dnie odmętów. O trupiej ziemi ciągnącej się po horyzont, przykrytej błuźnierczym całunem śniętych ryb i organizmów, jakich nie sposób opisać w języku polskim. Gdzieś w oddali rozpościerały się łańcuchy górskie o fantastycznych kształtach, nasuwające skojarzenie z falami uchwyconymi w skałę, i cienie lasów – mrocznych i posępnych.

Był też monolit – ociekający śluzem obelisk pośrodku kontynentu, który wołał moje imię, wzywając, bym oddał mu pokłon i przyjął jego komunię. Udałem się tam, brnąc przez hałdy martwych organizmów i dusząc się okropnym fetorem rozkładu, a gdy wreszcie dotarłem do plugawego podnóża owego monolitu, zorientowałem się, że nie jestem jedyny. Wszędzie pełno biegalo najróżniejszego stworzenia, którego sam widok był obrazą dla wiary katolickiej. Nagle wdepnąłem w smoliście czarną kałużę i spojrzałem pod siebie, na swoje rozchwiane odbicie. A gdy zobaczyłem tam ohydnie zdeformowaną fizys, teraz bardziej przypominającą mątwę jak człowieka, obudziłem się.

Brakuje mi sił, wciąż targają mną dreszcze obrzydzenia i strach. Wyciągnąłem przemycony przez mojego poprzednika, niejakiego Kłoczkowskiego, rum i wypilem nieco, żeby uspokoić skołatane nerwy. Ale te obrazy wciąż mam przed oczami; idę na kiosk, świeże powietrze dobrze mi zrobi.

3 czerwca 1940 r. godz. 08:30

Na hydrofonie znowu dziwne dźwięki. Wydają się pochodzenia mechanicznego, ale pewności nie ma. Poleciałem nasłuchiwać. Śniadanie.

3 czerwca 1940 r. godz. 09:30

Dźwięki ustały. Pogoda nadal ładna, ale powierzchnia wody zaczyna się marszczyć. Sztorm na horyzoncie, wiatr w naszym kierunku; będzie telepać.

3 czerwca 1940 r. godz. 14:30

Ostatnie chwile przed sztormem. Kolejna tura chętnych przespacerowała się po pokładzie, upewniliśmy się, że wszystko jest w należytym stanie. Uzbrojenie zabezpieczone, wszystko zgodnie z normą. Trochę martwi nas piła dziobowa, o którą wczoraj zaczepiło się tanto wstrętne truchło. Ostrza uległy deformacji, powyginały się, najpewniej nie będą w stanie pełnić roli, do jakiej zostały przeznaczone. Nic to, pozostaje nam mieć nadzieję, że nie będziemy ich potrzebować – dotychczas mieliśmy szczęście, nie licząc cholernego Tallina i Estończyków.

Piasecki zrobił nam numer – spoglądał przez lornetkę w kierunku burzy i nagle zawołał, że widzi ląd, co było oczywistą bzdurą ze względu na nasze położenie. Spojrzałem w tamtym kierunku, ale nic nie dostrzegłem, choć na jedną straszną chwilę wrócił do mnie koszmar, jaki nawiedził mnie nocą. Uznałem, że musiało mu się przywidzieć, co zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę kłębowisko chmur i wysokich fal na horyzoncie.

Przed chwilą zszedłem z kiosku. Siedzę teraz w kabinie i piszę, bo muszę nadmienić jeszcze jedną rzecz, która budzi we mnie najwyższy niepokój.

Od kilku dni – konkretnie od pierwszego czerwca – nie otrzymujemy ani rozkazów, ani odpowiedzi na nasze zapytania. „Orzeł” został pozbawiony kontaktu z gniazdem i za cholerę nie mamy pojęcia, co z tym zrobić; padła propozycja powrotu do portu, ale na razie nie jest brana pod uwagę. Zaczniemy o tym myśleć jutro.

Obiad.

3 czerwca 1940 r. godz. 16:18

Dziwne dźwięki na hydrofonie. Sprawdzić, zanotować; kierunek?

3 czerwca 1940 r. godz. 18:40

Sztorm uderzył. Fala wysoka, zalewa kiosk. Za chwilę wracam na górę. Chmury są gęste, a pewnie i wysokie; poszarpana podstawa, więc pewnie cumulonimbusy. Okrętem telepie, dlatego poleciłem nie chodzić bez konieczności. Potem może się zanurzymy, przyda się trochę treningu, żeby nie zardzewieć. Morale załogi coraz niższe, trzeba będzie później wymyślić jakąś rozrywkę. Jakiś turniej? Siłowanie się na rękę? Nie wiem, pomyślimy.

Trochę się martwię o Piaseckiego. Ciągłe zapiera się, że widział łąd, który przypominał mu z daleka olbrzymią górę. Tłumaczyłem, że w naszej okolicy nie ma żadnych pasm górskich, żadnych łądów, ale ciągle gadał jak najęty. Ostatecznie odpuściłem sobie – Piasecki jak coś sobie wymyśli, to już twardo przy tym obstaje. Chyba się na mnie nieco obraził, ale przejdzie mu. Jak zawsze.

W środku jest ciasno, bardzo ciasno. Przypominam sobie o tym, ilekroć przychodzi gorsza pogoda albo trzeba się zanurzyć pod wodę. Śmierdzi ropą, śmierdzi potem, śmierdzi wodą morską; chociaż jedzenie mamy dobre, pod tym względem nie ma na co narzekać.

Kończę pisać. Fale rzucają nami na lewo i prawo. Im dłużej patrzę na litery, tym bardziej chce mi się wymiotować.

4 czerwca 1940 r. godz. 05:00

Piasecki nie żyje. Podcięte żyły.

4 czerwca 1940 r. godz. 10:00

Nie wiem, co napisać.

Siedzę nad maszyną już jakiś czas i żadną miarą nie potrafię skorelować myśli. Wciąż mam przed oczyma ten widok: któryś z marynarzy wymiotuje oparty o ścianę, a zdenerwowany Kamiński chodzi wkoło i klnie pod nosem. Mijam ich, stoję w otwartych drzwiach latryny i widzę zwłoki Andrzeja Piaseckiego. Siedzi na muszli, jakby zamyślony, oczy ma szeroko otwarte. W dłoni wciąż ścisną żyłkę, którą podciął sobie żyły. Podciął? Co ja piszę – on je sobie rozpruł, a następnie wypisał na ścianie własną krwią jakieś bzdury. Musiałem rozgonić załogę, bo okręt przez chwilowe zamieszanie wypadł z kursu, ale i tak wiedziałem, że jest już po ptakach.

Pływając na okręcie podwodnym, często poruszamy się na wąskiej krawędzi między zdrowym rozsądkiem a szaleństwem. Między racjonalnością a impulsami. Między życiem a śmiercią. Bywa, że czasem ktoś nie wytrzyma tej presji i po prostu przyspiesza pewne rzeczy.

Kiedy zaczęliśmy z Kamińskim robić porządek ze zwłokami Piaseckiego, wiedziałem, że teraz będzie już tylko gorzej.

4 czerwca 1940 r. godz. 16:00

Podjęta decyzja o powrocie do portu.

Morale załogi przed obiadem były bardzo niskie, zarządziłem więc podwójne racje plus niewielkie porcje alkoholu. Poleciałem wyznaczyć kurs na port w Rosyth. Sztorm powoli traci na sile, pora wrócić na kiosk.

4 czerwca 1940 r. godz. 20:00

Wszystko idzie nie tak.

Nie mogę tego pokazać przed załogą, nie wolno mi, ale jestem na skraju psychicznego wyczerpania.

Najpierw okazało się, że busole trafił szlag. Nie tylko moją, ale wszystkie znajdujące się na pokładzie. Igły kręcą się wokół własnej osi jak ogłupiałe i nic nie potrafię na to poradzić. I nie wiem dlaczego! Coś z polem magnetycznym? Mam nadzieję, że to jednak tylko przejściowe, inaczej będziemy musieli posiłkować się nawigacją za pomocą gwiazd. Bo jak tu wyznaczyć kierunek? Musimy poczekać do nocy.

Poza tym Giełdoń na skraju załamania nerwowego. Przyjaźnił się z Piaseckim, grywali często razem w karty i teraz prawie nie ma z nim kontaktu. Wysłałem go na dodatkowy odpoczynek.

Część załogi zrezygnowana. Bogu dzięki, chociaż sztorm przechodzi, a konwojów nadal nie widać ani nie słychać. Nie wyobrażam sobie podchodów w obecnej sytuacji; taki czyn równałby się samobójstwu.

Problemy z dieslem.

4 czerwca 1940 r. godz. 22:00

KURWA MAĆ

Jesteśmy zgubieni. Nie potrafimy określić kursu. Gwiazdy układają się w dziwne konstelacje, nijak nie potrafimy odnaleźć znanych nam układów. Księżycy nie ma, są za to dwie całkiem wyraźnie zarysowane planety, których nijak nie kojarzę. Duża ilość komet, największa jaką do tej pory zaobserwowaliśmy, ale wcale nie poprawia to nam humoru. Widoki może i piękne, ale w obecnej sytuacji kompletnie bezużyteczne. Niebo jasne, lecz

wyduje się, że horyzont pochłania kurtyna mroku, co budzi zrozumiwały niepokój, zwłaszcza w sytuacji, gdy nie wiemy nawet, gdzie jesteśmy.

I ta cała wiadomość! Przyszła do nas niedawno, ale jest całkiem pozbawiona sensu i tchnie od niej jakąś dziwną grozą. Podejrzewam, że szkopom udało się wprowadzić jakąś nową technologię, zresztą to by tłumaczyło niemal wszystko: problemy z busolami, z hydrofonem, z radiem...

Tylko te gwiazdy! Dziwne.

Wspomnianą wiadomość zamieszczam niżej. I tak nie jesteśmy w stanie jej zrozumieć, tedy jak powiedziałem; może później uda się coś z tego zrozumieć, nie wiem:

*„TY KTÓRY UNOSISZ SIĘ NAD ODMĘTAMI
MY KTÓRY JESTEM SAM CHOĆ WIELU
STARSZY OD TWOICH I NAD TWOIMI WIĘKSZY
GDY ZEJDZIESZ DO MOJEGO KRÓLESTWA
JA WEJDĘ CI NAPRZECIW STARSZY
TONĄCY W CIEMNOŚCI”*

5 czerwca 1940 r. godz. 05:00

Niespokojna noc.

Zaczął się od tego, że z maszynowni przybiegł do nas motorzysta i krzyknął, iż jakiś dziwny śluz pokrywa diesle. Nie potrafiłem dokładnie zrozumieć, o co mu chodzi, więc poszedłem z nim obejrzeć silniki, ale kiedy dotarliśmy na miejsce, okazało się, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Nawet ten cholerny tłumik, który przy utarczce z Niemcami koło Gotlandii przeciekał, pracował bez zarzutu. Udzieliłem motorzyście nagany, ale jednak dość łagodnej – wiedziałem, że załoga ma nerwy w strzępkach, nie chciałem pogarszać sytuacji. Staralem się go przekonać, że mogło mu się przewidzieć, ale szedł w zaparte. Ostatecznie odesłałem go na zewnątrz, żeby się nieco przewietrzył, a sam zacząłem kręcić się po maszynowni. Zrozumiałe, że hałas tutaj był znaczniejszy niż w pozostałej części okrętu; wszelako nie mogłem i tak znaleźć nic, co by przypominało ów złowrogi śluz, o którym opowiadał motorzysta. Parę elementów się obluźowało i wymagało nie tyle nawet naprawy, co dokręcenia, ale to wszystko. Żadnego przecieku oleju, nic.

Poszedłem na kiosk, żeby zobaczyć, jak wygląda sytuacja na zewnątrz. Niestety, nadal nie potrafiliśmy określić, gdzie jesteśmy ani dokąd płyniemy. Ustaliliśmy z najwyższej

postawionymi w hierarchii okrętu personami, że będziemy robić dobrą minę do złej gry, żeby nie ryzykować buntu.

Tylko co będzie, kiedy zacznie kończyć się żywność?

I te gwiazdy: straszne jakieś takie, obce; wydaje mi się, że potrafię zobaczyć wokół jednej z nich kilka pierścieni.

Gdzie my jesteśmy?

5 czerwca 1940 r. godz. 07:00

Musieliśmy odizolować Świebockiego.

Bredził, że widział pod lustrem wody twarz Piaseckiego, ale zdeformowaną w okrutny sposób: w miejscu ust miało się znajdować kłębowisko macek, a na szyi widniały różowe skrzela. Co za brednie... Ale jednocześnie nie mogę pozbyć się sprzed oczu wizji z koszmaru sennego sprzed kilku dni.

5 czerwca 1940 r. godz. 13:00

Coś zaczęło się o ster; problem z jedną ze śrub.

5 czerwca 1940 r. godz. 14:00

Coraz ciężiej udawać przed załogą, że wszystko jest w porządku.

Poszliśmy z kilkoma ludźmi na rufę, sądząc, że wpłynęliśmy w jakieś wyjątkowo gęste kłębowisko glonów, ale gdzie tam! Okazało się, że za nami ciągnie się cień. I bynajmniej nie są to glony, chociaż na Boga, bardzo bym chciał, żeby w rzeczywistości tak było. Ale Bóg opuścił nas już jakiś czas temu i skupił się na ciekawszym rejonie świata.

Kształt ciągnący się za okrętem jest duży, ale prawdziwych jego rozmiarów nie idzie ustalić ze względu na fale i załamujące się w wodzie światło. Nawet wchodząc nieco wyżej, na kiosk, nie potrafiliśmy dojść do tego, co nam to przypomina. Sosnowski rzucił nieśmiało hipotezę o wielkiej ośmiornicy, ale odrzuciliśmy ją... Chociaż bez wielkiego przekonania, bo chyba wszyscy czuliśmy ten dziwny podskórny lęk, który ogarnia człowieka w obliczu nieznanego. Próbowaliśmy odzepić do harpunami, lecz nie udało się – trzyma się twardo. Sosnowski dźgnął to nawet dość mocno i stwierdził ze zdziwieniem, że ugina się pod ostrzem, co znaczy, że nasz tajemniczy cień jest najpewniej pochodzenia organicznego. Nadto na ostrzu pozostała dziwna maź, jakiś śluz zdaje się. Poleciałem zebrać go trochę do jakiegoś naczynia i zachować na powrót. Damy to profesorom do obejrzenia.

DOPISEK: przed chwilą byłem u hydroakustyka. Po obróceniu „ucha” na śruby słyhać – poza mechanicznym łopotaniem – niepokojący pomruk; nieregularny ton i bez wątplenia pochodzący od uczonego nas – czego jestem już pewien – organizmu. Spróbujemy się zanurzyć, może wtedy to coś odczepimy albo samo odpadnie.

5 czerwca 1940 r. godz. 15:00

Planujemy „treningowe” zejście na głębokość peryskopową o godzinie punkt szesnasta.

5 czerwca 1940 r. godz. 18:00

Dobry Boże, miej nas w opiece.

5/6 czerwca 1940 r. godz. nieznana

Nie sposób określić, która godzina.

Zegary nie działają. Nie działa też sonar, hydrofon, radio i mnóstwo innych rzeczy. Duży przeciek w torpedowni, próbowaliśmy go załatać, ale z marnym skutkiem; woda ciągle przeciska się do nas i myślę, że to już koniec.

Wszystko zaczęło się zaraz po zanurzeniu. Już od początku zauważyłem, że coś jest nie tak; okręt miał „ściąć” lustro wody gwałtownie, tymczasem odniosłem wrażenie, iż poczynił to całkiem leniwie, żeby nie powiedzieć: ledwo. Jak gdyby coś oplotło ster rufowy i przyblokowało go. Czy to ów kształt? Głupie pytanie – oczywiście, że tak.

Na początku załoga zachowywała się względnie spokojnie, w końcu to prawdziwe wilki morskie. Zeszliśmy na głębokość dwudziestu metrów, ale wbrew wszystkiemu nie zatrzymaliśmy się. Opadaliśmy dalej; dwadzieścia pięć, trzydzieści... Czterdzieści... Sto...

Już na początku, kiedy zrozumiałem, co się święci, natychmiast kazałem załodze przenieść się z dziobu na rufę, żeby odciążyć przód, a dociążyć tył — metoda stara jak świat. Ale nawet wtedy ponad osiemdziesięciometrowy okręt nie posłuchał praw fizyki; wręcz przeciwnie, zaczął szarpać na boki jak ryba pochwycona w sieci. Jakubowski rozwalil sobie czoło na aparacie peryskopu, a jeszcze kto inny wyrzwał o próg grodzi. Ktoś krzyknął, że pojawiło się kilka przecieków w dziobowej części okrętu, ktoś znowu zawołał, iż słyszał puszczające gwinty.

I ten pomruk! Dobry Boże, nie wiem, co wydało z siebie ten odgłos, ale na okręcie momentalnie wszystko zamarło. Patrzyliśmy po sobie z ludźmi całkiem ogłupiali, wszak zasłyszany dźwięk nijak nie przystawał do charakterystycznego skrzeku wręgów, gdy

ciśnienie zaczyna zaciskać swoją morderczą obręcz. Myślałem, że może się przesłyszałem, ale gdzie tam! Pomruk powtórzył się; jakby podwodny smok obudził się po długim śnie i postanowił rozruszać zastale stawy. Szarpnęło nami wówczas znowu, ponownie ostro. Ściśnięci w ciasnocie korytarza wpadaliśmy na siebie i przewracaliśmy, wyginając rury czy inne instalacje. Buchnęła para, poparzyła jednego z marynarzy. Zaraz zajął się nim medyk, ale w tym chaosie ciężko było cokolwiek zrobić. „Orłem” zawładnęła jakaś złowroga siła i ani myślała odpuścić.

Część oświetlenia zgasła. Okręt opętał złowrogi półmrok, pełen rozgorączkowanych oczu i niewyraźnych cieni ludzkich sylwetek. Nie krzyczeliśmy, tak wielka dopadła nas trwoga. Potężna siła szarpała okrętem, a my w upiornym milczeniu, pełnym grozy i oczekiwania, trwaliśmy w tym szaleństwie.

Teraz to wszystko ustało. Wydałem rozkazy, załoga pracuje i łąta okręt. Głębokościomierz wskazuje sto osiemdziesiąt pięć metrów. Trafiliśmy na jakiś płytszy obszar? Może. Tylko skąd ów upiorny zgrzyt przy osiadaniu na dnie? I w ogóle to dno jest jakieś takie regularne, zdaje się, wyrównane. Skały? A może...

Nie, co za absurd. Szkoda nawet gadać czy wspominać.

Później

Nie szukam już nawet zegarka, nie mogę więc z całą pewnością zapisać daty czy godziny. Zresztą sądzę teraz, że to bez znaczenia. Okręt jest stracony.

Motorzysta rzucił się na jednego z marynarzy i zaczął okładać go kluczem, ale jak okładać! Walił z całej siły, wrzeszcząc przy tym, że... jak to było? „Darmo skóry nie odda!”

Zanim udało nam się go odciągnąć od Nowaka, świr rozwalił mu łuk brwiowy i solidnie obtłukł kości; kolejny marynarz do łatania. Dwóch innych rostrych chłopaków złapało tego wariata i przytrzymało. Podbiegłem do niego i krzyknąłem „Jakubowski, czy ciebie do reszty pojebało!?”.

...A ten tylko gapił się na mnie, strużka śliny ściekała mu z kącika ust i bredził, bredził w jakimś cholernym języku; ni to po polsku, ni po arabsku. Wściekły zdzieliłem go w twarz kilka razy i kazałem przywiązać do łóżka, ale tak, żeby się nie uwolnił. I jakież głupoty on wołał! Że widział śluz ściekający ze ścian i w tym właśnie śluzie był Piasecki i inni; że słyszał głos utopionego smoka i ten smok jest stary, starszy od nas czy nawet naszych religii i tonął w ciemności morza. Tak, zanim go zakneblowaliśmy, to nasłuchaliśmy się, nie ma co!

Przecieków jest dużo; załoga stara się jak może, ale to już chyba koniec. Ludzie tracą głowę. Skarbek zwymiotował ze strachu, siedzi teraz koło drabiny na kiosku i płacze. Chojecki

drapie ścianę, krzyczy, że wszystko jest w służbie. Hagno spogląda ponuro na wodę, która dotarła już do mostka. Chryste!

Zamknęliśmy jedną z grodzi wodoszczelnych, ale to na nic. Odcięcie jednego przedziału to tylko odwlekanie nieuniknionego.

Dąbrowski właśnie zapytał się mnie, czy wszystko ze mną w porządku, bo nic tylko siedzę i piszę ten cholerny dziennik, zamiast pomagać załodze. Wielkie nieba! A więc i ja...

Torpedownia zalana. Maszynownia odcięta.

Robiliśmy, co mogliśmy, a nie mogliśmy nic. Coraz trudniej oddychać. Część ludzi już nie kontaktuje. Wyją tylko jak potępieńcy i modlą się, ale nie po chrześcijańsku. Drapią przy tym ściany, mówią, że chcą odejść do kogoś, kogo nazywają Tonącym w ciemności. Mój Boże, ci wszyscy chłopcy... Dlaczego! Już lepiej było nam zostać w Tallinie albo zginąć od Niemca... Ale nie tak...

Wody coraz więcej, zostały nam godziny, może nawet nie. Słyszę Piaseckiego, słyszę, jak pływa tam na zewnątrz z twarzą wstrętnej mątwy i modli się do swojego wstrętnego boga. I nas czeka ten los, już to wiem, ja to widzę; czarny, opalizujący śluz przeciska się do wnętrza okrętu, wysadza gwinty, latają wkoło jak pociski. Jeden z takich gwintów właśnie zabił Koteckiego.

Załoga szaleje. Modlą się i ja się modlę już z nimi; niniejszym kończę ten dziennik. Zresztą, po co się trudziłem? I tak wszystko zniszczy woda morska. Mi pozostaje tylko dołączyć do innych i razem z nimi prosić o błogosławieństwo i krzyczeć w zapamiętaniu:

*„TY KTÓRY UNOSISZ SIĘ NAD ODMĘTAMI
MY KTÓRY JESTEM SAM CHOĆ WIELU
STARSZY OD TWOICH I NAD TWOIMI WIĘKSZY
GDY ZEJDZIESZ DO MOJEGO KRÓLESTWA
JA WEJDĘ CI NAPRZECIW STARSZY
TONĄCY W CIEMNOŚCI”*



W DOMU PANA MOTTA

Wojciech Gunia

Przyjechali w nocy.

Tak przynajmniej pamiętam, a czy to prawda – to już rzecz bez znaczenia. W takich miejscach pojęcia „dnia” i „nocy” mają mniejsze znaczenie niż gdzie indziej. Nie należy tym pojęciom wierzyć, lepiej im nie ufać, jak zresztą każdemu podstępnemu rodzeństwu. Nigdy nie wiadomo, kiedy jedno udaje drugie, a drugie pierwsze.

Antunowicz i Byrkicz grali w karty. Obserwowałem ich grę, udając, że wypełniam jakieś dokumenty. Byli znudzeni. Rzucali mechanicznie na stół kolejne asy, króle, królowe, walety i blotki, ale zdawali się to robić bardziej dla zabicia czasu niż dla jakiejś przyjemności. Na stole leżało kilka drobnych przedmiotów. Zegarek, łańcuszek, jakaś figurka. Drobiazgi. Dobrze wiedziałem, co to za przedmioty i skąd pochodzą. Były fantami w grze, ale ani

Byrkicz, ani Antunowicz nie zdawali się do nich przywiązani. Albo nauczyli się tego nie okazywać. Jako ich nadzorca musiałem pamiętać, że codziennie toczyli między sobą znacznie bardziej wyrafinowaną grę. Pod pozorami koleżeństwa i współpracy prowadzili walkę przeciwko sobie i – ostatecznie – także przeciwko mnie. Ta gra wyostrzała czujność, niezbędną dla naszej pracy. Taki był, taki jest, i taki będzie porządek tego domu. Nawet gdy przeminiemy, nawet gdy przeminie kilka pokoleń nadzorców i zarządców, podstawowe reguły tej gry nigdy się nie zmieniają, bo są jak prawo przyrody. Więc powiedziałem, że przyjechali w nocy, choć powiedziałem też, że to nie ma żadnego znaczenia. Przyjechali.

W ciszy spowijającej dom, w tej fałszywej ciszy, która była jak gruba narzuta kryjąca pod sobą niezliczoną ilość głosów, już z daleka usłyszeliśmy warkot samochodowego silnika. Byrkicz i Antunowicz spojrzeli po sobie. W ich puste twarze wlały się emocje. Jakieś emocje, wywołane bodźcem, który nadszedłszy, zakłócił martwą rutynę ostatnich dni.

– Twój informator mówił prawdę – rzucił Byrkicz.

Kiwnąłem głową.

– Jest pewny – odparłem. – Rodzina z dziećmi. Ojciec, matka i dwójka dzieciaków.

Antunowicz złożył karty i położył na stole, po czym zgarnął leżące po jego stronie fanty do kieszeni.

– Odkujesz się zaraz – powiedział wesoło.

– Rodzina z dziećmi, co? Cieszysz się, Antunowicz?

– Zobaczymy, co mają do zaoferowania.

Nie mogę powiedzieć, bym ich szanował. Szacunek to coś innego niż ostrożność, nawet jeśli pragmatyka szacunku i pragmatyka ostrożności z zewnątrz wyglądają zupełnie tak samo. To ostrożność wobec podwładnych nakazywała mi uśmiechać się do nich, kiedy żartując, próbowali zdobyć moją aprobatę, to ostrożność nakazywała mi jedne pomysły akceptować, a na inne przymykać oko. Być może wszyscy mamy świadomość tego, że w naszym domu toczy się cicha *bellum omnium contra omnes*, ale to właśnie ona – im silniejsza – nakazuje nam zachowywać pozory. Nie uznałbym za nieprawdopodobne tego, że i Byrkicz, i Antunowicz w gruncie rzeczy nie szanowali mnie ani siebie nawzajem, a ich zachowaniem rządziła jedynie konieczność zachowania ostrożności.

Każdy musi zachować ostrożność w domu pana Motta.

Wyszliśmy we trzech. Pierwszy szedł Antunowicz, za nim Byrkicz. Patrzyłem na ich plecy – lekko zgarbione, wąskie plecy Antunowicza i szerokie, masywne barki jego kolegi.

Dwa prymitywne, tępe stworzenia, gotowe na popełnienie każdego plugastwa dla

pieniędzy. Dwie kreatury, które musiałem trzymać na krótkiej smyczy. Dwa ruchome narzędzia z mięsa i kości, przeznaczone do najpodlejszej roboty. I ja – bestia najgorsza.

Tak, mogę teraz to powiedzieć: okrucieństwo moich podwładnych było bestialskie. Było jak przyroda. Nieświadome siebie. Nieświadome własnych związków ze złem. Nieświadome zła w ogóle. Antunowicz i Byrkicz po prostu działali. Robili zawsze to, co było wypadkową chwili i korzyści własnej. Zbierali plony okoliczności, beznamiętnie zrywali i zjadali owoce, którymi obradzały inne ludzkie byty. Zaspokajali głód.

Moje okrucieństwo było natomiast diabelskie. Podejmowane z pełną świadomością tego, czym w istocie jest. Musiałem to zaakceptować. Taka była cena. Tylko tak mogłem zbliżyć się do Motta i ostatecznie przeświecić jego tajemnicę. Tylko tak mogłem podtrzymać swoją nadzieję, że kiedyś go zobaczę i usłyszę. Antunowicz i Byrkicz nie dbali o to. Było im obojętne, czyja ręka ich karmi. Czyja ręka wskazuje cel. Czyja ręka unosi się, by wymierzyć dyscyplinujący cios.

Już psy mają więcej godności.

A może oceniam ich niesprawiedliwie. Może to, że stoję o jeden szczebel wyżej, sprawia, że umniejszam im, by powiększyć siebie, by wypchnąć się w górę i dać sobie choć odrobinę nadziei na to, że cel, którym jest Mott, jest choć trochę bliższy. Może to w nim powinienem upatrywać przyczyn żywionej pogardy. To przecież on mnie tu ściągnął.

Pamiętam czas, gdy zdesperowany, stojący wobec martwej perspektywy, spotkałem człowieka, który powiedział, że ktoś taki jak ja byłby potrzebny w domu pana Motta. Nie powiem, że nie słyszałem o nim wcześniej. To nazwisko, które otwiera wiele drzwi, wiele uszu i wiele serc. Staliśmy w lodowatej poświacie księżycy, na moście rozpiętym ponad leniwie płynącą rzeką, gdy człowiek ten opowiadał o korzyściach wynikających ze służby dla pana Motta. Ale korzyści wydały mi się czynnikiem zbyt niskim, nawet jeżeli w ich poczet wliczałoby się przedłużenie życia, którego podówczas pragnąłem sam siebie pozbawić. Pragnąłem czegoś więcej, albowiem byłem gotowy, by oddać całe swoje istnienie. Nie mogąc znaleźć wcześniej żadnego celu, który byłby go wart, zamierzałem je ostentacyjnie zmarnować, wydać w jednej erupcji rozrzutności. I wtedy pojawił się człowiek od Motta. Więc byłem gotowy. Kiedy oznajmił, że Mott bezwzględnie wymaga absolutnej lojalności, pokiwałem tylko głową. Więc powiedzieli, żebym przyszedł.

Szedłem długo w noc, daleko poza rogatki miasta, pełną, kamienistą drogą, nad którą

błyszczą srebro księżyca. Wysokie topole lekko falowały na chłodnym wietrze, który niósł zapach traw, stawów i zagajników. Usiadłem na chwilę na przydrożnym kamieniu, by odpocząć i wsłuchałem się w monotony koncert świerszczy.

Kiedy byłem dzieckiem, ojciec zabierał mnie nad rzekę, w okolice mostu. Pamiętałem potężne pylony, wznoszące się z szerokiego, choć leniwego nurtu. Ojciec sadzał mnie na małej tratwie i pchając ją przed siebie, prowadził ku jednemu z wielkich filarów. W krajobrazie rozpalonym letnim słońcem, wśród obfitej, zgaszonej zieleni gęstych krzaków porastających brzeg, filar wydawał się być czymś z innego świata – skryty w cieniu, rzucanym przez szerokie przęsło, promieniujący chłodem i szarością. Podpływalismy pod niego, a ja, z mojej dziecięcej perspektywy, spoglądałem w górę. Trzymałem się mocno krawędzi, przerażony, że mogę wpaść w głębię. Pchającemu tratwę ojcu woda sięgała do brody. Opowiadał mi wtedy, uspokajał, że stan jest wyjątkowo niski z powodu suszy. I ten szum płynącej wokół wody, to wspomnienie o nim, w jakiś sposób zostało wywołane nocną grą owadów. Ojca już nie było. Tylko ja, moje zagubienie i Mott – a właściwie ktoś, kto w jego imieniu obiecał mi pracę.

Potem rozpadał się deszcz.

Szedłem więc polną, błotnistą drogą, mając po dwóch stronach wysokie topole, a nad sobą skłębioną ciemność. Moje ubranie przemokło, stało się zimne i ciężkie. Wiał wiatr. Parskałem co chwila, mrużyłem oczy zalewane potokami deszczówki, ale szedłem. Zanurzone w błocie kamienie chrzęściły pod stopami. Było mi zimno i pomyślałem sobie... O czym właściwie myślałem? O tym, że poczułem w pewnej chwili, że ta droga nigdy nie będzie mieć końca? A może wyobraziłem sobie ciepłe przyjęcie, będące wynagrodzeniem za trud marszu?

Dom pana Motta miał wprawdzie swój adres, ale te mają sens jedynie w jakimś kontekście, jedynie w siatce innych adresów. Bez punktu odniesienia staje się absurdalnie nieprzydatny i taki właśnie był adres domu, w którym rezydował Mott. Wszyscy znaleźmy tego człowieka, choć nikt z moich znajomych i znajomych znajomych nigdy go nie widział. Znaleźmy go z opowieści, z relacji, z zasłyszanych anegdot, które rozrastały się w legendy. Jako człowiek potężny mógł pozwolić sobie na miejsce zamieszkania poza kontekstem, na warunkach własnych, a nie określonych zastaną sytuacją. Więc szedłem, wiedząc, że praca dla niego będzie czymś więcej niż tylko sprzedaniem kawałka swojego czasu za odrobinę pieniędzy. Czymś więcej niż aktem prostytucji, jaką jest każda inna praca.

W tej deszczowej, lodowatej nocy straciłem poczucie upływającego czasu, ale gdy

zobaczyłem w ciemnościach ścieżkę odchodzącą od drogi, wiedziałem, że prowadzi ona w miejsce, w którym miałem się stawić. Zszedłem więc pomiędzy krzewy, dróżką lekko wiodącą w dół, poprzez ciężkie od kropel krzewy i żdzbla.

Jedynym źródłem światła był księżyc, wychylający się od czasu do czasu zza chmur, gnanych wściekłym wiatrem. Deszcz zelżał. A może ustał zupełnie, tylko drzewa oddawały jeszcze nadmiar wody, rosząc wszystko to, co było pod nimi. W zimnej, białawej poświacie zobaczyłem skrytą pośród chaszczycy ścianę, w której czerniało jakieś wejście. Było otwarte na oścież i lekko zapadłe w grunt, który wlewał się do środka masywnym, trawiastym jęzorem. Usiadłem naprzeciw. Oddychałem ciężko, czując ciężar i oblepiające zimno przemoczonego ubrania. Pomyślałem, że nie mam siły iść dalej. Nie mam siły dalej szukać. Ani jeden wątyły promień nie był w stanie spenetrować tego czerniejącego prostokąta, który zdawał się promieniować chłodem i ciemnością nieporównywalnie większymi i głębszymi niż ciemność deszczowej, lodowatej nocy. Kiedy poczułem na policzkach ciężkie krople nadchodzącej fali deszczu, wstałem i schroniłem się w pulsującej czerni.

Nie mając żadnego lepszego wyjścia, wstąpiłem w tę ciemność, zstępując po ziemi wlewającej się do środka. Pomyślałem, że zabłądziłem, że może noc i deszcz zmyliły mnie, ale wiedziałem też, że przy drodze za miastem nie leży żaden inny dom, nawet żadna ruina jakiegoś innego domu. Krzyknąłem, ale w odpowiedzi usłyszałem jedynie słabe echo, które wnिकnąwszy gdzieś w niewidoczne korytarze, rozproszyło się w mroku i zatraciło w huku ulewy. Czulem przenikliwie zimno i zacząłem drżeć.

Przemierzywszy krótki korytarz, znalazłem się w obszernym holu, do którego przez dziurę w wysokim dachu wpadała nędzna poświata nocy oraz strugi wody. Na środku pomieszczenia utworzyła się kałuża. Za nią dostrzegłem przejścia do innych pomieszczeń, a także prowadzące gdzieś na górę schody. Usiadłem, zrezygnowany, na progu. Byłem zbyt zmęczony, by wracać do miasta. Zbyt zmęczony, zbyt słaby. Ale nie tylko. Przenikająca budynek aura ruiny w harmonijny sposób rezonowała z moim wewnętrznym poczuciem spustoszenia. Obserwując taniec kropel spadających na wykwitłe na środku sali jezioro i fakturę splekanych ścian lśniących od wilgoci, poczułem, że w istocie przynależę do tego miejsca. Że zawsze do niego przynależałem. Niepomny przenikliwego zimna, oparłem się o ścianę i zamknąłem oczy.

Przyśniło mi się, że wstępuję po schodach, że unoszę się przez długie, ciemne korytarze pełne drzwi, coraz wyżej, przez kolejne kondygnacje, przez coraz dłuższe pasaży, aż wreszcie odnajduję się w ciemnym pomieszczeniu, w którym unosi się podłużny kształt. Jest jednocześnie mięsisty i eteryczny. Porusza się i wtedy zdaję sobie sprawę, że to

zawieszono w ciemności usta, które do mnie przemawiają. Usiłuję wniknąć w dobywający się z nich szept, ale wszystko zagłusza szum ulewy, tym bardziej przytłaczający, im bardziej próbuję skupić się na głosie. Rozpoznaję w nim tylko strzępy sylab, tylko rytm i ton – głuchy i martwy, a jednak potężny i magnetyczny.

I mówię – z pretensją – że powiedziano mi, żeby tu przyszedł. Że obiecano mi pracę. Że obiecano mi życie. Ale one tylko szpecą swój głuchy bełkot, aż cała sceneria rozprasza się w absolutną czerń.

Zbudziły mnie krople wody padające na policzek. Kiedy otworzyłem oczy, oślepiła mnie jasność dnia, wlewająca się przez wyrwę w zapadniętym dachu. Ktoś pochylił się nade mną, ale byłem zbyt słaby, by odwrócić głowę. Usłyszałem natomiast jego głos.

– Wszedł pan od złej strony. Ta część budynku jeszcze nie została wyremontowana.

– Powiedziano mi o pracy – wyszeptałem.

– Pan Mott oczekiwał na pana wczoraj, ale wobec zaszłej pomyłki, nie mogliście się spotkać. Dziś musiał wyjechać w interesach. Mam pana wprowadzić w zadania.

Zebrałem się w sobie i odwróciłem na plecy. Kawalki gruzu zachrzęściły pod moim ciężarem. Ubrany w marynarkę mężczyzna z kapeluszem na głowie przypatrywał mi się z obojętnym wyrazem twarzy.

– Jestem koordynatorem zarządców posiadłości pana Motta – przedstawił się. – Szukamy kogoś, kto zajmie się tym skrzydłem. Więc w jakimś sensie dobrze pan trafił. Przynajmniej może zobaczyć, jakie zadanie pana czeka.

– Jeżeli się zgodzę – wychrypiałem, zasłaniając oczy dłońmi. Raziła mnie jasność wpływająca przez dziurę w dachu. Moje oczy tęskniły jeszcze za ciemnością.

– Nie szedłby pan taki kawał drogi w deszczu, żeby się nie zgodzić, prawda?

Nie odpowiedziałem nic, tylko usiadłem i wciągnąłem głęboko powietrze. Było stęchłe, cuchnęło grzybem i pleśnią.

– Czego dokładnie ode mnie oczekujecie? – zapytałem.

Antunowicz i Byrkicz zatrzymali się w cieniście holu i spojrzeli na mnie. Kiwnąłem głową. Podjęcie nowych gości należało do moich obowiązków. Powolnym krokiem podszedłem do frontowych drzwi. Pukanie było rytmiczne, ale słabe, jakby stłumione niepewnością i zmęczeniem. Tacy zawsze przyjeżdżali do naszego domu: wyczuci z sił i pewności. Zmęczeni drogą, obciążeni niepokojem.

Otworzyłem drzwi. W progu stał niski, szczupły mężczyzna i rozglądał się nerwowo. Jego zmizerowana, poznaczona bruzdami twarz wyglądała, jakby spod skóry usunięto mu całą tkankę tłuszczową, zostawiając blady, obwisły, pozbawiony jędrności worek, naciągnięty na zbyt małą czaszkę. Jego spojrzenie było mętne i pełne lęku. W pewnej odległości za nim stał duży samochód osobowy. Zdawał się tonąć w wysokich źdźbłach. O blachę drzwi opierała się dwójka chłopców w trudnym do określenia wieku. Ich matka stała obok. Pokazałem mężczyźnie gestem, żeby wszedł.

Protokoły bezpieczeństwa musiałem opracować dla dobra samych gości domu. Zrazu, przybywając w jakimś celu do pana Motta, uznawali, że przebywają w jego domenie na wyjątkowych prawach. Uznawali, że są szczególnymi gośćmi, personami znacznej rangi i wysokiego prestiżu. Że są niemal równi gospodarzowi. Przybywali w interesach. Przybywali, by załatwić wsparcie Motta dla jakiegoś projektu bądź inicjatywy, by uzyskać jego zgodę albo błogosławieństwo. Czasami przyjeżdżali, by spotkaniem z Mottem podnieść własną rangę, by uszczknąć nieco jego chwały. Słowa takie jak „widziałem się z Mottem”, „Rozmawiałem z Mottem”, „ustaliłem to z Mottem” z pewnością były kluczem do wielu drzwi i nawet nie dziwiło mnie, że interesanci byli skłonni znosić coraz większe upokorzenia, by urzeczywistnić swój cel. Czy tak kiedykolwiek się działo? Czy udawało się te cele osiągnąć? Chciałbym to wiedzieć. Dyspozycje, jakie otrzymałem od koordynatora zarządców, były jasne: przeprowadzić selekcję osób zasługujących na spotkanie z Mottem, poddać ich zestawowi określonych prób, mających dowieść, że zasługują na widzenie – na szansę widzenia – z gospodarzem. A przede wszystkim zdyscyplinować ich, nauczyć porządku, który wdrożył u siebie Mott. Buntowali się, jakżeby inaczej. Próbowali obchodzić prawo. Kombinowali. Więc musiałem opracować system bezpieczeństwa oraz system adekwatnych kar. Dla ich własnego dobra, by nie zaprzepaścili z kretesem cienia szansy, jaką mieli. Dla naszego dobra, by nie pochłoniął nas chaos. Ci, którym udałooby się spełnić coraz wymyślniejsze próby, mieli być kierowani do innego skrzydła domu. Skrzydła, którego nigdy nie widziałem. Do którego – mimo ciężkiej, wiernej pracy – nie było wolno mi wejść.

Nie wątpię, że także stąd brała się moja gorliwość w piętrzeniu przed gośćmi problemów. Choć ich pozycja początkowa była żałośnie niska, choć wkraczając w podwoje domu Motta znaczyli mniej niż brud pod paznokciem, w ich żalosności krył się potencjał wzrostu, perspektywa awansu. Koordynator nigdy nie powiedział mi, czy w następnej części

domu spotykali się z Mottem, czy byli poddawali kolejnym próbom. Czy istniała jakaś bardziej skomplikowana, wielostopniowa selekcja. Mogę tylko zgadywać. Wiem natomiast, że zrazu nędzni, zależni ode mnie, ba, poddani mojej absolutnej władzy, mogli wznieść się ponad mnie, na poziom, który nigdy nie miał być mi dostępny. A przecież sam – w noc, gdy postanowiłem pójść do domu Motta – byłem jego gościem. Dlaczego zatem odmówiono mi prawa do spotkania z Mottem, a nawet szansy uzyskania choćby najnędzniejszej nadziei na takie spotkanie? Dano mi dach nad głową, dano mi pieniądze, dano mi jedzenie i dano mi zajęcie. Dano mi nawet cel. Ale te dary, okryte cieniem definiującego je warunku, były puste i pozbawione smaku, choć bez wątplenia podsycaly mój głód Motta. Głód Motta, tak, to dobre określenie. Nie miałem szansy na zmianę tego stanu. Koordynator, podczas jednej z nielicznych rozmów, powiedział mi, że nawet jeśli odejdę ze służby, nigdy nie będę mógł tu wrócić jako gość. Nie zostanę nie tylko przyjęty, ale nawet wysłuchany. Najpośledniejszy odzwierzy splunie na mnie z pogardą, jeżeli kiedyś wrócę. Pamięć o mojej zdradzie będzie instytucjonalna i przetrwa przez pokolenia. Stanę się przedmiotem obelżywych porzekadeł. Ciemną, wstydliwą legendą. I nigdy nie zobaczę się z Mottem. Z człowiekiem, który mnie uratował.

Przyznaję, że los osób, które trafiały do mnie pod kuratelę, był mi wtedy zupełnie obojętny. Absorbował mnie Mott i jego milczenie. Już dawno powziąłem podejrzenie, że Koordynator nie mówi mi całej prawdy, że być może nawet zmyśla albo kłamie, wykorzystując pozycję dla własnych interesów. Nie mogłem mu tego udowodnić, a nawet gdybym mógł, niewiele byłbym w stanie z tym zrobić, albowiem nie znałem nikogo, kto mógłby w tej sprawie interweniować u Motta. Musiałem więc być czujny.

Stosowania protokołów bezpieczeństwa musiałem przestrzegać z jeszcze jednego powodu: nigdy nie mogłem mieć pewności, czy człowiek, który chciał się zobaczyć z Mottem, nie był przypadkiem szpiegiem albo prowokatorem. Mógł działać na polecenie samego Motta albo Koordynatora, ale mógł też działać z ramienia innego zarządcy, a może nawet być kimś podstawionym przez moich podwładnych, którzy z pewnością mogliby zrobić dobry interes na skompromitowaniu mnie i usunięciu z domu. Nie mogłem nawet być pewnym, czy w danym czasie pośród gości Motta przebywa jeden agent, dwóch, czy może wszyscy w danym momencie albo na danym odcinku czasu stanowią rozbudowaną siatkę, której celem było skontrolowanie mojej pracy albo działanie na moją szkodę.

Jedynym rozsądnym wyjściem było opracowanie systemu, który uniemożliwił gościom znajdującym się pod moją pieczęć wzajemne kontakty, czy choćby nawet przypadkowe spotkania. Wdrożenie go kosztowało wiele wysiłku i zachodu, ale był w istocie konieczny: nie byłbym w stanie zapobiec na dłuższą metę działaniom gości, obliczonym na wspólne, nieautoryzowane przedostanie się do dalszej części domu. Tym bardziej że informacje, które dostawałem od Koordynatora odnośnie mających się pojawić osób, często rozmijały się z rzeczywistością. Dlatego musiałem stworzyć własną siatkę informatorów, którzy mogliby potwierdzić przekazywane mi dane. I którzy pomogliby mi zdobyć wiedzę na temat tego, co dzieje się w innych rejonach domu. Wiedzę, która kiedyś mogłaby mnie zaprowadzić do Motta.

Tłumaczyłem mężczyźnie podstawowe zasady, mierząc go wzrokiem. Przez lata pracy jako zarządca nauczyłem się bezbłędnie oceniać ludzi. Ze sposobu, w jaki kiwali głową, przez to, jak wzruszali ramionami. Jak stali, jak układali stopy, jak trzymali ręce. To w istocie zadziwiająco proste: każdy gest to deklaracja. Deklaracja poddaństwa albo deklaracja wojny. Człowiek, z którym rozmawiałem, stał zgarbiony; podpierając dłonią podbródek, kiwał głową. Unikał mojego wzroku. Ściągałem go, dążyłem do przecięcia się linii naszych spojrzeń, ale on wycofywał się, umykał. Ale jednocześnie zdawał się nieobecny, choć doskonale rozumiał każde moje słowo. Z jednej strony chłonał to, co mówiłem, z drugiej – poświęcał się wewnętrznym rozważaniom, których natury nie mogłem przeniknąć.

Był w niebezpieczeństwie. Nastaly czasy, że tacy jak on tracili grunt pod nogami. Nie wzruszało mnie to. Tak dzieje się każdego dnia, w każdym miejscu zamieszkiwanym przez ludzi: nagle, wskutek jakiegoś procesu, ktoś traci pozycję i bezpieczeństwo. Nawet najbardziej spektakularne degradacje są zjawiskiem równie powszechnym jak deszcz i wiatr. Więc był w niebezpieczeństwie. Uciekł. Uciekł do Motta wierząc, że ten go uratuje. Uciekł do nas. Do mnie.

Kiedy tylko jego rodzina przekroczyła próg, zrozumiałem, że będą z tego tylko same kłopoty. On sam wydawał się być jedynie zahukanym, przerażonym człowiekiem, którego desperacja przywiodła do Motta; człowiekiem, którego wiara w Motta nakazała widzieć w nim zbawcę mogącego uchronić jego bliskich przed zdarzeniami rozgrywającymi się wokół. Przyznaję, musieliśmy ułożyć sobie współpracę ze światem zewnętrznym, choć zawsze obawiałem się, że pewnego dnia świat przestanie respektować zawarte porozumienia,

osiągane dzięki wytrwałej pracy dyplomatycznej, a także łapówkom, daninom i szantażom, i spróbuje się wdrzeć w nasze mury. Jednak, czy sam mogłem choć na chwilę przestać wierzyć w Motta?

Więc człowiek był przerażony, ale jego synowie od razu wydali mi się podejrzani. Zwłaszcza jeden z nich. Smukły, zawzięty szczeniak, który zdawał się być dojrzały ponad wiek. Widziałem, jak bacznie obserwuje teren, jak zachowuje się w obecności mojej i moich pomocników, jak kalkuluje i planuje. Na odprawie uczuliłem Antunowicza i Byrkicza, by mieli na niego oko. Poleciałem im sprawdzić bagaże nowo przybyłych.

Antunowicz oglądał jakieś zrabowane gościom błyskotki, a Byrkicz z lubieżnym uśmiechem międlil osobiste rzeczy kobiety, matki chłopców. Obydwaj zgodnie pruli nożami ubrania w poszukiwaniu ukrytych kosztowności. Pozwalałem im na to. Dawanie im możliwości zaspokojenia ich małych, ordynarnych potrzeb, było jednym ze sposobów na utrzymanie ich posłuszeństwa. Było też jedną z prób, jakie stawiałem przed gośćmi Motta.

Nie mogłem nie postawić sobie pytania: jak do wdrożonych przeze mnie metod zarządzania skrzydłem odniósłby się Mott? Czy pochwaliliby moją przezorność i daleko idącą szorstkość wobec interesantów? Czy zganiłby samowolę i brutalność, na które pozwalałem moim podwładnym? Nie ukrywam, że usłyszawszy o tym, że nigdy nie będę mógł się zobaczyć z Mottem, zapragnąłem przedsięwziąć coś, co wzbudzi jego reakcję. Jak krnąbrne dziecko, łaknące uwagi rodzica. Koordynator wiedział o wszystkim, ale nigdy nie zareagował. Napęłniało mnie to wściekłością.

Nowi goście, zamknięci w swoim pokoju, poddani pierwszej serii upokorzeń, na jakiś czas przestali zaprzętać moją uwagę. Skupiłem się na prowadzeniu własnego dochodzenia w sprawie Motta.

Fakty były następujące: ktoś w imieniu Motta zaproponował mi spotkanie z nim, ale wskutek nieporozumienia do naszej bezpośredniej rozmowy nigdy nie doszło. Kategorie tego stanu została określona w chwili, gdy podjąłem się zobowiązania prowadzenia jednego z sektorów domu. Czyli Mott został użyty jako przynęta. Próbowałem dotrzeć do innych zarządców, ale tak jak ja wprowadziłem system izolujący gości od siebie, tak Koordynator musiał wprowadzić system izolujący od siebie zarządców. Moim pomocnikom nie mogłem ufać. Nikomu nie mogłem ufać, chociaż musiałem. Nazwisko Mott było znane w tych rejonach, a nawet daleko poza nimi i udało mi się – wykorzystując dawne

kontakty – zbudować siatkę informatorów. Antunowicz i Byrkicz wiedzieli o kilku z nich, sam im o tym powiedziałem, by nie nabrali przypadkiem podejrzeń odnośnie do skali moich działań. Odsłoniłem im ułamek konstrukcji, wierząc, że w swej tępotcie uznają ją za całość. Moi informatorzy zbierali informacje o aktywnościach Motta. O rozmowach, w których przewijało się jego nazwisko. Tworzyli tak dla mnie mapę działań Motta. Na jej podstawie mogłem wnioskować albo o jego obecności w danym rejonie, albo o jakimś nowym interesie, który był z nim związany.

Ale choć wykaz działań pozwalał z grubsza określić miejsca szczególnego występowania Motta (nieprzypadkowo zacząłem o nim myśleć mniej jako o osobie, a bardziej jako o zjawisku), żadna relacja naocznego świadka nie pozwoliła przyoblec tego zjawiska w formę *konkretnego ciała*. Pojawiło się kilka osób, które twierdziły, że widziały Motta albo że nawet z nim rozmawiały, ale szybko je zdemaskowałem jako łgarzy i oszustów. Być może istniała siatka dezinformacyjna, kto wie, czy nie zarządzana przez samego Motta albo kogoś z jego bezpośredniego otoczenia. A być może inni zarządcy podejmowali takie same działania jak ja i grupy naszych informatorów wzajemnie torpedowały swoje poczynania. Zaśmiałem się na myśl, że być może każdy – ilu by nas nie było – prowadzi swoje prywatne śledztwo, ale jedyne, do czego jesteśmy zdolni, to przeszkadzanie sobie. Być może Koordynator, a nawet sam Mott o tym wiedzieli i obserwacja naszego miotania się była dla nich źródłem rozrywki. Po omacku, ze skrępowanymi ruchami, nie wiedząc nic o sobie nawzajem, ale podejrzewający się o wszystko, co najgorsze, niemogący ani pójść dalej, ani się wycofać, musieliśmy stanowić zbiorowisko wyjątkowo śmiesznych małp. Zresztą, być może to było także dowodem na istnienie Motta: zmuszenie nas do podjęcia działań, którymi wzajemnie wyprowadzaliśmy się w pole. Być może Mott, niczym pająk, obserwował z ubawieniem z samego środka drgania swojej sieci. Czy mogło być tak, że nie istniał Mott, ale istniała jego sieć i to ona warunkowała naszą wiarę, a tym samym powodowała istnienie samego Motta? Co za różnica, czy Mott istniał czy nie istniał, skoro postępowaliśmy tak, jakby był tuż obok albo wszędzie wokół?

W domu miałem, jak na ironię, o wiele bardziej ograniczone możliwości niż poza nim. Moje uprawnienia kończyły się na pewnych drzwiach, łączących moje skrzydło z sąsiednim. Miałem klucz, który pasował do zamka, ale na samym początku mojej pracy Koordynator powiedział, że w wypadku wystąpienia ekstremalnej sytuacji mam wprowadzić prawo go użyć i przejść do innego skrzydła, ale jednocześnie – jak poważną okolicznością nie byłoby to motywowane – muszę pamiętać, że będzie to definitywny koniec mojej kariery w domu.

– Trudno to nazwać nawet degradacją – powiedział Koordynator z kwaśnym

uśmiechem. – Korzystając z tych drzwi dajesz ostateczny dowód na to, że zawiodłeś. Nie byłeś w stanie opanować sytuacji w miejscu, za które odpowiadałeś. W oczach Motta i wszystkich, którzy mu podlegają, będziesz skończony.

Pewnego dnia, pragnąc ocenić rzeczywiste wymiary domu, którego ściany stapały się z gęstym lasem i zanikały, nie pozwalając ocenić kształtu i wielkości budynku, wybrałem się na rekonesans. Antunowicz i Byrkicz zajmowali się swoimi sprawami, prawdopodobnie dręczeniem gości. Próbowałem zrazu, zadowolony, że nie dotrzymują mi towarzystwa, obejść dom dookoła, ale uniemożliwiły mi to ciasno przylegające do ścian krzewy i drzewa oraz nieregularność muru, od którego odchodziły dziwne odnogi, jakby ślady istniejących niegdyś skrzydeł, wieżyczek i ścian. Kiedy tylko odszedłem trochę dalej, by obejść budowlę z pewnej odległości, zupełnie straciłem poczucie dystansu i położenia względem budynku, którego forma skryła się pomiędzy gęstymi liśćmi i grubymi gałęziami. Szedłem przed siebie, intuicyjnie próbując się zorientować w terenie, ale gdy po jakimś czasie zarośla, przez które przedzierałem się z takim uporem, zaczęły tonąć w mroku, zdałem sobie sprawę, że zgubiłem się. Dom był być może gdzieś obok, a być może zupełnie daleko.

Kiedy zapadła całkowita ciemność, przysiadłem pod jednym z drzew i przykryłem się kurtką. Byłem zbyt zmęczony, by próbować iść gdzieś dalej. Mimo lęku, mimo dezorientowania i złości na samego siebie, rześkie, chłodne powietrze nocnego lasu pachnące żywicą szybko mnie uspiło.

Obudziło mnie szturchanie, jakby ktoś sprawdzał, czy żyję. Kiedy otworzyłem oczy, ujrzałem Antunowicza, który mamrocząc coś pod nosem lekko kopał mnie patykowatą, długą nogą, jak gdyby miał do czynienia z trupem. Gdy tylko zorientował się, że na niego patrzę, przypadł do mnie i zaczął głosem pełnym fałszywej troski opowiadać, że bardzo się o mnie martwił. Splunąłem gęstą, wstrętną flegmą. Kazałem Antunowiczowi pomóc mi wstać i zapytałem, jak mnie znalazł. Powiedział, że wcale nie musiał długo szukać – siedziałem pod drzewem ledwie kilkanaście metrów od drzwi domu. Kiedy zarzuciłem mu kłamstwo, wskazał ręką na przebijający spomiędzy drzew kształt. Poczułem się jak kompletny idiota i wzbudziło to we mnie wściekłość.

Kiedy mój podwładny wyrażał tę udawaną troskę, patrzyłem na niego jak na coś wyjątkowo odrażającego. Im bardziej moje spojrzenie wyrażało wstręt, tym bardziej Antunowicz zapewniał mnie o swoich jak najszerszych uczuciach. Wiedziałem dobrze, że

w tej chwili nienawidził mnie bardziej niż ja jego, i że im głębsza była ta nienawiść, tym większe starania podejmował, by uzyskać moją aprobatę. A potem dałem mu spokój i uśmiechnąłem się do niego i podziękowałem. Niemal słyszałem, jak schodzi z niego powietrze. Bał się mnie. Potem zapytałem, jak mają się sprawy w domu. Antunowicz odparł, że właśnie dlatego mnie szukał.

– Są chyba małe problemy z tymi nowymi.

– Co się dzieje?

Antunowicz nachylił się nieco konfidencjonalnie, jakby chciał powiedzieć coś, co wprawiało go w zakłopotanie.

– Mamy oczywiście sprawy pod pełną kontrolą. Tylko że...

– Co się dzieje, Antunowicz?

– Pamięta szef, że trochę sobie porządaliśmy w ich gratach... wie szef, jak to jest... Strasznie się awanturują. Rozmawiał z nimi szef nawet, ale stary dalej za nami łązi.

– I co? Obudziło się w was sumienie?

Antunowicz mimowolnie przewrócił oczami, zniecierpliwiony.

– Poszturchaliśmy go parę razy, żeby przestał, ale on gada tylko, że chce się widzieć z Mottem. Sam szef mówił, że w sprawach Motta mamy meldować o wszystkim.

– Zajmę się tym – powiedziałem, klepiąc go po ramieniu. – Coś jeszcze?

Antunowicz zawiercił się na pięcie, jak uczeń przyłapany na czymś wstydlwym.

– No, Antunowicz. Jesteśmy dorosłymi ludźmi.

– Wydaje nam się, że jeden z jego bachorów wymyka się z pokoju i płacze się po domu. Węszy to tu, to tam. Nie złapaliśmy go za rękę, ale jest jasne, że ktoś majstrował przy zamkach. Pamięta szef, co mówił o tej rodzinie informator. Ten młody to niezłe ziółko. Jest na tyle chytry, żeby wiedzieć, jak działa system i nie dać się złapać.

Oparłem brodę o dłoń.

– Lada dzień znowu przyjadą po podatek – dorzucił Antunowicz.

– Tym się nie przejmuj – powiedziałem. – Musimy pomyśleć o tej dwójce. Nie chcę, żeby zrobiła się z tego poważniejsza afera.

Kiedy – ciągle otrzepując spodnie z igliwia – znalazłem się przed swoim gabinetem, pod drzwiami siedział ojciec chłopców. Stałem przed nim, po czym nakazałem mu wstać.

– Ma pan do mnie z jakąś konkretną sprawą?

– Chcę się widzieć z Mottem – wyszeptał.

– Tak, wiem. Rozmawialiśmy już o tym.

– Chcę się dowiedzieć, co pan ustalił ze swoim szefem. Kategorycznie żądam

spotkania z nim.

Odsunąłem go sprzed drzwi, po czym przekręciłem klucz w zamku. Po chwili tonący w półmroku korytarz zalało światło dnia z okien mojego pokoju. Gestem nakazałem mężczyźnie wejść.

– Zapraszam.

Dopiero w pomieszczeniu, w pełnym świetle, zobaczyłem, że ma opuchnięte, podbite oko i rozciętą wargę.

– Obiecaliście nam pomoc – powiedział cicho, z nieśmiałą pretensją.

– I pomagamy – odparłem, rozsiadłszy się w fotelu. – Szukaliście schronienia, prawda?

– Pańscy podwładni nas okradli.

– Myślę, że już dość na ten temat rozmawialiśmy.

– Szykanują mnie i moich synów.

– Pan Antunowicz uskarżał się, że nagminnie nie stosuje się pan do zasad bezpieczeństwa.

Splotłem dłonie i oparłem się łokciami o blat biurka. Mężczyzna stał ze spuszczoną głową.

– Proszę usiąść.

Posłusznie odsunął krzesło i usiadł.

– Przyjechaliście państwo w bardzo specyficznej potrzebie. Wiemy, jakie są czasy. Czy nie wywiązujemy się ze swoich zobowiązań?

Milczał.

– Wiem, że ukrywa pan pewne sprawy przed swoimi najbliższymi. Rozumiem to. Ale tu możemy mówić otwarcie. Wie pan, że co tydzień podjeżdża tu patrol? Jak pan myśli, po co?

Mężczyzna siedział ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Odpowiem za pana. Po łapówkę. Za każdym razem pan Byrkicz przekazuje żołnierzom kopertę z gotówką. Jak pan myśli, ile to kosztuje?

– Zapłaciliśmy przecież...

– Nie mówię nawet o pieniądzach. Zdaje pan sobie sprawę, co by się stało, gdyby któryś z tych żołnierzy – na przykład stwierdziwszy, że jego dola jest zbyt mała – wygadał się albo doniósł?

Nachyliłem się przez biurko i powiedziałem do mężczyzny szeptem:

– Niezależnie od tego, jak potworne są czasy, w których żyjemy, ciągle jesteśmy

skazani na zaufanie. Ufamy żołnierzom, że w zamian za pieniądze będą przymykać oko na ten dom. Wy ufacie nam, że za pieniądze będziemy was ukrywać. My ufamy wam, że będziecie przestrzegać naszych reguł. To wszystko jest potrzebne, byśmy, chroniąc wasze głowy, nie potracili własnych.

Oddychał ciężko.

– Tymczasem trudno jest nam pracować, jeżeli co chwila spotykamy się z zarzutami albo niesubordynacją. Te reguły nie zostały stworzone po to, by wam robić na złość, ale by zapewnić wam bezpieczeństwo.

– Pańscy ludzie nas okradli – powtórzył z zaciśniętymi zębami. – Chcę się widzieć z Mottem.

– Moi ludzie... – powiedziałem, uderzony znaczeniem tego stwierdzenia. – Moi ludzie... Wie pan, że niemal wszystkie pieniądze, które od was wzięliśmy, poszły na opłacenie żandarmów? Opowiem coś panu o Antunowiczu. Wie pan, że samotnie utrzymuje kalekie dziecko? Jego żona zginęła w pożarze domu, a córka odniosła poważne obrażenia. Jak pan myśli, co może zrobić pan Antunowicz, żeby zapewnić jej godny byt? By jakoś próbować jej wynagrodzić ból po stracie matki? Jak ma ją zabezpieczyć na wypadek, gdyby nasze działania znalazły się pod lupą kogoś, kogo nie będę mógł przekupić?

Człowiek nic nie mówił, kręcił tylko głową.

– Ma pan pretensje... państwo macie pretensje o parę błyskotek, które zniknęły z walizki. A może dla takiego Antunowicza taka błyskotka to lekarstwo dla jego dziecka? Może to lepsze jedzenie, może to szansa na jakiś uśmiech, gdy mała dostanie od taty coś ładnego?

– Mott mu płaci... jak i panu.

Roześmiałem się.

– Pan chyba kpi. Jest pan przecież przedsiębiorcą. Czy kiedykolwiek zapłacił komuś za pracę – choćby najcięższą – więcej niż było to konieczne? Pan myśli, że opływamy tu w luksusy. Że będąc ludźmi Motta, pławimy się w dobrobycie. Niech pan przyjrzy się, czy widział pan choć raz Antunowicza w innym ubraniu niż ta znoszona marynarka, która zaraz mu się rozsypie?

– Więc Mott o was nie dba. Choć mógłby wszystko.

– Mott nie zbawi całego świata. Może gdyby płacił więcej Antunowiczowi, to musiałby łożyć – na przykład – na jedno dziecko w sierocińcu mniej? Jak pan to wszystko zważy?

Milczał.

– Poza tym Mott jest bardzo zajęty. Zgłosiłem do jego kancelarii pańską sprawę, ale nie dostałem jeszcze żadnej odpowiedzi. Jest jeszcze jedna sprawa.

– Tak?

– Czy pański syn opuszcza nocą bez zezwolenia wyznaczone strefy pobytu w domu?

Pamiętam, że odbudowa była nieludzkim wysiłkiem. Ponieważ dom był oddalony od miasta, nie musiałem przejmować się ciszą nocną. Pomny presji, by całość prac zakończyć jak najszybciej, kazałem pracować robotnikom na trzy zmiany. Musiałem ich pilnować, więc z początku w ogóle nie spałem. Rychło, wskutek zmęczenia, zacząłem w dziwny sposób postrzegać architekturę domu. Zdawało mi się, że budowla wypełniona gwarem robotników, rozświetlona od wewnątrz niezliczoną ilością roboczych lamp, zmienia się szybciej niż jestem w stanie to zaakceptować albo raczej się z tym oswoić. Nie potrafiłem zapamiętać liczby zakrętów w danym korytarzu, zawsze myliła mnie liczba pokoi na danej kondygnacji, jak i samych kondygnacji nie byłem do końca pewien. Czasami czułem się tak, jakby pomiędzy piętrami wyrastały piętra dodatkowe, nadmiarowe, nielegalne. A czasami miejsca, które przykuwały mnie na jakiś czas wyjątkowym skomplikowaniem, ledwie dzień później wydawały mi się prostacko wręcz puste i oczywiste. Nie rozpoznawałem nawet twarzy robotników – wszyscy złali się w jedną ciżbę, w jedną masę, wypełniającą swoim kotłowaniem pustkę korytarzy. Pytany bez przerwy o jakieś sprawy, myliłem się, mieszałem pytania, udzielając ludziom zupełnie nonsensownych odpowiedzi. A oni – przyuczeni, że mają mnie we wszystkim słuchać – nie zadawali już żadnych dodatkowych pytań, tylko tak, jak mogli, spełniali moje absurdalne polecenia. Z czasem, przerażająco zmęczony, przestałem kontrolować chwile snu, gubiąc tym samym całe jednostki czasu i tracąc poczucie ciągłości między jednym zdarzeniem a drugim. Oto rozmawiam z murarzami w holu, by po chwili, otworzywszy oczy, odpowiadać na pytania dekarza. Chwilę później siedzę na posadzce obok dziury w ścianie, w miejscu, gdzie ma być ubikacja. Niezapięte spodnie sugerują, że przed chwilą załatwiłem jakąś potrzebę fizjologiczną, ale nie potrafię sobie tego przypomnieć. Zawstydzony wstaję i wychodzę, po czym niemal natychmiast wpada na mnie jakiś człowiek, kornie prosząc o odpowiedź na pytanie zadane kilka dni wcześniej. Nie mogę sobie go przypomnieć, więc proszę, by powtórzył. Wówczas on zadaje pytanie, którego kompletnie nie rozumiem, za to dowiaduję się, że zostało wypowiedziane podczas mojej rozmowy ze stolarzami, o której jestem przekonany, że wydarzyła się tego samego dnia, ledwie parę godzin wcześniej. Ale jak ocenić, co znaczy parę godzin, parę dni, parę tygodni w miejscu,

które przeobraża się bez wytchnienia, wyglądając cały czas tak samo, odcięte od świata zewnętrznego, jak jelita zamknięte w brzuchu potwora?

Kiedy docieram do własnego pokoju – do tego sarkofagu z katafalkiem materaca – i zasypiam, zdarza mi się ocknąć, a w zasadzie uprzytomnić sobie fakt leżenia z otwartymi oczami. Czasami zdaje mi się, że w moim pokoju ktoś jest i przygląda się mi uważnie, i czuję wtedy lęk tak absolutny i dogłębny, że nie nie mogę ani drgnąć. A potem myślę sobie, że to paraliż posenny, że ocknęła się moja świadomość, ale nie przebudziło moje ciało, że być może w pokoju nikogo nie ma. I leżę tak, wpatrując się w jeden punkt w ścianie, skupiając cały wzrok na jakimś jednym punkcie, byle tylko odciąć z pola widzenia to miejsce gdzieś na obrzeżach, w którym zdaje się unosić cień, którego nie powinno tam być, cień w przedziwny sposób głębszy niż noc.

A czasami, kiedy zasypiam, śni mi się to, co za pierwszym razem tutaj – zawieszono w ciemności usta mówiące rzeczy, których nie jestem w stanie zrozumieć, jakby przemawiały w innym języku, zupełnie mi nieznanym. Co takiego do mnie mówią? Czy coś mi nakazują, czy przekonują mnie do czegoś, obiecują, a może napominają? A może po prostu reagują na moją obecność tak, jak reagują każde usta na każdą obecność – miałą głoski, słowa, zdania?

Więc na wpół przytomny, ogłupiały od zmęczenia i oczadziały od snów, udzielałem bezsensownych odpowiedzi, wydawałem bezsensowne polecenia, przytłoczony i coraz bardziej przerażony. Aż pewnego dnia okazało się, że wszystko jest już gotowe i robotnicy zniknęli. Zostało tylko dwóch. Mówili, że widzą tu dla siebie szansę. Mówili, że właściciel zatrudniającej ich firmy (który – przysiągłbym – był jedynie blotką w talii Motta) od dawna im nie płacił. Mówili, że kiedy byłem najbardziej przytłoczony pracą, organizowali wiele rzeczy za mnie, odciążali mnie, tłumaczyli w zrozumiały sposób moje dyrektywy. Że obiecałem im, że mogą zostać ze mną. Obiecałem? Wtedy nie byłem nawet pewien tego, że kiedykolwiek trafiłem do posiadłości Motta. Ale jeżeli obiecałem, to nie mogłem się już wycofać. Tak trafili do mnie Byrkicz i Antunowicz.

Kim byli? Cokolwiek dowiedziałem się o nich, a co zdołali później zweryfikować moi informatorzy, nie pozwalało mi odpowiedzieć sobie na jedno istotne pytanie: czy trafili do mnie z własnej inicjatywy, czy zostali przysłani? Wiele razy zastanawiałem się nad tym, czy Byrkicz i Antunowicz są w gruncie rzeczy ludźmi Motta, czy wprowadził ich Koordynator, czy inny Zarządca, a może w ogóle ktoś z zewnątrz, kto chciał spenetrować dom? Czy mogli być szpiegami obydwaj, czy tylko jeden z nich? Mott z pewnością miał wielu wrogów. Zresztą, na tym poziomie znaczenia, przy tej pozycji, nawet najbliżsi przyjaciele mogą być zainteresowani, by wiedzieć nieco więcej... Bez wątplenia istniało wiele osób, które mogły

chcieć zarówno osiągnąć Motta, jak i bliżej nadzorować mnie. Czy potrafiłbym ich rozróżnić? Jak ich traktować? Jako zagrożenie, czy jako czujne oko przyjaznego nadzoru? Pomoc? Podług jakich zasad orientować się w świecie, w którym każdy rozgrywa własną grę, a szachiści sami są jedynie figurami na znacznie większej szachownicy? I jaką figurą w tym wszystkim jestem ja?

– Jakub był już skazywany. Zdziwiałem jak na tak młodego człowieka z tak dobrej rodziny – rzuciłem z wyrzutem. – Głównie bójki, zakłócanie porządku, parę włamań i kradzieże kieszonkowe.

– Jest młody i błędzi, ale to dobre dziecko – odparł mężczyzna. Zaśmiałem się. Zawsze można usłyszeć to samo. „Popelnił wiele złych rzeczy, ale tak naprawdę to dobry człowiek”. Wynika z tego, że za całe zło świata odpowiadają dobrzy ludzie. A ja sam? Kim byłem?

– Nie odpowiedział mi pan. Czy pański syn opuszcza wasz pokój i włamuje się do innych stref, do których nie macie dostępu?

Wzruszył ramionami.

– Nic o tym nie wiem.

Zapadła cisza. Nie było sensu przełamywać tego milczenia. Nie czułem się skrepowany ciszą. Ludzie często milczeli w mojej obecności, tak jak ja milczałem w ich obecności. Taki jest świat: zioną między nami przepaście, których nie zasypie nawet największa liczba słów. Znaleźliśmy się w tym samym czasie w tym samym miejscu i nic poza tym.

– Proszę – powiedziałem z naciskiem – powtórzyc synowi, że prowadzimy śledztwo. Jeżeli nasze podejrzenia okażą się słuszne, wyciągniemy konsekwencje wobec całej rodziny.

– Jak to...? – ożywił się mężczyzna.

– Tak to. O ile mi wiadomo, za naruszanie prawa przez dziecko odpowiadają jego rodzice.

– A mój drugi syn?

– Och, proszę się o niego nie martwić. Po prostu nie chcę, żeby cierpiał rozłąkę z rodziną, ha ha.

Szybko okazało się, że ojciec nie potrafi zapanować nad swoim synem. Sam zresztą dawał zły przykład: mimo wyjaśnień, jakie mu złożyłem, wciąż wracał i domagał się spotkania z Mottem. Upominał się o skradzione z walizek rzeczy i o samochód. Zdałem sobie sprawę, że w tej sytuacji jest tylko kwestią czasu, aż któryś z nich spróbuje przekroczyć – albo przekroczy – drzwi, których nie wolno było przekraczać nawet mi. Byłby to mój koniec. Już nigdy nie poznałbym Motta. Już nigdy nie nadrobiłbym tych paru godzin spóźnienia na nasze pierwsze spotkanie, z których to godzin rozwinęły się lata oczekiwania. Może był to test. Może sprawdzano moją zdolność przewidywania i reagowania. Musiałem zadziałać.

Kiedy prowadziliśmy ich rodzinę do nowego, mniejszego i bardziej odległego pokoju, przypomniałem sobie – mechanicznie referując regulamin – scenę, o której opowiadał mi kiedyś ojciec.

Poddani terrorowi władzy mieszkańcy pewnego miasta z utęsknieniem oczekiwani nadejścia wybawicieli. Ci prowadzili ofensywę, pokonywali kilometr za kilometrem, systematycznie zbliżali się do rogatek. Władza w tym czasie, jakby przeczuwając własny koniec, zadawała ciosy na oślep, na lewo i prawo. Żandarmi siłą zabierali młodych mężczyzn z długich kolejek po jedzenie i zawozili do koszar, by przymusowo wcielić do gasnącej armii. Choć brakowało wszystkiego, drukarnie produkujące propagandowe ulotki wypluwały spod pras tysiące arkuszy obwieszczających bliskie zwycięstwo władzy i druzgocącą klęskę jej wrogów. Wszyscy więc czekali na mających niebawem nadejść wybawicieli, zarówno cywile, jak i żołnierze.

Kiedy po mieście rozeszły się wieści, że wojska rebeliantów wchodzą do miasta, złożona z przymusowych rekrutów armia nie stawiała im żadnego oporu. Sami mieszkańcy udekorowali domy kwiatami, wywiesili flagi i radosne transparenty. Przygotowali się jak na święto. Władza truchlała ze strachu w swoich pałacach, a potem uciekła, niemal w tej samej chwili, gdy wkroczyli wybawiciele.

Szli równą, zdyscyplinowaną kolumną środkiem głównego traktu. Milczeli, trzymając w dłoniach karabiny. Tłum, który zgromadził się wokół trasy ich przemarszu, wiwatował. W powietrzu latały płatki kwiatów i konfetti. Ludzie intonowali pieśni na cześć wyzwolicieli. Koszmar ostatnich miesięcy się skończył.

Z radosnego tłumu wybiegła młoda dziewczyna, niosąc wieniec z kwiatów. Podbiegła do jednego z żołnierzy, chcąc przyozdobić go kwiatami i ucałować w policzek. Ludzie bili jej brawo, zachęcali ją. Widać było rumieniec na jej twarzy. Gdy zbliżyła się do żołnierza, ten,

nie oglądając się w jej stronę, wziął zamach i zamontowanym na lufie bagnetem rozpruł jej brzuch i odepchnął. Nie zatrzymał się nawet, maszerował dalej. Tłum zamarł. Wieniec wtoczył się pod buty i został w mig rozdeptany. Dziewczyna, skulona na asfalcie, zwinięta w kłębek, przeraźliwie wyła z bólu, brocząc krwią. Po chwili z maszerujących szeregów wyodrębnił się inny żołnierz, który – jak można było wnioskować po dystynkcjach wyszytych na mundurze – był oficerem. Podszedł do dziewczyny i strzelił jej dwa razy w głowę, po czym wrócił, by kontynuować triumfalny marsz wśród towarzyszy broni.

Dlaczego przypomniałem sobie tę scenę, gdy prowadziliśmy ich wąskim, krętym korytarzem? Pamiętam, że kiedy ojciec mi ją opowiedział, wydała mi się wstrząsająca i długo nie mogłem przestać o niej myśleć. Spałem z nią pod powiekami, niemal czułem pod skórą to samo drżenie, które musieli czuć mieszkańcy miasta, gdy radość zamieniła się w przerażenie, gdy nadzieja przedzierzgnęła się w trwogę. A jednak ojciec później tłumaczył mi, że nie można o procesach dziejowych – choćby najbardziej makabrycznych – myśleć poprzez współczucie. To pomylenie porządków. Współczuć można komuś, kogo dotyka nieszczęście będące wyjątkiem, kosmicznym pechem, najkrótszą słomką na kosmicznej loterii. Ale współczuć komuś, kto dzieli los milionów ludzi, którzy istnieli przed nim i milionów, którzy będą istnieć po nim? Oto cała mądrość, która pozwala sobie poradzić ze światem: przestać widzieć go jako ciąg okazjonalnych erupcji nieszczęścia, a zacząć postrzegać w kategoriach liczb i rządzących nimi konieczności. To, co działo się teraz, było rezultatem konieczności. To, co wydarzy się później, też będzie rezultatem konieczności.

Kiedy zamykaliśmy za sobą drzwi ich pokoju, Byrkicz mruknął, że to pewnie nie koniec naszych kłopotów z tymi gośćmi. Wzruszyłem ramionami i powiedziałem, że jesteśmy przygotowani na różne okoliczności. Byrkicz zapytał wtedy, czy mogą z Antunowiczem mieć wolną rękę na wypadek, gdyby przyłapali Jakuba na eksplorowaniu domu. Wiedziałem, co to oznacza. Bestie poczuły krew i prosiły, by spuścić je z łańcucha. Nie mogłem na to jeszcze pozwolić. Intrygowało mnie zachowanie tego młodego człowieka, ta prawdziwie bezczelna, pełna pewności siebie brawura. Po raz pierwszy ktoś rzucił wyzwanie temu domowi. W dążeniach Jakuba wyczuwałem nie tylko pragnienie ucieczki, ale też coś, co mógłbym nazwać „zewem Motta”.

Był o wiele silniejszy od swojego ojca, który grał dobrze tak długo, jak długo w grze obowiązywały czytelne reguły. Znałem jego działalność sprzed przyjazdu tutaj. Potrafił sprawnie oplatać różne osoby, pozyskiwać je dla swoich spraw i interesów. To wszystko jednak pod warunkiem, że po jego stronie znajdowały się stałe, czytelne atuty. Pozbawiony ich, tracił orientację, ślepo próbował powtarzać niedziałające sztuczki. Natomiast Jakub się

adaptował. Są dwa rodzaje graczy: ci, dla których reguły są optymalne i ci, dla których optymalny jest ich brak. Nie mogłem pozwolić, by któryś z nich dotarł do drzwi, ale to dążenie przekroczenia granicy, którą wytyczył dla mnie samego strach, sprawiało, że byłem na swój sposób ciekaw, jak szybko młody człowiek dotrze do punktu, w którym będę musiał podjąć interwencję.

Myślę, że Byrkicz i Antunowicz zauważyli już dużo wcześniej, że moje zainteresowania ciężą coraz mocniej w stronę Motta, a w zasadzie w stronę jego nieosiągalności. Niezależnie od tego, jaką funkcję rzeczywiście pełnili, jestem pewien, że zaobserwowany spadek mojego zainteresowania sprawami naszego skrzydła postanowili wykorzystać dla siebie. Nie było wątpliwości, że goście dopuszczali się nadużyć, ale nie wierzyłem też w uczciwość intencji moich podwładnych. Jestem pewien, że co najmniej kilka razy sfabrykowali dowody przeciwko innym gościom, co dawało im pretekst do łatwiejszego przejęcia ich dóbr albo do dania upustu swoim skłonnościom, zaś mnie krępowało ręce.

Krępowało? To złe słowo, skoro taki był w istocie mój plan i moje zadanie: wyselekcjonować najwytrwalszych, oczyścić z pychy i przygotować do potencjalnego spotkania z Mottem. Choć inne były motywacje naszych działań, ich kierunek i zwrot był identyczny.

Jakie słowo jest dobre? A może właściwsze byłoby w tej sytuacji pytanie: kto kim naprawdę sterował?

Pewnego dnia Byrkicz poprosił mnie o zgodę na wymierzenie kary dwóm osobom, które złamały przepisy dotyczące kontaktowania się z innymi lokatorami domu. Było to, jak już wspomniałem, surowo zabronione. Zarówno po to, by nie zadzierzgnął się spisek, by nie uformowała się silna konspiracja, jak i po to, aby ludzi tych chronić przed nimi samymi. Wszak nie wszyscy przybywali w jasnych interesach bądź z czystymi sumieniami. W domu pana Motta wiele razy musiały się przeciąć ścieżki konkurentów czy nawet śmiertelnych wrogów. Nigdy nie było wiadome, do czyich uszu ostatecznie trafi wyjawiona komuś tajemnica, kto w jaki sposób zapragnie wykorzystać zdobytą wiedzę. Być może niektórzy z góry zakładali wykonanie planu mającego wyeliminować całą konkurencję do Motta, skutecznie rozegrać innych gości przeciwko sobie. Ponieważ moim obowiązkiem było zrównać ich szanse, albo w zasadzie zrównać ich wobec Motta, zakazanie im kontaktów było prostą konsekwencją uczciwości.

Wyraziłem zgodę na ukaranie winnych. Tej nocy słyszałem niosący się po korytarzach domu przenikliwy świst, który, wzniosłszy się w błyskawicznym crescendo, rozprętał się mięsistym odgłosem uderzenia. W echu każdego z tych razów zdawało się słyszeć to, co nie mogło zostać wypowiedziane wprost: dreszcz, upokorzenie i strach. Byrkicz swoje obowiązki spełniał ochoczo, z pasją i zaangażowaniem. Bicie ludzi sprawiało mu przyjemność. Antunowicz w tym czasie rewidował pomieszczenie zajmowane przez gości, by znaleźć to, co udało im się ukryć przed pierwszą kontrolą.

Ten mokry, mięsisty świst, całkiem często niosący się po całym skrzydle, sprawił, że w jakiś sposób zaczęto nazywać to skrzydło domu „rejonem ciała”, „obszarem ciała”, „terytorium ciała”. Albowiem konkluzją tego świstu było istnienie ciał, inne ciała istniały dla siebie nawzajem wyłącznie poprzez ten odgłos, tak jak słońce dla niewidomego istnieje tylko poprzez uczucie ciepła na skórze. Być może ten dźwięk, z którego istnienia domniemywa się istnienia innych ludzi, był powodem, dla którego co jakiś czas prześladował mnie sen o ustach. Być może pierwszy sen, wyśniony jeszcze przed odbudowaniem tego miejsca, był właściwą antycypacją tego świstu, zapowiedzią bicia.

Wbrew moim oczekiwaniom, zmiana miejsca pobytu ani trochę nie ostudziła zapędów Jakuba i jego ojca do peregrynacji po domu. Obydwaj mieli jeden cel: dotrzeć do Motta, ale obrali zupełnie inne drogi. Stary oddawał się medytacjom, ponadto ciągle próbował swoich sztuczek, usiłował zamęczyć mnie swoją obecnością, powtarzalnością pytań, prośbami, przymilaniem, obietnicami. Nic z tego na mnie nie działało. Irytowałem się na Byrkicza i Antunowicza, że tak łatwo pozwalają mężczyźnie podchodzić pod mój gabinet. Nakazałem ograniczyć mu uprawnienia dostępu do najbliższych korytarzy wokół jego pokoju. Jeszcze więcej irytacji – pomieszanej z fascynacją – wywoływał we mnie Jakub, który notorycznie wyprowadzał w pole moich pomocników. Z czasem zacząłem czuć, że tracę kontrolę, że te nieautoryzowane działania podkopują fundament reguł, na jakich oparłem funkcjonowanie tego skrzydła. Podejrzywałem też, że działania mężczyzny i jego syna odbywają się za cichym przyzwoleniem moich podwładnych. Być może ta cała ostentacyjna wrogość pomiędzy nimi była tylko przykrywką, zasłoną dymną. Może ta łapczywość Byrkicza na przemoc i pożądlive spojrzenia, którymi obdarzał matkę chłopców, były tylko grą, tak jak grą była chciwość Antunowicza. Może w gruncie rzeczy ich działania były skoordynowane. Dlatego, aby temu przeciwdziałać (i aby sprawdzić, jakie są rzeczywiste powiązania między

kłopotliwą rodziną a Byrkiczem i Antunowiczem), wydałem polecenie radykalnego załatwienia sprawy. Goście zostali skierowani do piwnicy, a moi podwładni otrzymali jasne dyspozycje, zwłaszcza w odniesieniu do szczególnie kłopotliwej dwójki.

Mimo to, kiedy Antunowicz i Byrkicz obezwładniali i odciągali do swoich katowni ojca i syna, czułem dziwny żal. Jakby słabe echo znacznie silniejszego żalu, który obudził się we mnie niegdyś. Skąd się wziął? Nie pamiętałem już prawie życia poza domem Motta, to jakby było inne życie zupełnie innego człowieka. Kogoś, kto był zbyt daleko i zbyt dawno, by wydobyć jego wspomnienia na światło dnia. Tylko strzępki minionego, cienie dawnych historii opowiadanych mi przez ojca, którego twarz coraz mocniej zanikała, rozpraszała się w przepastnej nocy.

Opowiedział mi kiedyś o chłopcu, na którego wioskę najechali partyzanci. Oddzielono dorosłych od dzieci. Chłopca, razem z grupą rówieśników, zamknięto w stodole. Przez kilka dni dzieci nic nie jadły, a pić mogły jedynie deszczówkę, wpadającą do środka przez dziurawy dach. W końcu otworzyły się drzwi i wezwano jedno z nich. Chłopiec słyszał oddalającą się rozmowę, podczas której komendant – chyba komendant – partyzantów coś tłumaczył wywołanemu koledze. Jakiś czas potem dało się usłyszeć przenikliwy, wysoki wrzask, po którym zapadła cisza. Sytuacja powtórzyła się jeszcze kilka razy: jedno z dzieci wywoływano na zewnątrz, słychać było jakąś rozmowę, po czym następowała erupcja krzyku poprzedzająca martwą, przerażającą ciszę.

W końcu przyszła kolej na chłopca. Pełen drżenia pokuśtykał w stronę jaśniejącego prostokąta uchylonych drzwi. Na zewnątrz czekał na niego starszy rangą żołnierz. Był brudny i śmierdział. Chłopiec zrazu nie rozpoznał tego fetoru. Żołnierz zapytał chłopca, czy chciałby coś zjeść. Chłopiec pokiwał głową. Z głodu czuł już ból. Żołnierz zapytał, czy chłopiec chciałby im w czymś pomóc. Chłopiec pokiwał głową. Żołnierz zapytał go, czy potrafi posługiwać się motyką. Chłopiec pokiwał głową. Od małego był uczony pracy na roli.

Żołnierz i jego dwóch kompanów zaprowadziło chłopca na placyk przed inną stodołą. Mały wzdrygnął się, gdy zauważył ślady krwi na trawie. Po chwili otworzyły się drzwi szopy i partyzanci wyprowadzili jakąś kobietę z płóciennym workiem na głowie. Kazali jej uklęknąć. Kiedy to zrobiła, odsłonili jej twarz. Chłopiec zawył. Tuż przed nim klęczała jego matka. Miała pokiereszowaną twarz i wykręcone ręce. Nie podnosiła wzroku. Nawet kiedy ją zawołał, nie podniosła głowy. Wtedy żołnierz, od którego bił ten dziwny odór, który naraz skojarzył się chłopcu z zapachem surowego mięsa i krwi, podał mu leżącą obok motykę.

– Jeżeli chcesz jeść, musisz pracować. Naszą pracą jest likwidowanie zdrajców.

Zdrajcom nie przysługuje przebaczenie. Jeżeli nie potrafisz zabić zdrajcy, to znaczy, że sam jesteś zdrajcą.

Po spuchniętej, obitej twarzy kobiety płynęły łzy. Chłopiec poczuł w gardle pęczniącą kulę, która odbierała mu oddech.

– Ten, kto płacze nad losem zdrajcy, sam jest zdrajcą – powiedział beznamiętnie żołnierz. – Zdrajcy nie zasługują na litość.

Chłopiec przypomniał sobie krzyki i ciszę. A potem usłyszał głos matki:

– Ratuj się, synku. Zrób, co ci każą.

Stojący obok strażnik powalił ją kopniakiem na ziemię.

– Zdrajcy nie mają prawa głosu – wycedził.

Wokół szumiały drzewa. Chłopiec wziął do ręki motykę. Pomyślał, że to tak, jakby samemu umrzeć, i ta myśl go w dziwny sposób uspokoiła. Żyć, ale nie żyć. Stać się jednocześnie żywym i umarłym. Pomyślał, że kiedy człowiek umiera, to jego duch próbuje się wydostać na zewnątrz. Skrapla się i wypływa przez oczy.

Kiedy odchodził z oddziałem, do którego włączono jeszcze dwóch jego kolegów, od czasu do czasu oglądał się w stronę ciemnych kłębow, uciekających w niebo z miejsca, gdzie znajdowała się jego wieś. Później była długa droga, podczas której żołnierz, który wręczył mu wtedy motykę, tłumaczył, kto jest zdrajcą, a kto sprzymierzeńcem. O jaką stawkę toczy się walka i dlaczego nie można mieć litości dla wroga. Chłopiec pewnie sam nie wiedział już, czy zaczyna w to wierzyć, bo jest mu to obojętne, czy zaczyna wierzyć, bo przyjął tę prawdę jako własną, czy może dlatego, że jeśli zrobiło się jedną z najpotworniejszych rzeczy, jakie można zrobić, to potrzeba znaleźć sobie na to naprawdę dobre wytłumaczenie. Później były kolejne miejsca i kolejni zdrajcy. Ciągły korowód tych, których miała pochłoniąć ziemia. Czasami, kiedy chłopiec się nudził, szedł do dowódcy oddziału i pytał, czy nie trafił do nich jakiś nowy więzień.

Taką historię opowiedział mi ojciec. Opowiedział? Prawie że nie pamiętam już ojca, więc skąd mogę mieć pewność, że usłyszałem ją od niego? Tak, jak każdą inną historię. Skąd wiem, od kogo ją usłyszałem? Czy w ogóle usłyszałem? Nie pamiętam prawie życia poza domem Motta, w zasadzie życia w przedsionku domu Motta, pamiętam tylko rozmowę, która mnie tu sprowadziła i pamiętam pierwszą noc, spędzoną w zimnej ruinie. Dlaczego dom popadł w ruinę? Dlaczego zdecydowano się go naprawić? Jakie cele realizował Mott, jeżeli kazał zbudować dom dla jego gości, ale nakazał mi uczynić wszystko, by ich od niego odwieść? Dlaczego przysięgano mi, że sam nigdy nie dostąpię Motta, że straciłem na to już swoją szansę? Czy ta szansa kiedykolwiek istniała? Czy tamtej nocy Mott był w domu,

w jego innej części i na mnie czekał? Czy naprawdę siedział za biurkiem, na fotelu, na kanapie, gdziekolwiek, a może stał i chodził, dreptał wkoło po dywanie i odmierzał minuty, gdy ja w tym samym czasie błądziłem po martwych korytarzach znajdującej się gdzieś w okolicy ruiny? I gdy czas upłynął, stracił we mnie wiarę, stracił zaufanie? Ale dlaczego pozwolił mi podjąć pracę? Tylko on znał odpowiedzi na pytania, które coraz bardziej nie pozwalały mi żyć. Albowiem wobec wszystkiego, wobec każdego doświadczenia, które spada na człowieka w jego życiu, tylko to jest naprawdę ważne: rozpoznać w sobie pytanie, które nie pozwala żyć i zrobić wszystko, by uzyskać na nie odpowiedź.

Kiedy Jakub i jego ojciec zostali zabrani na bicie, przyglądałem się tylko pierwszej turze, by upewnić się, że Byrkicz i Antunowicz właściwie wypełniają swoje zadanie. Biedni, zagubieni chłopcy z motykami. Potwory. Takie same, jak ja. Szybko ich zostawiłem i udałem się do gabinetu, by odpocząć. Kiedy przechodziłem obok korytarza, z którego można było wstąpić w zakazane miejsce, przystanąłem pod drzwiami, nasłuchując. Nie usłyszałem nic, jedynie dudniącą ciszę. Jakby za tamtymi drzwiami nic nie było. Żadnego innego korytarza czy pomieszczenia.

Kiedy zasnąłem, znów przyśniły mi się usta. Tym razem chciałem wejść z nimi w dialog, więc zacząłem je przekrzykiwać.

– Mów wyraźnie, do cholery!

– Co ty tam sobie bełkoczesz?!

– Gadaj, no, konkretnie! Mówisz pięknie, ale ja nic nie rozumiem. Mów do mnie tak, żebym zrozumiał!

Usta zamilkły, wargi zamknęły się. Słyszałem jedynie echo własnego głosu, oddalające się echo moich pytań i oskarżeń. Kiedy wybrzmiało, usta otworzyły się i przemówiły do mnie. Czysto, wyraźnie. Głosem, od którego moja krew zaczęła wrzeć, a kości pękać. Przepastnym, otchłannym głosem, w którym zawierało się wszystko – i zachwyty, i zgroza. Pomyślałem, że właśnie dlatego wcześniej mówiły tak niewyraźnie, tak bełkotliwie. Tylko tak można było znieść ich mowę. I kiedy to, co wreszcie zrozumiałem omal mnie nie unicestwiło, gdy grzmot tego sennego objawienia osiągnął apogeum, zacząłem krzyczeć.

I obudziłem się, ale krzyk trwał. Ale to nie ja krzyczałem. Czyjeś wycie niosło się po całym domu. Po chwili zapadła cisza.

Ojciec powiedział mi kiedyś: człowiek nigdy nie uczy się o swoim okrucieństwie. Cokolwiek służy rozwojowi człowieka, jest niczym ponad nowe narzędzie mordy, nowy motyw mordy albo nowe uzasadnienie mordy. Stagnacja utrwała bieżącą katastrofę jako stan permanentny. Ale każda innowacja w ostatecznym rozrachunku otwiera jedynie nowy wachlarz możliwych katastrof.

Ojciec powiedział mi kiedyś: ludzie dzielą się na dwie kategorie: na młotki i na gwoździe. Rób wszystko, by być tym pierwszym. Ale nie łudź się, że nie staniesz się tym drugim. W jednym i drugim przypadku będziesz przegrany.

Przegrany.

Przegrany.

Wstałem z łóżka i wybiegłem na korytarz. Wsłuchałem się w ciszę, w której jak powidok trwało jeszcze wspomnienie czyjegoś udręczenia. Z kinkietów spływało słabe światło. Gdzieś zaskrzypiały drzwi, gdzieś rozszedł się wizg otwieranego zamka. Gdzieś, pod czyimiś krokami, z trzeszczeniem uginały się deski podłogi. Dom zdawał się być wypełniony działaniem. Ale każdy korytarz, w który zaglądałem, spowijał martwy bezruch. Po chwili przestrzenie domu znów wypełnił wrzask, chrypliwy, ale też mechaniczny. Tak, jakby to czyjeś ciało krzyczało w reakcji na ból, ale bez udziału nieobecnej już osoby. Pomyślałem, że to dalszy ciąg lekcji, jaką Antunowicz i Byrkicz dają naszym więźniom. Czy Mott byłby zadowolony? Niespodziewanie dla siebie uczyniłem wtedy coś, na co wcześniej porwałem się tylko we śnie i krzyknąłem:

– Mott, jesteś zadowolony? Słyszysz, jak tu oprawiamy ludzi? Ciężko tu, kurwa, pracujemy dla ciebie!

A potem pomyślałem, po raz pierwszy, że niczym się od nich nie różnię. I oni – ludzie, których tu trzymaliśmy – i ja nie byliśmy przewidziani do spotkania z Mottem. Nie było więc między nami żadnej różnicy. Oszołomiony tym odkryciem ruszyłem w stronę wyjścia, by zaczerpnąć powietrza.

Ale nie dotarłem na zewnątrz. Kluczyłem pomiędzy korytarzami a pokojami, czując przytłaczającą obcość tego miejsca i własną samotność. A potem, za następnymi drzwiami, znalazłem ciało Byrkicza.

Nie od razu go poznałem. Leżał w kałuży krwi i miał zmasakrowaną twarz. Z rozerwanej tchawicy sterczał krótki, drewniany kołek. Ciało nosiło także ślady wielu innych ran, zadanych ostrym narzędziem.

– Antunowicz! – ryknąłem w półmrok, który rozlewał się po domu. – Antunowicz, do mnie! Antunowicz, do cholery, sytuacja krytyczna!

Odpowiedziała mi cisza. Powtórzyłem jeszcze kilka razy wołanie. Bez skutku. Przeczuwając, co mogło zająć, poszedłem do pomieszczenia, w którym znajdowała się kłapa do piwnicy, w której zamknęliśmy rodzinę. Cały czas próbowałem wywołać Antunowicza. On także milczał.

Kłapa w pustym, zimnym pomieszczeniu była otwarta. Ktoś musiał tam wejść. Albo ktoś zdołał wyjść. Zajrzałem do środka. Było cicho. Tylko w słabym świetle, które spełzało z lamp, zauważyłem długi, dziwnie poskręcany kształt. Ludzką, nienaturalnie leżącą sylwetkę. Nie miałem kłopotu, by rozpoznać drugiego z dozorców.

– Antunowicz!

Wiedziałem, że nie odpowie. Zszedłem na dół. Nie obawiałem się zasadzki. Antunowicz musiał zginąć pierwszy, dopiero potem Byrkicz. Tego, kto to zrobił, nie było już w środku. Ostatni szczebel drabiny był wyłamany. Dozorca leżał w kałuży krwi, która z wolna wsiąkała w klepisko. Nagle w półmroku dostrzegłem jakąś postać. Siedziała w bezruchu, mamrocząc coś pod nosem. Podeszedłem bliżej. Rozpoznałem ojca chłopców. Nawet w tak słabym świetle mogłem zobaczyć, jak obeszli się z nim dozorczy. Pokryta strupami, pokiereszowana twarz wyglądała w ciemności jak karykaturalna maska, pozbawiona foremności. Mężczyzna coś mówił.

– Gdzie są?! – zapytałem.

Nie odpowiedział. Z jego ust dobywał się wyłącznie ledwie słyszalny mamrot. Podeszedłem bliżej i nadstawiłem ucho.

– Co? Mów wyraźniej! – rozkazałem. Ale on mnie nie słyszał.

Słyszał za to coś zupełnie innego, słyszał wewnątrz, głęboko w sobie – zapadnięty w siebie, pogrążony w transie, z oczami szeroko otwartymi, na inne światy, inne rzeczywistości.

– Mott, Mott, Mott... mówisz... do mnie... mówisz... twoje słowa do mnie... słowa, słowa – szeptał gorączkowo i bełkotliwie. Ręką dotknąłem jego czoła – było lodowate. Niemal w tej samej chwili, gdy moja dłoń spoczęła na jego głowie, osunął się na ziemię.

Czym prędzej opuściłem piwnicę, ten grobowiec, i zacząłem wracać w stronę miejsca, w którym znalazłem pierwsze ciało. Kolejne drzwi, dzielące korytarze niczym gradzie kadłub

statku, otwierały się zbyt wolno, trzymały mnie jak smoła. W oblepiającym, ropiejącym świetle dom zdawał się wyglądać jak wnętrze jakiegoś monstrualnego organizmu. Gdybym dotknął ściany, pod brudną, tłustą tapetą poczułbym puls.

Byrkicz leżał tak, jak przedtem. Jedyne krew na jego zwłokach zdążyła mocniej skrzepnąć. Wpadłem do znajdującego się obok pomieszczenia, które dozorczy wykorzystywali jako pakamerę. W kącie ciemniała niewielka plama krwi. Od niej odchodziły w nieregularnych odstępach mniejsze plamy, jakby ktoś – albo coś – co krwawiło, zebrało się w sobie i odeszło, zostawiając za sobą ślad. Zastanawiałem się, z gorączkowo bijącym sercem, co takiego się wydarzyło, co spowodowało tę eksplozję przemocy.

Głupie pytanie. Znałem Antunowicza i Byrkicza. Nie byliby to pierwsi zadręczeni przez nich ludzie. Czasami czyjś upór, by dotrzeć do Motta, przekraczał siłę sugestii, że dotarcie do Motta jest dla tej osoby wzbronione. Wtedy Byrkicz i Antunowicz brali sprawy w swoje ręce i działali tak długo, aż została złamana wola takiego człowieka albo unicestwione jego życie. Nigdy nie zakładali, że czyjaś determinacja będzie na tyle duża, by stawić im tak mocny opór. Przyzwyczaili się, że to oni zawsze dyktują warunki. Stracili czujność.

Nie ma większego błędu w domu Motta niż stracić czujność. Także ja ją straciłem i w chwili gdy stałem nad zwłokami jednego z moich podwładnych ze świadomością, że gdzieś w domu przebywają osoby, nad którymi nie ma żadnej kontroli, zdałem sobie sprawę, że to mój koniec. Koniec jako zarządcy w domu pana Motta. Poniosłem klęskę. Uciekinierzy mogli być wszędzie.

Powoli ruszyłem za tropem kropeł krwi.

Ten, kto był ranny, krwawił coraz mocniej. Ślad stawał się coraz gęstszy, znaczony coraz większymi znakami. Uciekinier szedł też coraz wolniej, a przynajmniej taki wniosek wyciągnąłem z okresowych, pojawiających się coraz częściej zagęszczeń śladów. Musiał przystawać. Na swoje nieszczęście, nie orientował się w architekturze domu. Kluczył, robił koła, błędził. Dopiero po jakimś czasie ślad stał się mniej wyraźny, jakby uciekający przyspieszył, w przeczuciu bliskości celu. Zrazu myślałem, że ślad będzie prowadzić do zakazanych drzwi, ale szybko nabrałem pewności, że zbieg – albo zbiegowie – chciał przede wszystkim wydostać się z domu.

To przeczucie potwierdziło się, gdy krople krwi poprowadziły mnie w korytarz wiodący prosto ku drzwiom wyjściowym. Odnaleźli swoją drogę. Chłopcy i ich matka. W jakim stanie wyszli z konfrontacji z moimi podwładnymi? Odnieśli zwycięstwo, ale czy nie zostało one okupione zbyt wysoką ceną? Otworzyłem drzwi. Otworzyły się na noc

i gwiazdy. Widziałem jeszcze kilka kropel krwi, które odchodząc od progu, zanikały w ciemnościach. Owiąło mnie chłodne, rześkie powietrze pachnące lasem. Poczulem ulgę. Moja misja – bądź co bądź – została spełniona. Nie zostali dopuszczeni do Motta. Zostali odrzuceni. Spełniłem zadanie. Wszystko było w porządku.

Zamknąłem drzwi i odwróciłem się. Musiałem podjąć zdecydowane działania. Rozwiązać sprawę braku nadzorców i znaleźć kogoś na ich miejsce. Wprowadzić nowe procedury bezpieczeństwa, by tego typu wypadki nie powtórzyły się w przyszłości. Funkcjonowanie skrzydła nie mogło zostać w żaden sposób zakłócone. Konieczne było też sprawdzenie, czy w incydencie nie uczestniczyli inni goście domu. Zweryfikowanie, czy nie brali w nim udziału inni zarządcy. Idąc długim, tonącym w mroku korytarzem zastanawiałem się, co zrobić z ciałami nadzorców. Konieczność sporządzenia i wdrożenia planów skutecznie przyćmiła wątpliwości, jakie ostatnio załęgły się we mnie odnośnie do Motta.

Kiedy zbliżałem się do kwater nieżyjących już podwładnych, kiedy otworzyłem przedostatnie drzwi, nagle zgasło światło i poczułem na plecach dotyk czegoś zimnego i ostrego.

– Skurwysynu – syknął jakiś głos w ciemności – nie pożyczysz długo.

Natychmiast poznałem, kto wypowiedział te słowa.

– Jakub – powiedziałem powoli, ważąc słowa – Jakub, tak?

– Gadaj, jak dojść do gabinetu Motta, psie.

– Myślałem, że uciekliście. To ty zabiłeś Byrkiacza i Antunowicza? – zapytałem, nie odwracając się. Trzymałem ręce w górze.

– To nie ty będziesz teraz zadawał pytania, ścierwo. Idziemy do Motta.

– To niemożliwe, Jakubie.

Poczulem, że zimny, ostry przedmiot mocniej, boleśniej naciska na moje plecy.

– No to zdychaj.

– Nie wolno mi iść do Motta! – niemal krzyknąłem, chcąc go powstrzymać. Nie wiedziałem, czy blefuje, czy chce mnie zmusić do uległości, czy naprawdę chce mnie zabić.

– Tobie nie wolno do Motta? – warknął Jakub. – Tobie, skurwysynu, nie wolno? Chyba wiem, dlaczego.

Oddychałem ciężko, ale wyczuwałem też, że i Jakub był wyczerpany.

– Dlaczego, Jakubie?

– Bo nie ma żadnego Motta! Wymyśliliście go sobie, żeby ściągać tu ludzi. Mott to wasza przeklęta bajka. Powiedz. Powiedz!

Poczulem nagle coś dziwnego wewnątrz, jakby słowa młodego uciekiniera wyzwoliły

we mnie sprzeczne, walczące ze sobą myśli. Oparłem się dłońmi o drzwi i spuściłem głowę.

– Nie wiem, Jakubie. Nie mam pojęcia, czy Mott istnieje – wyrzuciłem, zupełnie niespodziewanie dla siebie. – Nigdy go nie spotkałem. A poświęciłem mu życie. Może popełniłem błąd.

– Błąd? Skurwysynu, przez was straciłem ojca, skatowaliście moją matkę.

Poczułem kopnięcie w kolano, noga zgięła się i straciłem równowagę. W ciemności upadłem na ziemię. Jakub natychmiast przygniótł mnie do ziemi. Poczułem na szyi zimne ostrze.

– Zapłacisz mi za to, ścierwo!

– Stój! Stój! – wycharczałem – Mam klucz! Wiem, jak wyjść stąd do innej części budynku! Tylko ja wiem! Tego szukasz, prawda?

Nie czekając na odpowiedź i jakąkolwiek jego reakcję, wyrzuciłem z siebie szybkie, chaotyczne zeznanie na temat dziwnych zależności między mną a Mottem.

Uścisk zelżał. Poczułem, że wstaje, ale kiedy tylko spróbowałem się odwrócić, wymierzył mi potężne kopnięcie, po którym sparaliżował mnie ból.

– Poprowadzisz mnie tam. Do tamtego skrzydła.

– Nie wolno mi tam wejść – wycharczałem.

Kolejny cios z ciemności, znów fala bólu.

– Teraz nie musisz się obawiać nikogo – wycedził Jakub. Nikogo, poza mną. Wstawaj.

Po chwili korytarz rozjaśnił się światłem przed chwilą zgaszonych kinkietów. Ujrzałem Jakuba. Był brudny od krwi, zlepione w strąki włosy opadały mu na czoło. Dyszał. Wyglądał jak demon, gotowy na wszystko. Jak wściekłe, zaszczute zwierzę. Jego sine, spuchnięte ręce trzymały nóż i zaostrzony drąg.

– Zanim uciekliśmy – powiedział nieco spokojniejszym głosem – mój ojciec bredził coś o ustach. Widział w ciemności usta, które do niego mówią. Co wy mu zrobiliście?

Oszołomiony tym nagłym wyznaniem popatrzyłem na Jakuba tak, jakbym ujrzał go po raz pierwszy. Sam nigdy nikomu nie zdradziłem treści moich snów. Czy inni w tym domu też je śnili?

– Usta? – wyszeptałem.

– Nie wiesz, kurwi synu, jak wyglądają ludzkie usta?

– Dobrze, chodźmy – powiedziałem.

– Idź przodem. Nie próbuj żadnych głupot. Jeśli zorientuję się, że coś kombinujesz, nie zawaham się ani chwili.

Powoli, drzwi za drzwiami, korytarz za korytarzem, szliśmy. Czulem na swoich

plecach wzrok mojego niedawnego więźnia, który ze zwierzyny przeistoczył się w drapieżcę. Podobno tak się hoduje najbardziej zajadłych, najbardziej bezwzględnych mścicieli: tłamsząc ich i poniżając, odbierając im możliwość jakiegokolwiek działania. Nie pozwalać im zrobić nic, by wyrzucili z siebie narastający gniew i poczucie niesprawiedliwości. Dopóki starcza sił, by stłumić tę wściekłość, by ją zgasić, zdusić – wszystko funkcjonuje prawidłowo. Sztuką jest wyczuć, gdzie leży czerwona linia, poza którą proporcje opresji i frustracji obracają się na naszą niekorzyść. Wyczuć, czy dzieje się tak przez wzgląd na siłę tego, kogo represjonujemy, czy przez wzgląd na naszą postępującą słabość, zmęczenie materiału. Bez wątpienia przegapiłem ten moment. Za takie błędy płaci się słono.

Wstrząśnięty nagłym obrotem spraw, zacząłem opowiadać Jakubowi historię swojego przybycia do domu i oddania się w służbę Motta. Sny o zawieszonych w ciemności ustach, których mowy nie potrafiłem zrozumieć. Nie wiem, czy mnie słuchał, czy skupiony na moich ruchach w ogóle nie zwracał uwagi na moje słowa. Nie odezwał się ani słowem.

Zdawało mi się, że w domu jest trochę ciemniej niż zazwyczaj, jakby ciężar zmiany, jaka zaszła, stłumił jeszcze bardziej to nędzne światło, którym rozjaśnialiśmy korytarze. Moje słowa, szczełk otwieranych zamków, skrzypienie zawiasów i głuche kroki. Gdybym zaatakował teraz Jakuba, to czy zdołałbym go obezwładnić i unieszkodliwić?

Zatrzymałem się i odwróciłem twarzą do niego.

– Dlaczego się zatrzymałeś? – warknął. Był nadal wściekły, ale słyszałem w jego głosie coraz bardziej dotkliwe zmęczenie.

– Jeżeli pozwolę ci przejść przez tamte drzwi, będę skończony. Mogę robić w tym skrzydle domu, co tylko chcę. Pod jednym warunkiem. Nie wolno mi wchodzić do tamtej części. Wiesz o tym, mówiłem ci.

– Dlaczego? – zapytał Jakub. Nagle w jego głosie nie było już nienawiści i furii, a tylko dziecięca ciekawość oraz kpina pomieszana z pogardą. – Tak bardzo się boisz dowiedzieć, że pozwoliłeś się oszukać? Może boisz się, że zobaczysz, jak żyją inni ludzie? Że wszystko zorganizowali lepiej od ciebie? Może jesteś małym, nędznym, peryferyjnym zarządcą, któremu oddano podupadłe skrzydło, by sobie wyroił w nim swoje nędzne królestwo... Może zobaczyłbyś, że nie ma żadnego Motta, przez którego tu siedzisz, przez którego zmieniłeś się w mordercę, może zobaczyłbyś normalny świat i ludzi, którzy na twój widok będą pękać ze śmiechu... Co wtedy byś zrobił? Co czuje człowiek, kiedy zaczyna rozumieć, że poświęcił wszystko dla przegranej sprawy?

– Co twój ojciec mówił o ustach? – zapytałem, zmieszany.

– Mówił, że nic nie rozumie. Tak, jak ty.

Milczeliśmy, mierząc się wzrokiem. Po chwili Jakub splunął na ziemię i powiedział:

– Wiesz, żal mi cię.

Rzucił na ziemię nóż i kij.

– Jesteś zbyt słaby, żeby cokolwiek zrobić sam. Nawet mnie nie zaatakujesz. A mógłbyś. Znam takich jak ty. Myślałeś o tym. Dlatego się zatrzymałeś. Ale jednak nie potrafisz. I właśnie dlatego tu jesteś. Bo ktoś kazał ci przyjść. Bo ktoś kazał ci zostać. Wszystko, co zrobiłeś w życiu, zrobiłeś dlatego, że ktoś ci coś kazał albo czegoś ci zabronił. A ty słuchałeś. Potrafisz przyjmować rozkazy i przekazywać rozkazy. Nie stać cię na nic więcej. I tylko dlatego nie otworzysz tamtych drzwi. To byłoby nie do pomyślenia, gdybyś choć sam raz podjął jakąś decyzję, gdybyś zdecydował o samym sobie.

Oparł się o ścianę i popatrzył w sufit. Teraz to ja oddychałem ciężko.

– To niewiarygodne, że przez tyle lat to miejsce trzymał za ryj taki frajer i tchórz.

Skoczyłem w jego stronę z krzykiem na ustach, ale uczyniłem to bardziej przez poczucie obowiązku wobec konwenansu, który na poníženie każe odpowiedzieć agresją. Zaś on musiał być na to przygotowany. Wykonał lekki unik, schylił się i poczułem, jak z całym impetem nadziewam się żołądkiem na jego kolano. Ból odebrał mi oddech. Runąłem na ziemię. Kiedy kuliłem się, trzymając się za brzuch, Jakub przycisnął butem moją głowę do desek podłogi.

– Dam ci szansę – powiedział. – Za chwilę włożę ci do ręki nóż. Jeśli chcesz, będziesz mógł spróbować mnie zabić. Stoczmy walkę i jeden z nas zginie. Albo obaj. A jeśli chcesz, otworzymy tamte drzwi i pójdziemy razem. Rozumiesz?

Usiadł pod ścianą.

– Próbowałem zrozumieć architekturę tego domu, ale ciągle zdawało mi się, że umyka mi, że nie daje się tak naprawdę zrozumieć. Ile razy poznawałem jakąś drogę... ile razy zdawało mi się, że znam już jakąś drogę, nie byłem w stanie jej powtórzyć. Tak, jakby wyrastały tu dodatkowe korytarze... całe piętra. Nowe pokoje. Jak to możliwe?

Milczałem, wciąż skupiony na przenikliwym bólu, pomieszanym z poczuciem równie dotkliwego upokorzenia. Było tym bardziej bolesne, że coś we mnie – coraz głośniejsze i silniejsze – było skłonne przyznać Jakubowi rację. Ojciec wiele razy opowiadał mi o różnych strasznych rzeczach, których dopuszczali się ludzie. Nie mogłem spać przez jego słowa, przez obrazy, które wzbudzały, przez zamiecie i tornada najczarniejszych emocji. Czy ojciec, przeczuwając moją słabość, uroił sobie, że mówiąc mi te wszystkie rzeczy uodporni mnie na pokusy tego świata? Nie pamiętałem wiele z życia poza domem Motta, ale na pewno pamiętałem bezsenne noce, gdy wpatrywałem się w bezdenną ciemność, rozważając te

wszystkie potworności, o których ojciec mówił głuchym, złamanym głosem kaznodziei, który stracił resztki wiary. Pamiętam, że opowieści ojca sprawiały, że cierpiałem, ale jednocześnie byłem dumny z mojego cierpienia. Wierzyłem, że ono utożsamia mnie z tymi, po których stronie stała sprawiedliwość – a przynajmniej jakaś idea sprawiedliwości, która nigdy nie mogła się urzeczywistnić. Duma z własnego cierpienia, wielki potencjał pychy ukryty w bólu – czy to właśnie był błąd mojego ojca? A może to nie miało żadnego znaczenia? Jakub wpatrywał się we mnie przenikliwym wzrokiem, tak jakby oglądał nieznaną nauce stworzenie, zupełnie nowe zwierzę. Dziwoląga.

– Dlaczego ten dom jest tak trudno zrozumieć? – ponowił. – Opowiedz mi o nim. Nie chcę cię już bić.

– To, jaki jest dom... – wycharczałem – wynika z tego, jakie decyzje podjął Mott. Jeśli chcesz, możesz to sobie racjonalizować. Możesz wziąć pod uwagę, że twój ruch w tym domu nie ma żadnego kontekstu zewnętrznego, żadnego punktu odniesienia poza domem – wszak idąc przez korytarze, nie widzisz okien i tego, co za nimi. Same korytarze są segmentowane. Kiedy poruszasz się po linii, widzisz pewną ciągłość. Ale linia to tylko zbiór punktów. Tak, jak tutaj. Więc ruch w domu nie istnieje względem zewnętrżności, ale też nie istnieje względem tego, co wewnątrz. Taki był plan Motta.

– Myślę, że kłamiesz. Ale to już nieważne. Czy w tamtym skrzydle jest tak samo? Jak ono wygląda? Ktokolwiek ci o tym opowiadał?

– Nigdy nie spotkałem nikogo, kto mieszkałby w tamtym skrzydle... Poza koordynatorem. Ale on nigdy niczego mi nie mówił. Najwyżej przekazywał dyspozycje. Od Motta, albo od kogoś będącego bezpośrednio pod Mottem.

– Ile szczebli jest pod Mottem i jak bardzo nisko jesteś?

Wybuchnąłem nagle śmiechem.

– Myślisz, że wiem? Myślałem o tym, badałem, próbowałem coś się dowiedzieć swoimi kanałami... Przez jakiś czas podejrzewałem nawet, że koordynator to w gruncie rzeczy Mott. Skąd mam wiedzieć, że tak nie jest, jeżeli nie widziałem Motta na oczy? Przecież Mottem może być każdy.

Znowu zanosłem się śmiechem.

– Nawet Byrkicz i Antunowicz, których zabiłeś, mogli być Mottem. Może Mott bawił się, udając mojego podwładnego. Może kiedyś spotkałem Motta pod postacią jednego z gości, których sam Mott nakazał mi trzymać z daleka od siebie. Skąd mogłem mieć pewność, że nie postanowił sprawdzić, czy dobrze wypełniam powierzone zadanie i nie przyszedł tu jako jeden z gości?

I znów chciało mi się śmiać.

– Jeżeli tak, to dałem mu do wiwatu...

– Możesz już odejść – powiedział do mnie głuchy, daleki głos.

– To ty do mnie mówisz, Jakubie? Czy to sam Mott przemówił? – wykrzyknąłem, tarzając się na podłodze, osłaniając oczy ręką.

– To ja.

– Lojalność! Tak sobie zawsze powtarzałem: „Lojalność! Wierność!”. Piękne słowa, prawda? „Wszystko oddać, by wszystko zyskać!” Gdy podjąłem tę pracę, gdy zasypiałem w zapleśniałym pokoju na zapluskwionym materacu, właśnie tak sobie mówiłem: „lojalność!”. Utożsam się z krwią, by stała się krwią twego pana! Wpuść krwiożerczość do swego serca – bądźcie jedno, ty i pan!

– Możesz zobaczyć rzeczy, których nigdy nie byłbyś sobie w stanie wyobrazić.

– Czy to ty mówisz do mnie, Jakubie? Czy przemawia przez ciebie Mott? A może ty sam nic nie mówisz, a ja boję się otworzyć oczy, by nie zobaczyć tych wielkich ust, wiszących w mroku? Jakubie!

Uderzenie przywróciło mi przytomność. Jakub klęczał nade mną i bił mnie lekko kijem w twarz. Po chwili mogłem skupić na nim wzrok. Oto mężczyzna, za którym idą inni mężczyźni. Idą, nie pytając o nic. Maszerują i walczą, śpiewają i tańczą. Mordują na rozkaz, na rozkaz oddają życie. Nagle zrozumiałem: Jakub niebawem stanie się ważną postacią w administracji Motta. Mott weźmie go pod swoje skrzydła, stworzy mu warunki. Mott w niego zainwestuje. A Jakub mu odplaci. Jakub odnajdzie się w domu Motta stokroć lepiej niż ja – bo inni będą mu służyć nie z przymusu, ale z pragnienia. Będą chcieli mu służyć, poddani jego charyzmie. Będą go wielbić. Aż pewnego dnia Mott zorientuje się, że wyhodował perłę zbyt ciężką, by ją utrzymać. Perłę, którą będzie sam mógł się udławić. Wtedy, o ile nie będzie za późno, podejmie jakieś działania. Ale czy to wystarczy na tego rozpędzonego człowieka, który tej jednej nocy potrafił wywrócić cały porządek skrzydła do góry nogami?

– Idziesz ze mną? – zapytał. – Z tobą, bez ciebie... – pójdę. I znajdę drogę. Chodź. Uwolnij się, człowieku!

– Uwolnij się! – krzyknąłem, wypluwając gęstą ślinę. – Ha ha, dobre! Jest tylko jedna wolność, Jakubie – parsknąłem. – Ale dobrze, pójdę. To jest już bez znaczenia.

A zatem wstałem, poprawiłem ubranie i przeczesałem palcami włosy. Jakub uważnie mnie obserwował, jakby jeszcze nie do końca ufał moim słowom i gestom. Zaufanie to najcenniejsza waluta. Płaci się nią za każdy oddech, za każdy krok. W takich miejscach jak to płaci się wyjątkowo słono. Kto płacił w tej chwili więcej? Jakub czy ja? Nie potrafiłem tego ocenić.

Ruszyłem przodem, otwierając i zamykając kolejne drzwi. Szliśmy w milczeniu, czując coraz większe napięcie, im bliżej znajdowaliśmy się zakazanych wrót. Czułem, że drżą mi ręce, ale wyczuwałem też podobne zdenerwowanie u Jakuba. Ciężko łapaliśmy oddech, jakby wraz ze zbliżaniem się do przejścia do innego skrzydła gęstniało powietrze, jakby coraz trudniej było je wciągnąć do płuc, jakby było w nim coraz mniej tlenu, a coraz więcej czegoś ciężkiego, dławiącego i tłustego. W końcu doszliśmy do krótkiego korytarza, na środku którego widniał ciemny prostokąt. Spojrzałem na Jakuba. Kiwnął głową. Z wewnętrznej kieszeni wyjąłem klucz. Matowy, ledwie widoczny w półmroku, jakby po tak długim czasie spędzonym w ukryciu nie mógł się nasycić tym nędznym światłem. Oparłem się czołem o drzwi i dotknąłem klamki. Była lodowata.

– Ile razy przystawałem pod nimi – powiedziałem szeptem – nigdy nie mogłem usłyszeć żadnego dźwięku dochodzącego stamtąd. A musisz wiedzieć, że spędziłem wiele godzin na nasłuchiowaniu. Nigdy nie słyszałem żadnych kroków, żadnych głosów... Nic.

– Otwórz je.

– Czuję się, jakbym stał na krawędzi świata.

– Nie znam się na takich rzeczach.

– Nie? Nie. Na pewno nie. Nieważne.

Powiedziawszy to, włożyłem klucz do zamka, zamknąłem oczy i przekręciłem. Nigdy wcześniej nie otwierany, stawiał opór, ale po chwili w korytarzu rozszedł się cichy szcęk przeskakujących zapadek. Czułem, jak dźwięk rezonuje we mnie, jak wzmaga bicie serca i łapczywość oddechu. Nacisnąłem na klamkę i pociągnąłem. Po drugiej stronie ziała całkowita ciemność.

Dopiero po chwili wlało się w nią trochę tego nędznego, anemicznego światła. Zobaczyliśmy długi korytarz, którego koniec tonął w mroku. Nie mogłem zdobyć się na uczynienie pierwszego kroku. Jakub odsunął mnie na bok i przestąpił przez próg.

– To takie samo miejsce, jak każde inne – powiedział. Powietrze jest takie samo. Podłoga jest taka sama.

Nieśmiało wszedłem, czując się, jakbym przekraczał jakąś niewidzialną barierę. Odwróciłem się za siebie i pomyślałem, że już nigdy nie wrócę do miejsca, które właśnie opuściłem. Kiedy inni, zamknięci w domu ludzie zorientują się, że nie ma już żadnych strażników? Może nie zorientują się nigdy? Byłby to wielki sukces. Stworzyć taki system, by sam siebie podtrzymywał, bez niczyjej interwencji i udziału. Czy się udało? Nie dowiem się tego.

Jakub szedł wolno, a ja za nim. W coraz słabszym świetle – albo w coraz gęstszej ciemności – jego sylwetka zdawała się rozpraszać, zanikać, rozpuszczać. Dystans między nami rósł. Po chwili słyszałem już tylko echo jego kroków.

- Tracę cię z oczu, Jakubie – powiedziałem nieco rozpaczliwym tonem.
- Tu są kolejne drzwi. To jest łącznik.
- Słyszysz coś po drugiej stronie? – zapytałem drżącym od lęku głosem.
- Nie. Daj mi klucz.
- Nie widzę cię.
- Jestem tuż przed tobą.

Podszedłem w ciemność, z wyciągniętymi przed siebie rękami w miejsce, gdzie powinien stać Jakub. Wyczułem go, a potem wybadałem dłońmi istnienie zamykającej korytarz ściany, w którą istotnie wprawiono drzwi. Wyszukałem w ciemności dłoń Jakuba i włożyłem w nie klucz. Po chwili usłyszałem chrobot i stukot – mój towarzysz próbował odnaleźć zamek. W końcu udało mu się. Rozdzwięczały sprężyny i przekładnie. Nacisnął na klamkę. Skrzypiała rdzawo, przenikliwie. Ale nic się nie stało.

- Nie otwierają się.

Zakręciło mi się w głowie. Jak dotąd byłem pewien, że mechanizm powodujący, że nie było możliwe jednoczesne otwarcie więcej niż jednych drzwi w korytarzu był moim wynalazkiem, moją autorską inicjatywą.

- Trzeba zamknąć drzwi, którymi weszliśmy – powiedziałem.

Wyszukałem po omacku klucz i wyjąłem go z zamka. Powrót w stronę słabo jaśniejszego wejścia do mojego skrzydła domu był jak zbliżanie się do portu w czasie sztormu – przynosił mi ulgę. Myśl o tym, że za chwilę odetnę nam resztkę światła, napawała mnie zgrozą. Nie wiedziałem, czy Jakub idzie za mną. Dopiero po chwili zorientowałem się, że jest obok mnie. Gdyby został pod drzwiami, zamknąłbym go tu i odszedł, uciekł gdziekolwiek indziej.

– Może powinniśmy wrócić po jakieś światło? W moim gabinecie jest latarka – powiedziałem.

– Sprawdźmy najpierw tamte drzwi. Potem zobaczymy.

Posłusznie zamknąłem skrzydło. Wszystko zniknęło, oprócz naszych głośnych oddechów i odgłosu kroków na twardej podłodze. Zaufanie. Mogliśmy teraz spróbować uczynić wszystko – Jakub mógł zaatakować mnie, a ja mogłem zaatakować jego. Z pewnością obaj rozważaliśmy taką możliwość w tej samej chwili – wnioskowałem to z długiego milczenia, jakby każdy z nas zastygł w oczekiwaniu na ruch przeciwnika. Czy podejrzewając Jakuba, miałem prawo wykonać uderzenie uprzedzające? A może Jakub, obawiając się mojego uderzenia uprzedzającego jego uderzenie, mógł sam zdecydować się na atak? Kiedy zaczyna się agresja, a kiedy obrona?

– Chodźmy – powiedział nagle. – Otwórzmy te drzwi.

Więc poszliśmy. Powoli, trzymając się dłońmi ścian, dotarliśmy do przejścia. Po chwili klucz trafił do zamka. Jakub pociągnął za klamkę i tym razem drzwi się otworzyły.

Ale za nimi był mur. Zimny, twardy, chropowaty. Opuszki palców prześlizgiwały się po szorstkiej powierzchni, przedzielanej równoległymi wgłębieniami. Cegły i zaprawa.

– To jest... – wybełkotałem – Ja nic z tego nie...

– Ty skurwysynu – syknął nagle głos w ciemności – Ty perfidny skurwysynu. Wystawiłeś mnie.

– Nie mam pojęcia o czym...

– Zaufałem ci. Mogłem cię tam zabić. Powinienem to zrobić.

Nie czekałem na to, co zrobi. Uderzyłem na oślep, raz, drugi i trzeci. Nie wiedziałem nawet, gdzie trafiam, czułem tylko miękkie opór ciała, które ciosami spychałem na ścianę. Biłem bez zastanowienia, znowu i znowu, wyrzucałem przed siebie pięści, wypychałem kolana, cokolwiek, byle tylko obezwładnić tego człowieka, zanim spełni swoje groźby. W domu Motta nikomu nie wolno ufać. Próbował się bronić, poczułem raz czy dwa razy jego uderzenia, zadawane równie beładnie i po omacku, jak moje. Ale nie było w nich mocy – był zbyt wyczerpany.

Usłyszałem głuchy łoskot i zrozumiałem, że upadł. Nie wiedziałem, czy jest przytomny, czy nie. Zatrzasnąłem drzwi, za którymi znajdowała się ściana, wyrwałem klucz z zamka i zacząłem oddalać się w stronę skrzydła. Po chwili usłyszałem głos, pełen rozpacz i nienawiści. Wyzywał mnie i groził. Ale ja byłem już przy drzwiach. Zatrzasnąłem je za sobą zaraz po tym, gdy wróciłem do mojej części domu. Zamknąłem je na klucz. Po chwili, kiedy szedłem korytarzem w stronę swojej kwatery, usłyszałem wściekłe uderzenia dobiegające z drugiej strony. Krzyk, ciosy pięściami i furiackie kopnięcia. Nie wiem, jak długo i jak

mocno musiałby próbować, żeby w ten sposób przełamać drzwi.

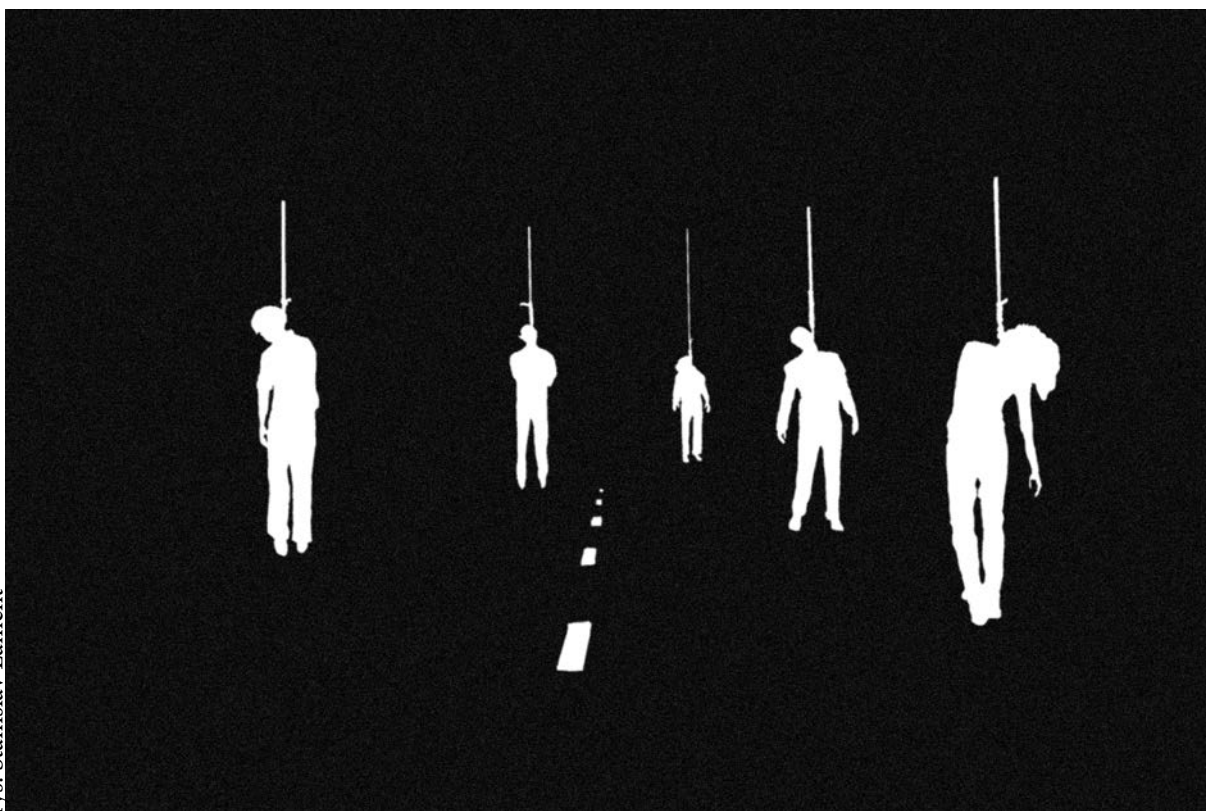
Niemniej, mnie samego zszokowało to, co znaleźliśmy na końcu korytarza. Oto jest sekret każdej tyranii: sprawić, by poddani wierzyli w realność groźby nawet w tych miejscach, w których żadna groźba nie istnieje. Ale czy taka wiara też nie jest zwyrodniałą formą zaufania? Nie chciałem się już o tym przekonywać. Nie w tym domu. Ani chwili dłużej.

W ciszę ciągle wdzierały się uderzenia, dochodzące z drugiej strony drzwi prowadzących do ślepego korytarza. Być może ich echo niesło się po całym domu i wzbudzało zainteresowanie zamkniętych w pokojach ludzi. Może było kroplą, która miała przepełnić czarę goryczy, jaka mogła następnie rozlać się wściekłym buntem w posiadłości Motta? Co zrobią ci wszyscy więźniowie, gdy okaże się, że strażnicy nie żyją, że ich kaci odeszli? Nie chciałem się przekonywać. Ze schowka wyjąłem butelkę nafty i kiedy dotarłem do swojego gabinetu, oblałem nią wszystkie meble i dokumenty. Nie czekałem, aż dym zacznie przedostawać się pod drzwiami, które zamknąłem za sobą na klucz.

A potem szedłem, bardzo długo szedłem przez noc, przez las. Widziałem jeszcze żołnierzy, którzy jechali w stronę domu, być może zaalarmowani krwawą luną za miastem. Ukryłem się przed nimi. A potem ruszyłem przed siebie, bez żadnego kierunku, bez planu. Żywiłem się tym, co udało mi się kupić za tę odrobinę pieniędzy, które zabrałem, a kiedy pieniądze się skończyły – za to, co udawało mi się ukraść albo zarobić, gdy najmowałem się do prostych prac. Ale nie zatrzymywałem się długo w jednym miejscu. Chciałem być jak najdalej od Motta, od obszaru Motta. Nigdy nie dowiem się, czy istniało jakieś inne skrzydło, czy też inne skrzydła, jak rozległy był dom, jak głęboko sięgał. Nie było już dla mnie powrotu. Nie dowiem się nigdy, co stało się z ludźmi, którzy go zamieszkiwali. Co stało się z Jakubem. Być może, o ile przeżył, udało mu się wkupić w łaski Motta, albo w ludzi, którzy byli pod Mottem, albo ludzi, którzy wymyślili Motta. Jeżeli tak, to odbuduje skrzydło, wprowadzi swoje porządki. I będzie poszukiwał swojej prawdy na temat Motta, kimkolwiek albo czymkolwiek jest. Może w ciemności korytarza, kiedy zostawiłem go samego, poddawszy się zmęczeniu, ujrzał te same ogromne, zawieszane w ciemności usta i może one do niego przemówiły. A może nie. To już bez znaczenia.

Czynię wszystko, by nie wrócić w ten obszar, by nie zakreślić wielkiego koła. Wstrzymuję się, kluczę. Opowiadam różnym ludziom różne historie, myślę tropy. I idę naprzód. Nie zarządzam już niczym poza zestawem kłamstw, które mam na podorędziu, by zgubić ewentualny pościg. Bo przecież ktoś cały czas może mnie ścigać. Dlatego będę już

zawsze uciekał, bo życie to nieustanna ucieczka. Od czegoś, albo ku czemuś. Nawet jeśli pewnej nocy znów przyśnią mi się one – wielkie, bełkocące pośród absolutnej ciemności – nie wrócę. Będę biegł, gnał ile sił, czyniąc, co tylko w mojej mocy, by zatrzeć w sobie wszystko, by zabić w sobie nawet ten jeden sen.



ZRODZONY Z PIĘKNA

Piotr Watros

Rozdział pierwszy

Śnił o strachu. Surrealistyczne, abstrakcyjne projekcje, wielopoziomowe, kolorowe kształty przeobrażające się w twarze, miejsca. Myśli ubierały się w senną materię kruchą i rozmytą. Czuł niepokój. Choć nie potrafił nazwać tego, co przesuwało mu się przed oczami jak halucynacje schizofrenika, to strach bynajmniej nie był mrzonką, ulotną jak wizje, których doznawał. Przedzierał się przez krainy tego koszmaru, czując coś wpatrującego się w jego plecy. To uczucie narastało, rosło w nim. Czuł dreszcz przebiegający po plecach. Wszystkie kolory zaczęły uciekać od mroku pełznącego ze wszystkich stron, pochłaniającego barwy, aż sen stał się czarno-biały niczym filmy noir. Był to sen ukuty w ciemności. Chciał uciec, wybudzić się, ale nie mógł. Jakby niewidzialne więzy trzymały jego duszę w innym, dziwniejszym, przerażającym wymiarze. Z ciemności usnęła się ulica. Oświetlona bladym,

nikłym białym światłem. Nie było jednak niczego innego. Ni budynków, ni drzew na skraju drogi. Tylko ona, czarna, pusta. Poszedł nią, a wszystko zaczęło się zmieniać. Z ciemności poczęły spadać ludzkie zwłoki z pętlami na szyi utrzymującymi je tuż nad powierzchnią asfaltu, przyczepionymi do czegoś, co niknęło w mroku. Ruszył biegiem, zasłoniwszy oczy ręką, płakał we śnie, słysząc skrzypienie lin materializujących się przed nim. Czuł, jak ociera się o zimne ciała, nozdrza wypełniał mu odór gnijącego mięsa. I wtedy strach wybuchł w nim, sprawiając, że się przebudził. W ciemności usłyszał jeszcze głos:

Wybudź mnie!

Otworzył szeroko oczy. Było coś w tych słowach, co przeraziło go bardziej niż sam koszmar. Rozejrzył się w nadziei, że obudził się nie w tym miejscu, w którym zasnął. Wtedy koszmar nie miałby znaczenia, jak każdy zły sen, kiedy nadchodzi dzień. Jednak nic się nie zmieniło. Białe ściany mieniące się błękitem blasku księżyca, oddechy ludzi leżących w łóżkach obok, kraty w oknach. Wszystko pozostało niezmiennie. Powtórnie zamknął oczy. Wiedział, że sen nie nadejdzie, ale nie chciał widzieć tego miejsca. Bał się go bardziej niż nocnych mar. Leżał tak, aż do jego przymkniętych oczu dotarła szarość świtu, rozrzedzając delikatnie mrok spod powiek i ten panujący w pokoju. Spomiędzy drzew sączyła się światłość rozganiająca granat po zachodniej części nieboskłonu. Okno wychodziło na wschód, więc mógł oglądać narodziny dnia, podpierając się na łokciach.

W pokoju było sześć łóżek, przy północnej i południowej ścianie, po trzy po każdej stronie. On leżał na środkowym, mając poranne słońce po lewej stronie. Światło przegoniło resztę strachu. Nadziało go nadzieją, choć wiedział, że nie powinien jej mieć. Już nie. Był tu, gdzie był, bo nawet ona już umarła.

Deszcz przyszedł wraz z południem, choć świt go nie zwiastował. Tłukł się po szybach miarowymi, nieustającymi falami. Sztuczne światło rozlewało się po salach, wyganiając niewyraźną szarość dnia. Stał przy oknie, patrząc na krople rozbijające się o liście drzew, namokłą ziemię, okno. Marzył o tym, by znów móc poczuć ciepłe strugi spływające po karku i policzkach. Przesunął dłonią po gładkiej tafli plastikowego komponentu zastępującego szkło. Drzwi za nim otworzyły się, odwrócił głowę.

– Zajęcia artystyczne! Zapraszamy chętnych!

Przecież nikt na to nie chodzi, głupia próba stworzenia tu warunków liżących chociaż normalność, całkowicie nieudolna. Prędeż zdechnę tu w otchłaniach własnej samotności niż postawię tam nogę.

Lecz poszedł.

Mała salka, krzesła ułożone wokół sporego stołu, półki wypełnione książkami i przyborami do rysowania, malowania; plansze do gier. Połowa siedzeń była zajęta. Zazwyczaj smutne twarze, teraz na chwile rozjaśnione uśmiechem, spoglądały na wolontariuszkę promieniującą dobrym humorem.

Niebo za oknem miało barwę popiołu. Chmury kłębiły się, wydając łzy opadające na ziemię splugawioną ludzkim bytem, nieuleczalnie chorą jak oni wszyscy. Skroplona rozpacz dusz spływająca po szkle dzielącym ich od normalności. Usiadł.

– Witamy nową twarz! – Sztuczny uśmiech wykrzywił jej usta. – Co by pan chciał zrobić? Czym się zająć?

Popatrzył na nią. *Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie, czym się zajmę, czy to ma jakiegokolwiek, kurwa, znaczenie, po co sięgnę w ciągu tych godzin?*

Okazało się, że tak.

– Chciałbym pomalować, gdzieś na uboczu.

– O, malowanie! Robił to pan już kiedyś?

– Nie, ale chętnie spróbuję, bo przecież co mi szkodzi? – Uśmiechnął się krzywo.

– Fantastycznie! – Wydawała się nie słyszeć przekąsu w jego głosie. – Tam są farby, kartka papieru, pędzel, kubeczek z wodą, proszę bardzo!

Przez chwilę siedział, gapiąc się na narzędzia pracy z pustką w głowie. Co, do diabła, miałby niby namalować?! Spojrzał przez okno, drzewa kołysały się, targane coraz bardziej porywistym wiatrem, szyba mieniła się kroplami. Tafla była dla niego piękna, niewytłumaczalnie niezwykła, gdy zdobiły ją krople deszczu.

Zamoczył pędzel w farbie. W głowie widział drzewa, wolność. W myślach wiatr głaskał jego twarz, przeczesywał włosy. Przez krótki moment poczuł się bezpieczny, jak gdyby oddalił od siebie problemy. Jednakże, gdy malował, a kartka powoli zapełniała się kolorami, poczuł ból. Nie fizyczny. To chora część psychiki przebiła mrzonkę uwolnienia się z oków i wbiła tępe ostrze w jego umysł. Ten ból przelał na kartkę, niszcząc piękno obrazu detalem. Ponurym obiektem utkwionym w centrum dzieła. Przerzucił na kartkę nie tylko to, co widział, lecz także to, co czuł. Na obrazie były drzewa, widziane tak jak teraz przez pryzmat zroszonego deszczem okna. Tak niesamowicie realne, że zdawało się niemożliwym, że stworzył je nowicjusz. Z każdego elementu kipiał talent, lecz gdy pocisk strachu przeszył

mu serce, ostatnimi ruchami pędzla utworzył się człowiek wiszący na wisielczej pętli kołysanej wiatrem. Martwy jak on. Bo przecież jego duch umarł. Pogrzebany został z pierwszym krokiem przez diabelski próg ośrodka.

– To prawdziwy talent! Trochę ponury, ale talent! Coś niesamowitego! – Ordynator piał z zachwytu. Kolejna marna próba udawania normalności.

Obraz, choć przerażał, zawisł na ścianie w pokoju „warsztatów artystycznych”. W towarzystwie kolorowanek i wycinanek lśnił niczym perła. To była jego ucieczka. Malował, by poczuć się wolnym, przez chwilę swobodnym. Jakby komunikował się z innym światem. Odległym, ale dziwnie znajomym. Jakby powrócił do domu, tylko opisanego przez inne wymiary.

Siedział w sali, pot spływał mu po plecach zimny i nieprzyjemny. Za oknem mrok, rozrzedzany lekko przez blask ćwiartki księżyca, pochłaniał wszystko. Daleko było do świtu. Oparł się plecami o wezgi łóżka i próbował opanować nerwy.

Tylko sen, to był tylko sen. Nic więcej.

Jednak wciąż widział oko w ciemności i głos wypełniał mu czaszkę – „Wypuść mnie!”.

Wiedział, że nie zaśnie, że nie pozbędzie się tego widoku, póki nie przeleje go na kartkę papieru. Przeleżał noc w oczekiwaniu i gdy tylko drzwi się otworzyły, usłyszawszy znajomy głos, bez śniadania ruszył ku pracowni.

Malował w pośpiechu, by jak najszybciej uwolnić się od ciężaru wizji ze snu. Oko, pamiętał je dokładnie. Wielkie, jadowicie żółte, błyszczące w blasku, który wydobywał się z nicości. Chciał je unicestwić, zabić, by nie mogło go więcej nawiedzić. Zniszczyć, przebić! Malował z zawziętością, szybkimi ruchami. Oko nabite na pal tkwiący w piaskach pustyni. Niebo barwy pustułki, upstrzone innymi źrenicami lewitującymi nad wydmami w surrealistyczno-abstrakcyjnej, przerażającej wizji.

„Wypuść mnie!”

Głos tłukł mu się po czaszce. Za każdym razem, gdy uderzał, malarz zamykał powieki i widział to, co próbował zniszczyć na kartce. Oko.

„Wypuść mnie!”

Pot wstał na jego czoło. A jeżeli to jego krzyk? Podświadomość chce uciec stąd, z tego przeklętego więzienia, krzyczy więc do niego, by uciekał, by zrobił wszystko, żeby się uwolnić!

„Wypuść mnie!”

Głos nie dawał mu spokoju. Pędził coraz szybciej zatapiał się w farbach, rozchlapując je na boki, i pospiesznie kreślił linie. Kiedy skończył, poczuł ulgę. Jakby zrzucił ogromny ciężar przygniatający go od stuleci, a przecież to był tylko sen, jeden koszmar, nic wielkiego. A jednak kiedy spoglądał na obraz, mimowolnie przechodził go dreszcz.

– Jak panu idzie? – Wolontariuszka spojrzała mu przez ramię i z przerażenia ledwo powstrzymała krzyk. Wstał, zostawiając obraz na stole, przeszedł, zerkając na swoje dzieła zdobiące w całości ścianę pomieszczenia i wyszedł bez słowa. Czuł się wolny i tylko tego mu było trzeba.

Rozdział drugi

Czas płynął nieubłaganie, poranki spędzone w pracowni, kolejne obrazy znajdujące się na ścianie. Każdego dnia dostawał komplementy odnoszące się do jego nowoodkrytego talentu i choć wiedział, że przelatujący jak piasek przez palce czas jest jego wrogiem, czuł się prawie normalnie. Koszmary nie pojawiały się już, ale była to tylko cisza przed burzą. Pierwszy powiew zwiastujący wicher nadszedł pewnej chłodnej nocy. Niebo upstrzone jasnymi gwiazdami jak drogocenny materiał kryształami, mgła snująca się tuż przy ziemi, kąpiąca wysoką trawę w swej mlecznej konsystencji.

We śnie szedł korytarzem, podobnym do tego, którym się poruszał na co dzień, jednak mrocznie czarno-białym. Czuł, że się rozpada. Jak choroba, przez którą się tu znalazł, przyspiesza i pożera go od środka, by dokończyć to, co zaczęła. Szedł przed siebie, tracąc siły i wtedy z ciemności przed nim wyłoniło się wściekle żółte oko napawające odrazą i strachem.

– Boisz się mnie? – przemówiło potężnym głosem przenikającym umysł jak miecz. – Mogę ci pomóc, uwolnić cię, uzdrowić. Tylko musisz mnie wypuścić. Wolność za wolność.

– Czym jesteś? Ja... ja się rozpadam... CZYM JESTEŚ?!

– Jestem zniewoloną wolnością, musisz mnie uwolnić, a wyzwolisz i siebie. – Głos dziwnie go hipnotyzował, jakby za słowami podążała do niego dziwna narkotyczna mgielka i ogarniała jego świadomość.

– Co... co musiałbym zrobić? – Jego wątłe ciało zapadało się w sobie, tracił siły, w oczach miał łzy, płakał również poza snem.

– Pokieruję cię. Tylko się zgódź, a wszystko zostanie dokonane.

– Naprawdę możesz mnie uwolnić? Uzdrowić z tego?

– Zaufaj mi, a sam się przekonasz, tylko mi zaufaj.

– Dobrze... tylko, tylko pomóż mi... rozpadam się...

Oko mrugnęło i śpiący wybudził się. Niemy krzyk wykrzywił mu usta. Na dworze budził się dzień. Słońce muskało horyzont, mgła już tylko niewielkimi strzępami unosiła się nad ziemią. Ciemność bledła z każdą minutą, a on siedział i nie potrafił zrobić ruchu, choćby najmniejszego drgnięcia.

Pochłaniał śniadanie z pośpiechem. Spoglądał na ludzi. Brakowało mu kilku twarzy. Odeszli. Taki był ich los, jego zaś właśnie miał się odmienić. Po posiłku ruszył od razu do pracowni. Wiedział, co miał zrobić. Wiedział, jak uwolnić stwora. Wolność za wolność.

Siedział długie godziny w pracowni. Pierwszy obraz skończył niespodziewanie szybko. Osoby w sali zmieniały się. Sztucznie uśmiechnięte twarze wolontariuszek przychodziły i odchodziły. A on malował. W ciszy, na uboczu, gdzie ludzka ciekawość nie mogła go osiągnąć. Gdy ktoś próbował spojrzeć mu przez ramię, zazdrośnie zasłaniał papier ciałem, nie dając poznać, nad czym pracuje. Choć wiedział, że w końcu będzie to musiało zostać objawione. Wszystko będzie musiało być objawione.

Praca pierwsza przedstawiała zamek na potężnej grafitowej skale na tle nieba koloru czerwieni, upstrzonego czarnymi kołtunami chmur. Jedna z wież była rozbita, sterczała jak włócznia jedyną ocalałą ścianą.

Zrzucił wszystkie swoje stare obrazy i powiesił ten. Na samym początku. To był pierwszy krok. Ukazać więzienie.

Starął się wrywać z monotonii ośrodka najszybciej, jak mógł. Wydrążyć dziury w ustalonym porządku, by jak najwięcej pracować. Śniadanie, leki, obiad, leki, kolacja, leki. Pomędzy tym pracownia. Śmiał się im w twarz, kiedy dostawał tabletki. Po co mu one? Po co komukolwiek? I tak cywilizacja, zewnętrzne społeczeństwo rzuciło ich na pożarcie chorobie. Nie ma ratunku, nawet odrobiny nadziei. Tylko te pieprzone mury i śmierć, jej zapach w każdym kącie, cień na każdej ścianie. Rosła w nim wściekłość. Z każdym krokiem potężniejsza, dotkliwsza. Im dalej był w drodze ku wolności, tym bardziej ta idea go

opętywała. Przepelniony goryczą i złością malował. To była jego wolność, jego wyzwolenie z twierdzy śmierci, jego szlak do wyzwolenia.

Drugi obraz był abstrakcyjny, choć dało się na nim zobaczyć ludzi wiszących na drzewach, czarno-biali, niewyraźni, jakby niedostrzegalni. Jednak wiszący tam, jak w jego śnie. Aż w jego głowie powracały dźwięki skrzypiących lin zaciskających się coraz ciaśniej na szyjach wisielców. Mozaika, monochromatyczne dzieło chorego, zatrutego umysłu.

Szedł korytarzem, złość mamiła jego zmysły, czuł rozgoryczenie. Wszyscy spisali ich na straty. Cały cholerny świat stworzył chorobę i poddał się, gdy trzeba było odnaleźć receptę na nią, antidotum. A jego rodzina? Opuściła go, pozwoliła odejść, nie odwiedzali go. Zresztą nikt tu nikogo nie odwiedzał. Tonęli w tej bezkresnej beznadziei sami, skazani na obce sobie osoby jako towarzyszy ostatnich dni życia. Gdzie jest sprawiedliwość, ta wyższa prawda, o którą tak walczą ci, którzy ich zamknęli przed wścibskimi oczami ludzi poszukujących zagubionych praw każdego męża i kobiety do egzystencji, normalnej egzystencji! Im to prawo odebrano. Jego pięści same zaciskały się i roztwierały. Jeden z pacjentów trącił go łokciem, to odpaliło zapalnik. Natychmiast rzucił się na niego i tylko doktor (śmiechu warty w tym więzieniu) powstrzymał go od pobicia ofiary.

Trzecie dzieło tonęło w barwach szkarłatu i grafitu. Tworzyły one surrealistyczne kształty, mary jak z tych nieokreślonych, niewyraźnych snów. I choć było tak odmienne od pozostałych dwóch dzieł, komponowało się z nimi jak jedna całość. Kojarzyło je podobieństwo barw.

Patrzył na swoją twarz w srebrnej taśmie rozklejonej na ścianie łazienki – substytucie lustra. Podkrążone oczy nabiegłe krwią. Błada twarz poryta zmarszczkami, sine usta. Zapadnięte policzki pokryte siwą szczecinią zarostu rozrzedzonego chorobą. Srebrne włosy, którym niewiele pozostało z dawnej gęstości, odkrywające płaty nagiej skóry. Im dłużej patrzył, tym mocniej był przerażony tym, co widział. Nie miał zbyt wiele czasu, już nie. Choroba rozkładała go żywcem i musiał działać, by przetrwać. Pracował coraz więcej. Był pierwszym, który wchodził do pracowni i ostatnim, który z niej wychodził. Władze ośrodka bezproblemowo przyjęły fakt zmiany ekspozycji oraz fakt, że przesiadywał tak długo w sali. Przestał sypiać. Pod zamkniętymi powiekami było tylko oko. Milczące, przerażające i oczekujące. Tak, było w ciemności, a on się rozszypywał.

Czwarty obraz przybrał szatę tkaną szarością i czerwienią. Niezwykłe kształty, jakby dymy unoszące się z papierosów i żółć. Ostra żółć w centrum. Oko w tym tangu kolorów. To był ostatni krok.

Rozdział trzeci

Zmrok zapadł już dawno, kiedy nerwowymi ruchami kończył czwarte dzieło. Gwiazdy już powoli zajmowały swoje miejsce na granacie nieboskłonu, ginąc za chmurami sunącymi szybko na północ. W pracowni robiło się chłodno, ostatni zagorzały fan kolorowanek wyszedł godzinę temu, ale on chciał desperacko skończyć wszystko dzisiaj. Wolność za wolność. Wolontariuszka patrzyła na niego z nieskrywanym zniecierpliwieniem. Czekala, bo ona jedyna miała klucze, by zamknąć salę.

– Długo się jeszcze panu zejdzie? Muszę iść do domu...

– Tylko chwilka, już kończę – odpowiedział zachrypniętym głosem.

Już kończył, kończył ostatnie dzieło, czuł niezdrowe podekscytowanie. Wolność za wolność.

– Proszę pana, ja naprawdę muszę już wyjść!

– Skończone!

Wyraźny grymas ulgi przemknął po jej twarzy. Wstał, podnosząc obraz z uśmiechem majaczącym na twarzy. Powiesił go obok trzech pozostałych, nerwy miał w pełnym napięciu, dzieło zawisło i... nic się nie stało. Cisza nadal wypełniała pomieszczenie, nic się nie wydarzyło. Stał jeszcze przez chwilę, gapiąc się z nadzieją w segment obrazów. Przecież zrobił to, co kazało! Gdzie jego wolność?! Gdzie, do cholery, jego pierdolona wolność?! Miał ochotę roztrzaskać stoły, zerwać obrazy, pobić tę zasraną wolontariuszkę i wszystkich pacjentów! Ale tego nie zrobił. Wyszedł z sali. W głowie miotał przekleństwa na samego siebie. Co go podkusiło, by wierzyć w sny, przecież to bzdura, którą stworzył jego umysł, by napęlić go nadzieją. Wszystko brednie! Wkroczył do pokoju, w którym wszyscy inni leżeli już w łóżkach, gotowi do snu. Zaciekawione głowy odwróciły się w jego stronę i po chwili bez słowa wróciły do wcześniejszych pozycji. Załamany, zły na swoją naiwność położył się, przykładając twarz do poduszki. Nie zapłakał, choć łzy cisnęły mu się do oczu. Jak słaby jest człowiek, gdy zabiera mu się ostatnią nadzieję.

Jednak to nie był koniec.

Zasnął mimo miotających się w jego głowie uczuć i myśli. Gdy noc rozkwitła w pełni, zdobiąc iskrami gwiazd bezchmurne już niebo, a księżyc rozsiewał swój blask, muskając srebrem drzewa i trawy, obudził go hałas. Potężny huk jakby łamanie drewna. Przebudzili się wszyscy, lecz tylko on wybiegł na korytarz. Czy to był znak? Jego wolność? Spojrzał w stronę pracowni. Drzwi do niej były wyłamane i roztrzaskane na przeciwległej ścianie. W ciemności zabłysła jadowita żółć. Cień, który zdołała, przemknął tuż obok niego. Odwrócił

się w ślad za nim. Na korytarzu stała pielęgniarka, która wybiegła ostrzeżona harmidrem. W jednej chwili jej twarz przybrała wyraz zdumienia i przerażenia, a wnętrzności ozdobiły ściany i podłogę. Demon na chwilę się zatrzymał. Miał długi ogon. Łapy zakończone haczykowatymi, ostrymi jak brzytwa pazurami. Jedno jedyne oko było koloru słońca, a łeb okalany jakby kolcami. Był czarny jak węgiel. Rysy zdawały się być ulotne niczym dym. Miało się wrażenie, że unosi się nad ziemią mimo tego, że jego łapy stykały się ze szpitalną podłogą. Odwrócił łeb w stronę artysty i w głowie zagrział głos – „Wolność za wolność”. Jednak człowiek był zbyt przerażony. Widział tylko truchło pielęgniarki i doszło do niego, jaki błąd uczynił, prosząc demona o pomoc. Zwymiotował na podłogę. Wokół niego zaczęli pojawiać się ludzie. Twarze wykrzywione w przerażeniu, niektórzy krzyczeli. Demon wciąż wpatrywał się w swojego wybawcę jadowicie żółtym, przerażającym okiem. Potem ruszył. W czasie nie dłuższym niż mrugnięcie był już przy jednym z gapiów i nabił go na swoje szponiaste palce. Szarpnął nimi do góry, ofiara została przecięta na kilka pasków czerwonego mięsa. Jelita wylały się na podłogę, ktoś rzucił się do ucieczki i potknął się o nie, lądując twarzą na podłodze. Demon ryknął, złapał najbliższego uciekiniera i miotnął nim o ścianę, aż ta popękała. Wyzwoliciel stał. Oniemiały oglądał ten spektakl śmierci i zniszczenia. Kolejne ciała padały bez ducha. Ściany rozłupywały się. Do środka wpadli ochroniarze, zaalarmowani hałasem, jednakże ich broń palna nie zdała się na nic i rychło padli rażeni czarną błyskawicą – synonimem śmierci – a artysta stał. Stał i żałował, bał się, ale jego mózg gorączkowo szukał rozwiązania. Obrazy! One go uwolniły, może i one odeślą go z powrotem! Pobiegł do pracowni, przeskakując ciała oraz wnętrzności, ominął strzaskane drzwi i dotarł przed obrazy. Na podłodze zauważył ostre narzędzie, kawałek naostrzonego drewnianka, fragment odrzwi. Zaczął nim drzeć swoje prace. Słyszał krzyki dobiegające z korytarza. Strach napinał każdy nerw. Darł je z taką samą pasją, z jaką je malował. Aż poczuł za sobą oddech demona. Bał się odwrócić. Usłyszał głos, dobrze znany ze snów.

– Wolność za wolność. Jedyłą twoją wolnością jest śmierć. Nie uzdrowi cię już nic innego. Wolność za wolność.

Szponiasta łapa wbiła się w plecy artysty i chwyciła serce. Stwór wyrwał je z ogromną siłą.

Malarz ostatkiem sił wzbił w górę myśl:

Wolność za wolność...



SPOOKY STUFF



SPOOKYSTUFFSHOP



YES



NO

SHRED PERSPECTIVES WORKS
DESIGN



DARK ART
AND DESIGN

GOOD BYE

KAFKI OBOWIĄZEK NEGACJI

Eliza Krzyńska-Nawrocka

Niewątpliwie najbardziej i najpowszechniej rozpoznawalnym dziełem Franza Kafki jest *Proces* – powieść, jak zresztą i inne formy beletrystyczne tego autora, niedokończona i wydana pośmiertnie. To właśnie ta książka, zaczynająca się od zdania *Ktoś musiał zrobić doniesienie na Józefa K., bo mimo że nic złego nie popełnił, został pewnego ranka po prostu aresztowany.* (F. Kafka, *Proces*, tłum. B. Schulz, Kraków 2006. s. 3) uzyskała trzecie miejsce na liście 100 książek XX wieku, opublikowanej na łamach francuskiego dziennika „Le Monde” w 1999 roku, wyprzedzona jedynie przez Prousta i jego *W poszukiwaniu straconego czasu* i zwycięzcę rankingu – *Obcego* Camusa.

Jednak nie o samym *Procesie* będzie mowa, punktem zainteresowania niniejszego artykułu będzie wyłaniający się z twórczości Kafki sposób widzenia świata, jego percepcji, a co za tym idzie obraz rzeczywistości wg tego pisarza. Od razu zaznaczam, że nie będzie tu mowy o całościowym obrazie, z jednej strony dlatego, iż formuła artykułu z racji objętości tekstu umożliwia jedynie zasygnalizowanie pewnych charakterystycznych elementów tego obrazu, z drugiej zaś – każdy, kto choć trochę zna pisarstwo autora zdaje sobie sprawę, że świat przedstawiony jest u Kafki fragmentaryczny, patchorkowy i niepełny.

O twórczości urodzonego 3 lipca 1883 roku w Pradze (a zmarłego 3 czerwca 1924 w Kierling) pisarza można mówić wiele i nigdy w pełni nie da się jej ani jej autora scharakteryzować. Stąd też celowo użyte wcześniej słowo „złożona” twórczość: z jednej strony określenie to wskazuje jej skomplikowanie, z drugiej prowadzi czytelnika w kierunku wspomnianej urywkowości tego, co Kafka pokazuje.

To, co pokazuje, można czytać na wiele sposobów: chociażby przez pryzmat biograficzny – nieszczęśliwe dzieciństwo i życie w cieniu ojca, listowe miłości, które poza spisanyimi słowami pierzchały i nie miały happy endu (na oba tematy powiedziano i napisano sporo, w tym ciekawa jest oczywiście epistolografia Kafki, której poświęcono sporo uwagi), przez pryzmat filozoficzny – oczywiście egzystencjalizmu czy czytania przez filozofów (tu polecam ciekawy zbiór będący wynikiem lektury utworów Kafki przez miłujących mądrość przedstawicieli XX i XXI wieku – tj. antologię *Nienasycenie. Filozofowie o Kafce*, red. Ł.

Musiał, A. Żychliński, Kraków 2011). Można czytać przez pryzmat ukłutych pojęć, mających swoje źródło w samych tekstach literackich autora *Procesu*, chociażby tzw. sytuacji kafkowskiej, poprzez formułę kreowania świata, w tym głównie groteskę, symboliczne i paraboliczne elementy literackiej panoramy Kafki. Przez pryzmat kategorii fałszu, wstydu, etc.

Niezależnie od tego, który ze sposobów wybierzemy, a można powiedzieć, że wszystkie one w tym pisarstwie składają się na jego obraz, to w jego centrum pojawia się człowiek i jego lęk. To może być człowiek-Kafka, człowiek-alter ego pisarza, człowiek-bohater literacki etc. Za każdym razem jest to człowiek-wobec: wobec otaczającej go rzeczywistości, wobec innych, wobec siebie samego i wobec tego, co czai się w nim samym. Człowiek, który się rozpada i jest tak samo fragmentaryczny, jak pisarstwo Kafki.

Świat, w którym zanurzony jest główny bohater jego twórczości, jest rzeczywistością wrogą, obcą (nawet, a paradoksalnie wtedy jeszcze bardziej, gdy jest to na przykład zamieszkiwany przez niego od zawsze pokój), przerażającą. Mrok, który wylania się z jego opowiadań i powieści, spowija wszystko wokół, przytłacza i wywołuje drżenie niczym w najciemniejszym horrorze. Bo rzeczywistość nie jest taka, jaka nam się wydaje – zdaje się mówić Kafka i dodaje w jednym ze swoich aforyzmów: *Został na nas nałożony jedynie obowiązek negacji. To, co pozytywne, zostało nam już dane.*

Warto przyglądać się wypełnianiu tego obowiązku przez Kafkę, dostrzec wynikający z tego negocjacji fascynujący świat, świat mogący wywołać histerię, świat Kafki – przerażająco smutny i dobitnie mroczny, budzący grozę.

Zanim do tego przejdę, warto zaznaczyć, że przywołany aforyzm, będący źródłem tytułu niniejszego artykułu, pochodzi ze zbioru myśli Kafki, które pierwotnie opublikowano pod zbiorczym tytułem *Rozważania o grzechu, nadziei, cierpieniu i słusznej drodze* w 1931 roku w opracowaniu Maksa Broda. Te myśli, odkryte przez Roberto Callaso na nowo, zostały wydane z rękopisu ponownie, pod mniej szumnym tytułem *Aforyzmy z Zürau* (odwołującym się do sytuacji Kafki, który aforyzmy spisywał, gdy był chory na gruźlicę) i pokazują prawdziwsze – bardziej tragiczne i mniej poukładane widzenie świata niż wykreował je wspomniany Brody, który wypaczył kształt nie tylko tego wydanego dzieła Kafki. Ale to temat na zupełnie inny tekst. Zostawmy zatem kwestię edycji, wracając do tego, co w tym zdaniu Kafki się kryje. Pisarz wskazuje po pierwsze na obowiązek, po drugie na niezgodę – zadaniem człowieka nie jest cukierkowe życie, życie człowieka to walka. Jedną z form toczonego przez człowieka boju jest twórczość, o której autor *Listu do ojca* mówił, że *jest zawsze tylko ekspedycją w kierunku prawdy.*

Ekspedycja Kafki to negowanie spokoju i szczęścia, to pokazywanie człowieka jako istoty dręczonej/udręczonej sobą, innymi i tym, co go otacza. Bohater wędruje po ciemnych zakamarkach, piwnicach, strychach, biurach, zatłoczonych korytarzach w oparach stęchlizny, wilgoci, codzienności, oblepiającej go niczym kokon.

I to jest najstraszniejsze – groza wynika z tego, co zupełnie zwyczajne. Tak Kafka wypełnia obowiązek negacji – pokazuje, że to, co normalne, wcale takie nie jest; że wystarczy minimalne przesunięcie, zmiana perspektywy, by okazało się, że świat, w którym żyjemy jest fantastyczny, fantastycznie przerażający.

Perfekcyjnie pokazuje to w opowiadaniu o sugestywnym tytule *Przemiana*, tekście napisanym pomiędzy 17 listopada a 7 grudnia w roku 1912. Tytułowa metamorfoza dotyczy głównego bohatera – Gregor Samsa zamienia się pewnego dnia w robala. Nic nie zapowiada tego, co się z nim dzieje. Po prostu się stało. I to jest najbardziej przerażające:

Gdy Gregor Samsa obudził się pewnego rana z niespokojnych snów, stwierdził, że zmienił się w łóżku w potwornego robaka. Leżał na grzbiecie twardym jak pancerz, a kiedy uniósł nieco głowę, widział swój sklepiony, brązowy, podzielony sztywnymi łukami brzuch, na którym ledwo mogła utrzymać się całkiem już ześlizgująca się kołdra. Liczne, w porównaniu z dawnymi rozmiarami, żałośnie cienkie nogi migaly mu bezradnie przed oczami.

Czytamy dalej, że nie przyśniła mu się ta przemiana – *To nie był sen. Jego pokój, prawdziwy, nieco tylko zbyt mały ludzki pokój, mieścił się spokojnie wśród czterech dobrze znanych ścian.*

Główny bohater ma świadomość tego, co się z nim stało, jednocześnie zachowuje zdolność myślenia o sobie w ludzkim wcieleniu. Rozumuje po ludzku, snuje plany jako człowiek, jednocześnie musząc radzić sobie np. z motoryką owada, z nowymi nawykami żywieniowymi. Ma świadomość bycia sobą i nie sobą. Kwintesencją tego rozłamu jest odczuwanie rzeczywistości po ludzku i owadziemu, rozumowanie jak człowiek i bycie postrzeganym jako robak. Kafka składa ten obraz z plastycznych, bardzo dokładnych opisów spotworniałej istoty, reakcji rodziny i pracodawcy na przemianę mężczyzny – jakże sugestywna jest chociażby reakcja na głos Gregora:

– To był głos zwierzęcy – powiedział prokurent dziwnie cicho w przeciwieństwie do krzyku matki.

Uwięziony w ciele owada mężczyzna odczuwa siebie podwójnie, zanim wydobywa z siebie głos:

Gregor przestraszył się, gdy w odpowiedzi usłyszał swój własny. Zapewne, był to niezapreczenie jego dawny głos, ale mieszał się z nim, jak gdyby spod niego się dobywający

i nie dający się stłumić, bolesny pisk, który tylko w pierwszej chwili pozostawiał słowom ich właściwy dźwięk, aby w dalszym ich brzmieniu zniszczyć go tak dalece, że nie wiedziało się, czy się dobrze słyszy.

Kafka buduje grozę sytuacji poprzez skrupulatność w opisie stanu, w którym znajduje się Gregor, tego, co się z nim dzieje, jak wygląda po przemianie – pisarz skupia się na detalach, pełnej realizmu charakterystyce zewnętrznej. Z drugiej strony mamy subtelne analizy stanu psychicznego i sytuacji życiowej bohatera, rozmyślania o charakterze ontologicznym i epistemologicznym. Bohater zastanawia się, kim jest; zastanawia się, jak może poznać rzeczywistość w nowych warunkach:

Gregor miał więc dużo czasu, by spokojnie się zastanowić, jak powinien sobie teraz od nowa ułożyć życie. Jednak wysoki, pusty pokój, w którym uwięziony przywarł na płask na podłodze, przerażał go. Nie wiedział, z jakiej przyczyny, był to przecież jego własny, od pięciu lat zamieszany przezeń pokój. Na pół świadomie obrócił się i nie bez lekkiego wstydu pośpieszył ukryć się pod kanapą, gdzie, mimo że czuł ucisk na grzbiecie i nie mógł podnieść głowy, poczuł się zaraz bardzo wygodnie i żałował tylko, że tułów ma zbyt szeroki, by mógł się cały pod kanapą zmieścić.

Nie wiadomo dlaczego doszło do metamorfozy, wiadomo, że jej efekt budzi odrazę, izoluje przemienionego – neguje on dotychczasowy porządek, neguje normalność, przemiana neguje jego istnienie. Oczywiście można by zapytać, czy Samsa istniał wcześniej, uwikłany w zależności rodzinne, pracownicze. Warto oddać głos samemu pisarzowi, który w jednej z rozmów stwierdził:

Większość ludzi przecież w ogóle nie żyje – powiedział Kafka nad wyraz spokojnie. – Czepia się tylko życia jak małe koralowce rafy. Poza tym ludzie są przecież o wiele biedniejsi od owych prymitywnych żyjątek. Nie posiadają trwałej rafy, mogącej się oprzeć morskiej kipieli. Brak im również własnej wapiennej muszli. Wydzielają z siebie tylko żrący śluz zaprawiony żółcią, co czyni ich jeszcze bardziej słabymi i samotnymi, ponieważ to ich odgradza od innych. Cóż robić?

Franz Kafka rozpostarł ramiona i pozwolił im bezradnie opaść jak parze sparaliżowanych skrzydeł. – Czy wypada protestować przeciw morzu, że powołuje do życia tak niedoskonałe twory? W ten sposób moglibyśmy protestować jedynie przeciwko własnemu życiu, bowiem sami też jesteśmy tylko takimi biednymi koralowcami. Możemy zabiegać jedynie o cierpliwość i każdy, każdy wzbierający w nas, żrący śluz zaprawiany żółcią przełykać z wysiłkiem i bez słowa. To wszystko, co możemy zrobić, żeby nie wstydzić się ludzi

i samego siebie. (G. Janouch, *Rozmowy z Kafką. Notatki i wspomnienia*, tłum. J. Borysiak, E. Dyczek, Warszawa 1993, ss. 88-89.)

Kafka pokazuje, że nie są mu potrzebne odległe, nieznanne przestrzenie, pojawiające się z zaświatów duchy lub istoty z innych wymiarów, by budować grozę. Zarówno w przywołanej *Przemianie*, jak i w innych swoich utworach daje wyraz temu, że ludzka rzeczywistość jest najbardziej przerażająca. Może ona zmieniać swoją postać, lecz zawsze jest w niej człowiek – w swojej samotności, w swym lęku przed innymi, czegoś/kogoś nieznanego, immanentnego, ale niewołącego go. Człowiek i jego lęk. Kafka i jego obowiązek negacji wskazują, że jest tylko człowiek i jego lęk. Chociaż co do istnienia tego pierwszego, jak widać, można mieć wątpliwości. Pozostaje zatem lęk.



PTAKI

BRUNO SCHULZ

Nadeszły żółte, pełne nudy dni zimowe. Zrudziałą ziemię pokrywał dziurawy, przetarty, za krótki obrus śniegu. Na wiele dachów nie starczyło go i stały czarne lub rdzawe, gontowe strzechy i arki kryjące w sobie zakopcone przestrzenie strychów – czarne, zwęglone katedry, najeżone żebrami krokwi, płatwi i bantów – ciemne płuca wichrów zimowych. Każdy świt odkrywał nowe kominy i dymniki, wyrosłe w nocy, wydęte przez wicher nocny, czarne puszczaki organów diabelskich. Kominiarze nie mogli opędzić się od wron, które na kształt żywych czarnych liści obsiadały wieczorem gałęzie drzew pod kościołem, odrywały się znów, trzepocąc, by wreszcie przyłgnąć, każda do właściwego miejsca na właściwej gałęzi, a o świcie ulatywały wielkimi stadami tumany sadzy, płatki kopci, falujące i fantastyczne, plamiąc migotliwym krakaniem mętnozółte smugi świtu. Dni stwardniały od

zimna i nuda, jak zeszlóroczne bochenki chleba. Napoczynano je tępyimi nożami, bez apetytu, z leniwą sennością.

Ojciec nie wychodził już z domu. Palił w piecach, studiował nigdy niezgłębioną istotę ognia, wyczuwał słony, metaliczny posmak i wędzony zapach zimowych płomieni, chłodną pieszczotę salamander, liżących błyszczącą sadzę w gardzieli komina. Z zamiłowaniem wykonywał w owych dniach wszystkie reparatury w górnych regionach pokoju. O każdej porze dnia można go było widzieć, jak, przykucnięty na szczycie drabiny, majstrował coś przy suficie, przy karniszach wysokich okien, przy kulach i łańcuchach lamp wiszących. Zwyczajem malarzy posługiwał się drabiną jak ogromnymi szczudłami i czuł się dobrze w tej ptasiej perspektywie, w pobliżu malowanego nieba, arabesek i ptaków sufitu. Od spraw praktycznego życia oddalał się coraz bardziej. Gdy matka, pełna troski i zmartwienia z powodu jego stanu, starała się go wciągnąć w rozmowę o interesach, o płatnościach najbliższego *ultimo*, słuchał jej z roztargnieniem, pełen niepokoju, z drgawkami w nieobecnej twarzy. I bywało, że przerywał jej nagle zaklinającym gestem ręki, ażeby pobiec w kąt pokoju, przyłgnąć uchem do szpary w podłodze i z podniesionymi palcami wskazującymi obu rąk, wyrażającymi najwyższą ważność badania nasłuchiwać. Nie rozumieliśmy wówczas jeszcze smutnego tła tych ekstrawagancji, oplakanego kompleksu, który dojrzewał w głębi.

Matka nie miała nań żadnego wpływu, natomiast wielką czcią i uwagą darzył Adelę. Sprzątanie pokoju było dlań wielką i ważną ceremonią, której nie zaniedbywał nigdy być świadkiem, śledząc z mieszaniną strachu i rozkosznego dreszczu wszystkie manipulacje Adeli. Wszystkim jej czynnościom przypisywał głębsze symboliczne znaczenie. Gdy dziewczyna młodymi i śmiałymi ruchami posuwała szczotkę na długim drażku po podłodze, było to niemal ponad jego siły. Z oczu jego lały się wówczas łzy, twarz zanosila się od cichego śmiechu, a ciałem wstrząsał rozkoszny spazm orgazmu. Jego wrażliwość na łaskotki dochodziła do szaleństwa. Wystarczyło, by Adela skierowała doń palec ruchem oznaczającym łaskotanie, a już w dzikim popłochu uciekał przez wszystkie pokoje, zatraskując za sobą drzwi, by wreszcie w ostatnim paść brzuchem na łóżko i wić się w konwulsjach śmiechu pod wpływem samego obrazu wewnętrznego, któremu nie mógł się oprzeć. Dzięki temu miała Adela nad ojcem władzę niemal nieograniczoną.

W tym to czasie zauważyliśmy u ojca po raz pierwszy namiętne zainteresowanie dla zwierząt. Była to początkowo namiętność myśliwego i artysty zarazem, była może także głębsza, zoologiczna sympatia kreatury dla pokrewnych, a tak odmiennych form życia, eksperymentowanie w niewypróbowanych rejestrach bytu. Dopiero w późniejszej fazie

wzięła sprawa ten niesamowity, zaplątany, głęboko grzeszny i przeciwny naturze obrót, którego lepiej nie wywlekać na światło dzienne.

Zaczęło się to od wylęgania jaj ptasich.

Z wielkim nakładem trudu i pieniędzy sprowadzał ojciec z Hamburga, z Holandii, z afrykańskich stacji zoologicznych zapłodnione jaja ptasie, które dawał do wylęgania ogromnym kurom belgijskim. Był to proceder nader zajmujący i dla mnie – to wykluwanie się piskląt, prawdziwych dziwotworów w kształcie i ubarwieniu. Niepodobna było dopatrzeć się w tych monstrach o ogromnych, fantastycznych dziobach, które natychmiast po urodzeniu rozdzierały się szeroko, sycząc żarłocznie czeluściami gardła, w tych jaszczurach o wątlym, nagim ciele garbusów przyszłych pawi, bażantów, głuszców i kondorów. Umieszczony w koszykach, w wacie, smoczy ten pomiot podnosił na cienkich szyjach ślepe, bielmem zarosłe głowy, kwacząc bezgłośnie z niemych gardzieli. Mój ojciec chodził wzdłuż półek w zielonym fartuchu, jak ogrodnik wzdłuż inspektów z kaktusami, i wywabiał z nicości te pęcherze ślepe, pulsujące życiem, te niedołączne brzuchy, przyjmujące świat zewnętrzny tylko w formie jedzenia, te narośle życia, pnące się omackiem ku światłu. W parę tygodni później, gdy te ślepe pączki życia pękły do światła, napełniły się pokoje kolorowym pogwarem, migotliwym świergotem swych nowych mieszkańców. Obsiadały one karnisze firanek, gzymsy szaf, gnieździły się w gęstwinie cynowych gałęzi i arabesek wieloramiennych lamp wiszących.

Gdy ojciec studiował wielkie ornitologiczne kompendia i wertował kolorowe tablice, zdawały się ulatywać z nich te pierzaste fantazmaty i napełniać pokój kolorowym trzepotem, płatami purpury, strzępami szafiru, grynszpanu i srebra. Podczas karmienia tworzyły one na podłodze barwną, falującą grządkę, dywan żywy, który za czymś niebacznym wejściem rozpadał się, rozlatywał w ruchome kwiaty, trzepocące w powietrzu, aby w końcu rozmieścić się w górnych regionach pokoju. W pamięci pozostał mi szczególnie jeden kondor, ogromny ptak o szyi nagiej, twarzy pomarszczonej i wybujałej naroślami. Był to chudy asceta, lama buddyjski, pełen niewzruszonej godności w całym zachowaniu, kierujący się żelaznym ceremoniałem swego wielkiego rodu. Gdy siedział naprzeciw ojca, nieruchomy w swej monumentalnej pozycji odwiecznych bóstw egipskich, z okiem zawleczonym białawym bielmem, które zasuwiał z boku na źrenice, ażeby zamknąć się zupełnie w kontemplacji swej dostojnej samotności, wydawał się ze swym kamiennym profilem starszym bratem mego ojca. Ta sama materia ciała, ścięgien i pomarszczonej twardej skóry, ta sama twarz wyschła i koścista, te same zrogowaciałe, głębokie oczodoły. Nawet ręce, silne w węzłach, długie, chude dłonie ojca, z wypukłymi paznokciami, miały swój analogon w szponach kondora. Nie

mogłem się oprzeć wrażeniu, widząc go tak uśpionego, że mam przed sobą mumię – wyschłą i dlatego pomniejszoną mumię mego ojca. Sądzę, że i uwagi matki nie uszło to przedziwne podobieństwo, chociaż nigdy nie poruszaliśmy tego tematu. Charakterystyczne, że kondor używał wspólnego z moim ojcem naczynia nocnego.

Nie poprzestając na wylęganiu coraz nowych egzemplarzy, ojciec mój urządził na strychu wesela ptasie, wysyłał swatów, uwiązywał w lukach i dziurach strychu ponętne, stęsknione narzeczone i osiągnął w samej rzeczy to, że dach naszego domu, ogromny, dwuspadowy dach gontowy, stał się prawdziwą gospodą ptasią, arką Noego, do której zlatywały się wszelkiego rodzaju skrzydlacze z dalekich stron. Nawet długo po zlikwidowaniu ptasiego gospodarstwa utrzymywała się w świecie ptasim ta tradycja naszego domu i w okresie wiosennych wędrówek spadały nieraz na nasz dach całe chmary żurawi, pelikanów, pawi i wszelkiego ptactwa.

Impreza ta wzięła jednak niebawem – po krótkiej świetności – smutny obrót. Wkrótce okazała się bowiem konieczna transllokacja ojca do dwóch pokoiów na poddaszu, które służyły za rupieciarnie. Stamtąd dochodził już o wczesnym świcie zmieszany klangor głosów ptasich. Drewniane pudła pokoiów na strychu, wspomagane rezonansem przestrzeni dachowej, dźwięczały całe od szumu, trzepotu, piania, tokowania i gulgotu. Tak straciliśmy ojca z widoku na przeciąg kilku tygodni. Rzadko tylko schodził do mieszkania i wtedy mogliśmy zauważyć, że zmniejszył się jakoby, schudł i skurczył. Niekiedy przez zapomnienie zrywał się z krzesła przy stole i trzepiąc rękoma jak skrzydłami, wydawał pianie przeciągłe, a oczy zachodziły mu mgłą bielma. Potem, zawstydzony, śmiał się razem z nami i starał się ten incydent obrócić w żart.

Pewnego razu w okresie generalnych porządków zjawiała się niespodzianie Adela w państwie ptasim ojca. Stanąwszy we drzwiach, załamała ręce nad fetorem, który się unosił w powietrzu, oraz nad kupami kału, zalegającego podłogi, stoły i meble. Szybko zdecydowana otworzyła okno, po czym przy pomocy długiej szczotki wprawiła całą masę ptasią w wirowanie. Wzbił się piekielny tuman piór, skrzydeł i krzyku, w którym Adela, podobna do szalejącej Menady, zakrytej młyncem swego tyrsu, tańczyła taniec zniszczenia. Razem z ptasią gromadą ojciec mój, trzepiąc rękoma, w przerażeniu próbował wznieść się w powietrze. Z wolna przerzedzał się tuman skrzydlaty, aż w końcu na pobojuwisku została sama Adela, wyczerpana, dysząca, oraz mój ojciec z miną zafrasowaną i zawstydzoną, gotów do przyjęcia każdej kapitulacji.

W chwilę później schodził mój ojciec ze schodów swojego dominium – człowiek złamany, król-banita, który stracił tron i królowanie.

PARTNERZY





Jeśli
piszesz
horro-
ry,
wiedz,
że HIS-
TERIA
się
tobą
intere-
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.
Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

magazynhisteria@gmail.com

